

ALEK ROGOZIŃSKI

BAL
WSZYSTKICH
NIEŚWIĘTYCH



Purple
BOOK

ALEK **ROGOZIŃSKI**

BAL
WSZYSTKICH
NIEŚWIĘTYCH



Purple
BOOK

Spis treści

Oświadczenie
Postaci
Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Epilog
Podziękowania

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2024
Copyright © by Aleksander Rogoziński, 2024

Purple Book Wydawnictwo
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
facebook.com/purplebookwydawnictwo
instagram.com/purple_book_wydawnictwo
www.purplebook.com.pl

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska
Wydawca: Anna Kubalska
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030), Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Redakcja: Małgorzata Tourni
Korekta: Dominika Ładycka / e-DYTOR
Projekt okładki i stron tytułowych: Kamil Pruszyński

Ilustracje na I stronie okładki: © lacostique/Shutterstock.com; Mang E /Shutterstock.com;
Meng.PL/Shutterstock.com

ISBN 978-83-8310-515-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Oświadczenie

Jak zawsze uroczyście oświadczam, że wszystkie wydarzenia, miejsca oraz postaci, które napotkacie na kolejnych stronach, są jedynie wytworem mojej rozszalałej wyobraźni. Nie dam sobie jednak niczego uciąć za to, czy miasteczko Klepaczowice nie widnieje na mapie, bo gdzieś mi wcięło lupę i nie mogłem tego dokładnie sprawdzić, a po tym, jak w czasie tras autorskich przejechałem przez wioski o takich nazwach jak Krzywe Kolano czy Leśne Odpadki, niczego już nie jestem pewny. Internet w każdym razie głosi, że Klepaczowic nie ma, i tego się trzymajmy. Aha, Zakon Węża też został wymyślony na potrzeby niniejszej powieści i tak naprawdę nie istnieje, co zaznaczam bardzo wyraźnie, zanim ktokolwiek z jego członków zacznie mnie ganiać z motyką po świecie.

Co napisawszy, zapraszam do lektury.

Alek

Postaci

Mariusz „Mario” Kosek – szef agencji PR „360 stopni”, starający się w czasie balu pozyskać bardzo cennego klienta.

Dominika „Miśka” Szustek – współwłaścicielka „360 stopni”, bez specjalnego przekonania towarzysząca Mario w jego misji.

Anna Karpowicz – popularna aktorka, która przyjęła tajemnicze zaproszenie na bal i później bardzo tego żałowała.

Ignacy Bursztynowicz – spadkobierca uchodzącego za multimilionera ojca, próbujący wszelkimi siłami ukryć fakt, że tak naprawdę nie było czego po nim dziedziczyć.

Maria Bursztynowicz – mama Ignacego, przekonana, że żadna kobieta na planecie nie jest godna zostania jej synową.

Eugenia Krasucka – babcia Ignacego, uważająca, że nie ma lepszego lekarstwa na wszelkie bóle niż „papierosek z rana i kieliszek koniaczku na wieczór”.

Lucyna Gąssowska – właścicielka sieci klinik medycyny estetycznej, w swoim przekonaniu będąca najlepszą wizytówką jakości proponowanych tam usług, a zdaniem innych prezentująca się tak, jakby ją stworzył doktor Frankenstein.

Marcin Prusik – wschodząca gwiazda kina, przystojny, młody gentleman uznawany za bożyszcze nastolatek.

Karina Mrozowska – znana z udziału w wielu programach telewizyjnych tancerka, a od niedawna też i narzeczona Marcina.

Julian Zamirski – znany youtuber, przyjaciel Marcina, szczerze nienawidzący jego narzeczonej.

Katarzyna „Golden Girl” Marusik – influencerka, przechwalająca się milionem fanów na Instagramie i skrzętnie kamuflująca fakt, że lwią część z nich zakupiła na stronie „Followersi za grosik”.

Manuel Kłos – pisarz sprawiający wrażenie, jakby na Ziemię podrzucił go statek kosmiczny. I to dość niedawno.

Jakub Wellman – były kapitan polskiej reprezentacji w piłce nożnej, od niedawna minister sportu.

Patrycja Wellman – żona Jakuba, przy okazji też jego agentka, uznawana powszechnie za reinkarnację Ksantypy.

Sandra Klejnocka – spadkobierczyni jednego z najbogatszych ludzi w Polsce, mająca niebawem stanąć na czele założonej przez swojego tatę firmy XXL.

Pierre Tourneur – robiący zaskakująco zawrotną karierę szef kuchni i autor kilku książek kulinarnych.

Małgorzata Jarosławowicz – prezenterka telewizyjna, mająca wyjątkowy talent do robienia sobie z ludzi wrogów.

Tomasz Garliński – organizator balu, usiłujący zapanować nad chaosem, w jaki przerodziła się niewinnie zapowiadająca się impreza dla VIP-ów.

Teresa Machnik – współpracownica Tomasza, przekonana, że różnych ludzi w życiu widziała, ale takich świrów jak teraz, to jeszcze nigdy.

Jaromir Majcher – architekt, który odkupił zrujnowany XIX-wieczny pałac i próbował zrobić z niego perełkę, zanim mu go podstępem odebrano.

Krzysztof Darski – komisarz policji, mający przeczucie, że w miejscu, gdzie zgromadziło się tylu celebrytów, musi zdarzyć się coś złego i, niestety, niemylący się ani tygi, tygi.

Dariusz Bartnicki – prokurator, który postawił sobie za punkt honoru zaimponowanie największej gwiazdzie policji i pokazanie, że „na prowincji też dają radę”.

Prolog

Dźwięki walca wiedeńskiego granego przez stojących na scenie muzyków mieszały się z odgłosem kroków na parkiecie. Sześć par wirowało w niewielkiej sali balowej pałacu w Klepaczowicach. Dominika Szustek, zwana przez wszystkich Miśką, obserwowała tancerzy uważnie. Miała wrażenie, że nie patrzy na ludzi, ale na wirujące porcelanowe figurki na wieczku nakręconej wcześniej przez kogoś pozytywki.

„To nie bal. To cyrk!”, pomyślała z lekkim niesmakiem, wspominając to, co działo się w tym miejscu przez ostatnich kilkadziesiąt godzin. Nikt by nie odgadł, że tak zgodnie teraz uzupełniający się i współpracujący w tańcu ludzie życzą sobie wszystkiego najgorszego i gotowi są w każdej chwili rzucić się sobie do gardeł. Gdyby o tym, co się tutaj wydarzyło, ktoś jej tylko opowiedział, Miśka, patrząc teraz na parkiet, z pewnością nie uwierzyłaby w ani jedno słowo. Ponieważ jednak była naocznym świadkiem tych zdarzeń, czuła jedynie niesmaczny podziw dla hipokryzji prawie wszystkich tancerzy, z wyjątkiem dwóch osób, paradoksalnie tworzących teraz parę na parkiecie.

Podający właśnie rękę swojej partnerce jej przyjaciel Mario znalazł się tutaj przez przypadek. Podobnie zresztą jak i ona sama. A tańcząca z nim Anna Karpowicz wydawała się równie zaskoczona ostatnimi godzinami, co i oni. Tak jakby została tu zaproszona w wyniku pomyłki. Natomiast cała reszta...

„Doprawdy, trzeba było się nieźle nagłówkować, żeby zgromadzić w jednym miejscu tyle osób, które miały powody, aby szczerze się nienawidzić!”, zaskoczona tą myślą Szustek nagle przestała zwracać uwagę na parkiet. A co, jeśli ktoś naprawdę zrobił to z premedytacją? Jeśli to nie przypadek zdecydował, że w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu właśnie w tym momencie skrzyżowały się losy tych wszystkich celebrytów, tak bardzo kochanych przez fanów i tak skrzętnie skrywających za uśmiechami i na pozór dobrymi manierami okrucieństwo, megalomanię, zawiść, chciwość i dziesiątki innych cech, do których posiadania mało kto jest skłonny otwarcie się przyznać.

Miśka wyłowiła wzrokiem gospodarza imprezy. Ignacy Bursztynowicz tańczył walca tak bezbłędnie, że gdyby występował w „Tańcu z Gwiazdami”, to nawet Iwona Pavlović musiałaby go nagrodzić najwyższą notą, choć z reguły miało się wrażenie, że trzyma ją tylko na wypadek, gdyby zniecka w telewizyjnym show

pojawił się duch Freda Asteire'a. Trzeba jednak przyznać, że partnerka biznesmena w pełni dotrzymywała mu kroku. O właścicielce sieci gabinetów medycyny estetycznej, Lucynie Gąssowskiej, można było wyrazić wiele niepochlebnych opinii, zwłaszcza kiedy wzięło się pod lupę styl, w jakim dorobiła się swojego wielomilionowego majątku, ale nie dało się jej odmówić gracji i szyku, które akurat dla walca są równie cenne co diamenty dla każdej prawdziwej kobiety.

Miśka nie poświęciła jednak Gąssowskiej zbyt wiele uwagi. Bardziej intrygował ją Ignacy. Zresztą nie tylko ją. Cała Polska – zwłaszcza czytelnicy plotkarskich portali i gazet – od kilkunastu miesięcy z ciekawością śledzili jego zawrotną karierę.

Odziedziczywszy po swoim ojcu sieć hurtowni farmaceutycznych, obdarzony przez matkę naturę aparycją hollywoodzkiego playboya, starannie wykształcony, błyskotliwy trzydziestodwulatek usilnie dbał o to, aby skupić na sobie jak najwięcej uwagi rodaków. Najpierw wdał się w romans z popularną i dopiero co rozwiedzioną piosenkarką Martą Raj. Ponieważ gwiazda była od niego starsza o dwadzieścia osiem lat, wspólne pojawienie się na ściankach, a następnie zrobione przez paparazzi foty z ich wyjazdu na Sycylię szybko stały się sensacją. Pławiący się w blasku sławy, zapraszany do telewizyjnych śniadaniówek, obdarzony tytułem „najseksowniejszego polskiego kawalera” Ignacy uznał, że Marta spełniła swoje zadanie i ledwie po paru tygodniach zerwał ich związek, aby już kilka dni później pojawić się na gali portalu Sensatek razem z supermodelką, Patrycją Strzałą.

Przekonawszy się, że ktokolwiek by stał obok niego na ściance, zapewnia mu kolejny artykuł w prasie tak papierowej, jak i elektronicznej, oraz zaproszenia do telewizji, Bursztynowicz dbał, aby dostarczać mediom jak najwięcej żeru. Lista jego partnerek rosła w tempie wręcz przerażającym, a wraz z nią zwiększała się także liczba poświęconych mu publikacji, o followersach na Instagramie już nawet nie wspominając. Po pewnym czasie stało się jasne, że show-biznes pokochał Ignacego wielką i odwzajemnioną miłością. Nic więc dziwnego, że wiadomość, iż młody biznesmen zakupił pałac w Klepaczowicach i wydaje tam bal dla celebrytów, też rozpałała ciekawość wszystkich do czerwoności. Co jednak zaskakujące, tym razem Bursztynowicz nie zaprosił na imprezę wielu redakcji, a ograniczył się jedynie do udzielenia akredytacji dziennikarce wspierającego go na każdym kroku dwutygodnika „Koktajl” i reporterowi największej stacji Tele-Pol, którzy stali teraz vis-à-vis Miśki po drugiej stronie sali i podobnie jak ona uważnie obserwowali tańczące gwiazdy. Żadnych innych żurnalistów i, co najdziwniejsze, zero paparazzi!

Odpowiedź na pytanie, po co Ignacemu była ta cała staroświecka szopka, skoro najwyraźniej nie planował jej wykorzystać do zrobienia sobie kolejnej reklamy i zapewnienia szumu wokół własnej osoby, pozostawała dla Szustek nieodgadnioną zagadką.

Walc trwał w najlepsze. Mario znad ramienia swojej partnerki posłał Miśce spojrzenie mówiące: „Jeszcze jeden obrót i dostanę świra”, ale dzielnie tańczył dalej. Dokładnie w chwili, kiedy subtelna zamiana w aranżacji dała znać, że walc zbliża się do końca, gdzieś w oddali rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk.

Zdziwiony Ignacy przerwał taniec i machnięciem dłonią dał znać zespołowi, aby przestał grać. Zapadła cisza. Nagle przerwał ją kolejny krzyk, po którym dało się usłyszeć stukot pospiesznych kroków.

Ktoś biegł pałacowym korytarzem w stronę drzwi wiodących do sali balowej. Stojący przy nich dziennikarz Tele-Polu, Miłosz Pluciński, odruchowo nacisnął klamkę, po czym otworzył je na oścież. Nie minęło kilka sekund, kiedy w ich progu stanęła współorganizatorka imprezy. Zdyszana i purpurowa na twarzy Teresa Machnik, odszukawszy wzrokiem Ignacego, zrobiła w jego stronę kilka kroków.

– Morderstwo! – wychrypiała przerażonym głosem. – W altance! Zwłoki... Morder... – W połowie słowa runęła na posadzkę tuż u stóp swojego pracodawcy.

Miśka poczuła, że robi jej się w środku lodowato.

– Mówiłem ci, że to się źle skończy. – Usłyszała szept Mario, który nie wiadomo jakim sposobem znalazł się tuż obok niej. – I, jak zawsze, miałem rację!

– Naprawdę uważasz, że to idealny moment, żeby uprawiać autopromocję? – spytała Szustek z wyrzutem.

– Jestem tylko ciekawy jednego... – Przyjaciel zignorował jej uwagę.

– Czego? – zaciekawiła się mimowolnie Miśka.

– To chyba oczywiste. – Mario potoczył wzrokiem po sali. – Kto jest ofiarą?

Rozdział I

Tydzień wcześniej

Anna Karpowicz wykonała ostatni ukłon przed wiwatującą publicznością, po czym przeszła do garderoby, po drodze z niekłamaną ulgą pozbywając się kolejnych elementów swojego scenicznego kostiumu.

– Czy mogłabyś mi jeszcze raz wytłumaczyć, dlaczego Kryspin do roli Antygony każe mi wkładać zbroję? Czy on aby nie pomylił Antygony z Ateną? – zapytała Janinę, niewielką, szczupłą garderobianą, wręczając jej bez mała tonę żelastwa, które już zdążyła z siebie zrzucić po drodze, i zdejmując ostatnie elementy owego dziwadła. – Czuję się w tym wszystkim tak, jakbym miała poprowadzić wojska greckie na wojnę z Persją. Gdy pierwszy raz to założyłam, odruchowo rozejrzałam się za koniem i sztandarem. Skąd on bierze takie pomysły?!

– Sama nie wiem... – Garderobiana westchnęła, w ostatniej chwili hamując się przed wygłoszeniem opinii o umysłowości reżysera spektaklu, zamykającej się w krótkim, retorycznym pytaniu: „Bo jest pierdolnięty?”. – Chyba taką miał wizję...

– Nic dziwnego, że moja poprzedniczka poszła na wychowawczy, korzystając z faktu, że go ostatnio przedłużyli prawie do matury dziecka – skwitowała Anna, siadając przy toalecie i sięgając po chusteczki do demakijażu. – Sama się zastanawiam, jak stąd nawiać. Myśl, że będę musiała się wbijać w to narzędzie tortur przez kolejny miesiąc, trochę mnie przeraża.

– Może zardzewieje. Na nową zbroję na pewno nas nie stać. Wszędzie teraz tylko cięcia i oszczędności – pocieszyła ją Janina, wrzucając z wyraźnym obrzydzeniem elementy kostiumu do specjalnie przygotowanego dla niego kontenera. – Na osłodę mam dla ciebie kilka prezentów od wielbicieli. Kwiaty od razu przetransportowałam ci do domu, bo akurat Wiesio jechał w tym kierunku. Będą czekały jak zawsze w lobby przy recepcji. A tu masz korespondencję... – Podała Karpowicz kilka kopert.

Anna nie była zdziwiona. Doskonale знаła panujący w tym teatrze zwyczaj pisania aktorom komplementów na specjalnie przygotowanych do tego celu kartkach, które umieszczano w kopertach z nazwiskiem adresata. Przy czym

określenie „komplementy” należało traktować bardzo metaforycznie, zważywszy na fakt, że aktor grający w spektaklu jej ojca przeczytał kiedyś w takim liściku, że powinien „iść na emeryturę, zanim się na scenie rozpadnie ze starości”, a ona sama otrzymywała co i rusz niewybredne propozycje natury erotycznej, co w sumie dawało się jakoś podciągnąć pod pochlebstwo, tyle że niekoniecznie takie, jakiego oczekiwałyby od fanów teatru. Mimo swojego zniechęcenia do tego typu formy komunikacji z widzami Anna otworzyła teraz kilka kopert i przeczytała wiadomości. Już miała odłożyć wszystko na toaletkę, kiedy ze zdziwieniem odnotowała, że jedna koperta wyróżnia się spośród innych. Była bardziej elegancka i bez wątplenia nie pochodząca z teatralnych zapasów.

– A! To... – Garderobiana wyłapała zdumione spojrzenie aktorki. – Ten liścik zostawił bardzo przystojny młody człowiek. Mam wrażenie, że kiedyś już go gdzieś widziałam, ale nijak nie umiem sobie przypomnieć gdzie. Może w teatrze, może w telewizji... Albo w internecie, ale tam to już mi się wszyscy mylą. To pewnie kwestia wieku.

– Na pociechę powiem ci, że to nie ma nic wspólnego z wiekiem, bo mnie też się wszyscy mieszają. Za dużo ich i za szybko się zmieniają, a już powody ich celebryctwa pozostają dla mnie głęboko utajone – mówiąc to, Anna otworzyła kopertę i wyjęła z niej kartkę ozdobnego papieru stanowiącego z nią komplet. Szybko przebiegła wzrokiem jej zawartość, po czym zmarszczyła brwi. – Interesujące... – szepnęła z lekkim niedowierzaniem.

– Coś złego? – Janina nawet nie próbowała kamuflować swojej ciekawości. – Czy znowu jakieś niemoralne propozycje?

– Znowu? Przecież żadnych jak dotąd nie dostałam! – Anna odruchowo wyparła się wszystkich wcześniejszych zbereźnych liścików, choć przez myśl przebiegło jej podejrzenie, że garderobiana mogła je przecież czytać za jej plecami.

– Ty nie – Janina zgodziła się bez mrugnięcia okiem – ale inni tak. Wojteczek na przykład dostał jedną nie dalej jak wczoraj. I to, wyobraź sobie, od mężczyzny! Nie pierwszy raz!

– Gdyby Wojteczek był bardziej ostrożny z wrzucaniem swoich fotek na Instagram, to dostawałby takich rzeczy o wiele mniej – zawyrokowała z pewnością w głosie Karpowicz, która, przeglądając niedawno profil swojego kolegi z teatru, doszła do wniosku, że jedyne, czego tam jeszcze nie zobaczyła, to jego zdjęcia rentgenowskie. – Sam prowokuje, to niech się potem nie dziwi, że ma takie efekty!

– Co racja, to racja – potaknęła kobiecina. – Aczkolwiek jemu to chyba jakoś specjalnie nie przeszkadzało, bo od razu zadzwonił pod numer, który mu ten mężczyzna zostawił na kartce, i umówił się z nim na kawę. Naprawdę, myślę, że

czasy apokalipsy są już bliskie – westchnęła ciężko, wznosząc oczy, jakby chciała uciec się pod opiekę Najwyższego przed nadciągającą Sodomą i Gomorą.

– Yhm – mruknęła aktorka, postanawiając nie dociekać, jakim cudem w umyśle jej rozmówczyni randka między dwoma facetami łączy się ze spodziewanym końcem świata. Jak by nie patrzeć, w światku teatralnym akurat różnorodne zainteresowania natury erotycznej były tak bardzo na porządku dziennym, że garderobiana już dawno powinna się do nich przyzwyczaić. – Nadal jednak nie rozumiem tego, co tu dostałam...

– Ano właśnie! – ocknęła się ze stanu wewnętrznego rozmodlenia garderobiana. – Miałaś mi powiedzieć, co tam jest...

„Nie miałam”, pomyślała Anna, ale głośno odpowiedziała:

– Zaproszenie na bal.

– Słucham? – Jej rozmówczyni zrobiła wielkie oczy. – Jaki znowu bal?!

– Charytatywny – wyjaśniła z zakłopotaniem Karpowicz. – Tu jest napisane, że ma się on rozpocząć od części zapoznawczej. Nie za bardzo rozumiem, co to oznacza...

– Gdy byłam ostatnio w sanatorium, to mieliśmy pierwszego dnia wieczerek zapoznawczy, który poszedł tak dobrze, że po tygodniu u połowy kuracjuszy zdiagnozowano chlamydię. – Janina westchnęła z pogardą, dając jednoznacznie do zrozumienia, że jej ta intymna przypadłość oczywiście nie dotyczyła. – Ale o balu zapoznawczym nigdy jeszcze nie słyszałam. A od kogo to zaproszenie?

– Od Ignacego Bursztynowicza – odczytała z liściku Anna. – Coś mi się chyba obilo o uszy...

– Aaa!!! – Garderobiana wyglądała, jakby nagle doznała olśnienia. – No tak! Chyba faktycznie powoli zaczynam mieć objawy demencji! Oczywiście, że to był on!

– Ten przystojniak, który zostawił ten list? – upewniła się Karpowicz.

– Dokładnie! Czytałam o nim ostatnio artykuł w „Koktajlu”. Odziedziczył fortunę po swoim ojcu. Hurtownie z lekami. Wielki, wielki majątek. Już nawet nie pamiętam, jak ogromny, ale jego ojciec należał do najbogatszych ludzi w Polsce, wystarczy więc, żeby on sam nie robił nic do końca świata, a i tak będzie pławił się w luksusie. Artykuł jednak nie był tak do końca o tym, co o jego najnowszym zakupie. Jakimś pałacu...

– W Klepaczowicach.

– Skąd wiesz?

– Bo właśnie tam ma się odbyć ten bal...

– Naprawdę?! – dopytała wyraźnie zaskoczona garderobiana. – Dziwne...

– Dlaczego?

– W artykule zastanawiano się, czy on kupił ten pałac dla siebie, czy na wynajem, i raczej skłaniano się ku tej drugiej wersji, ale i tak przewidywano, że będzie miał z tym problem, bo to miejsce podobno jest... Jak by to powiedzieć...

– Nawiedzone? – podsunęła Anna.

– Skąd wiesz?! – Janina popatrzyła na nią z jeszcze większym zdumieniem.

– Strzeliłam – zaśmiała się szczerze Karpowicz. – Straszy tam biała dama? Po ogrodzie przechadza się ścięty rycerz ze swoją głową pod pachą? Czy też w ścianie gabinetu znajduje się tajemny portal do innego wymiaru?

– Nic takiego. – Garderobiana rzuciła jej spojrzenie pełne politowania, jeśli nie wręcz oburzenia. – Chodzi o coś faktycznie poważnego. O klątwę.

– Nie żartuj! – prychnęła Anna. – Wierzysz w takie rzeczy?!

– Sama nie wiem... – Janina wyglądała na tak zakłopotaną, że Karpowicz z miejsca nabrała podejrzeń, że jedynie obawa przed ośmieszeniem się w jej oczach powstrzymała kobietę przed odpowiedzią jednoznacznie twierdzącą. –

Gdy przeczytałam historię tego pałacu, to sobie pomyślałam, że faktycznie zbyt dużo wydarzyło się tam dziwnych rzeczy, żeby mogły to być tylko zbiegi okoliczności...

– Niby co takiego? – zaciekawiała się mimowolnie aktorka.

– Wybudowano go, o ile dobrze pamiętam, w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku. I jeszcze przed końcem robót pojawiły się problemy. Pierwszy właściciel przyjechał tam z córką, kiedy jeszcze nie wszystko było gotowe. Ta córka była ponoć przerażająco antypatyczna i strasznie kapryśna. Kolor pałacu jej nie odpowiadał, tapety w środku też nie, ogród uznała za badziewny. Chodziła, stękała i kwękała, aż wszyscy w duchu zaczęli jej życzyć, żeby ją trafiła jakaś cholera. No i wreszcie pod koniec dnia te życzenia się spełniły. Uparła się bowiem, że nie będzie nocowała w takiej szpetocie, zapakowano ją więc w karocę razem z jej ciotecznym bratem, hrabią, ale że było ciemno, to woźnica pomylił drogę i zamiast na trakt do stolicy wjechał w okoliczne mokradła. Sam się uratował, konie też zdołał ocalić, hrabia w ostatnim momencie resztką sił jakoś wylazł z bagna, i tylko tę córkę wciągnęło. Razem z karetą. To jest wersja oficjalna. Moim zdaniem to ona gderała temu kuzynowi tak, że ją w końcu udusił, żeby mieć święty spokój, i razem z woźnicą upozorował wypadek. Ale teraz to już nikt tego nie udowodni. Tak czy siak, to była pierwsza ofiara pałacu. Drugą był ten tatuś. Ledwo co ze trzy lata pogospodarzył w swoim nowym lokum, i to robiąc tam różne hocki-klocki, aż tu któregoś ranka znaleziono go martwego w sypialni. Lekarz uznał, że był to atak serca, ale służba rozповідаła, że kiedy go znaleziono, miał oczy szeroko otwarte i twarz z takim przerażonym wyrazem, jakby zobaczył upiora. Moim zdaniem

mogła go odwiedzić córunia. Pomyślał, że znów będzie musiał znosić jej fochy, i ze strachu wykorkował.

– Jakoś bardzo frywolnie to wszystko opowiadasz – zauważyła Anna z przekąsem.

– Bo w takim duchu to było wszystko opisane w „Koktajlu” – wytłumaczyła garderobiana.

– Rozumiem. – Aktorka pokiwała głową. – A jakie to hocki-klocki wyprawiał ten tatuś?

– No właśnie! – Głos jej rozmówczynie zabrzmiał tym razem złowieszczo. – Otóż ten pałac został wybudowany na planie trójkąta!

Ponieważ wypowiedziała to takim tonem, jakby ta figura geometryczna była znakiem szatańskim, Anna zapytała ostrożnie:

– I co z tego?

– Na planie trójkąta budowano siedziby masońskie – wyjaśniła garderobiana tonem już iście grobowym.

– To znaczy, że moja mama też mieszka w siedzibie masońskiej – mruknęła Anna z politowaniem.

– Jak to?

– Przeprowadziła się niedawno ze stolicy do Piastowa, do Rezydencji Warszawskiej, czyli bloku zbudowanego właśnie na planie trójkąta. Będę się musiała zainteresować, czy nie uprawia tam wolnomularstwa...

– No, może teraz coś się zmieniło, ale kiedyś na planie trójkąta budowano z reguły siedziby masonów. I jakby tego było mało, to ten akurat pałac postawiono na takiej sztucznie usypanej wyspie w kształcie pięciokąta, co nawiązywało do kolejnego symbolu masonów, czyli pentagramu. Dodatkowo w środku znajduje się też wiele sal trójkątnych i pięciokątnych, a podziemia pałacu to prawdziwy labirynt, w którym zgubiłby się nawet Tezeusz. I to z nicią Ariadny w zębach.

– Mitologia grecka zaliczona. – Anna znów się uśmiechnęła.

– Nie samą Antygoną człowiek żyje, kochana. W każdym razie pierwszy właściciel był masonem i pod jego auspicjami działała tam lokalna loża. Po jego śmierci pałac przeszedł we władanie jego siostry, ale ona trzymała się od tego miejsca z daleka. Szybko je zresztą sprzedała któremuś z naszych rodzimych arystokratów. Już nie pamiętam któremu. Ale i on nigdy w nim nie był, posiadłość więc powoli, ale nieubłaganie niszczała. Po powstaniu styczniowym istniała w pałacu jakiś ochronka czy coś podobnego, ale w sumie niewiele się tam działo. Dopiero kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, przekształcono go w szpital, a podczas drugiej zadekował się tam jakiś bogaty niemiecki arystokrata, którego zabili żołnierze armii sowieckiej, kiedy odbijali te tereny. W dobie PRL-

u wszystko obróciło się już w kompletną ruinę i dopiero kilka lat temu o kupno tego miejsca zaczął się starać jakiś architekt... Zaraz, zaraz, jak on się nazywał...

– Czy to takie ważne? – Anna poczuła, że ta przydługawa opowieść, zbyt nasycona historycznymi szczegółami, zaczyna ją nudzić.

– To był podobno ktoś bardzo znany... – Janina jeszcze przez moment szukała w pamięci nazwiska, ale potem machnęła na nie ręką. – Nie przypomnę sobie. W każdym razie nieźle się naciął.

– To znaczy?

– Pałac ostatecznie stał się własnością Skarbu Państwa i tak powiedziano architektowi. Przez nieuwagę przez te wszystkie lata nie wpisano go nawet do rejestru zabytków. Ot, po prostu uznano go za nic niewartą kupę kamieni. Dzięki temu architekt dogadał się w mgnieniu oka z lokalnymi władzami, które poparły jego starania o kupienie tego obiektu. Pałac sprzedano, bez niczyjego protestu, podobno za cenę wiejskiej stodoły. Architekt zabrał się do jego renowacji. Zrobił ją ze smakiem, nie oszczędzając przy tym środków. Wyszła mu prawdziwa perełka. Wieść o tym budowlanym zmartwychwstaniu dotarła do jakiegoś branżowego pisma, które napisało do niego prośbę, aby pozwolił im porobić zdjęcia. Architekt się nie zgodził, ale dziennikarz i fotograf tego pisma i tak przyjechali, cyknęli fotki zza płotu, a potem napisali artykuł, że to skandal, iż tak cenne obiekty, które powinny być udostępnione zwiedzającym, trafiają u nas w prywatne ręce, a ponieważ architekt ma żonę Niemkę, to opublikowano go pod hasłem: „Jak długo Niemcy będą bezkarnie rozkradać nasz kraj?”. Tekst przedrukował któryś z brukowców, który dał mu wręcz wielki tytuł: „Jakby im było mało drugiej wojny światowej!”. Afera zrobiła się z tego potężna, jakieś oszołomy zaczęły wysyłać petycje do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Architektowi zesłano na łeb niby to ekspertkę – kompletną kretynkę, która miała za zadanie znaleźć jakikolwiek powód, aby można było się wycofać z umowy sprzedaży, a jakby tego jeszcze było mało, nagle objawił się ktoś, kto oświadczył, że ma prawa do tego obiektu.

– Kto? – zdziwiła się Anna, którą akurat ta część opowieści zainteresowała o wiele bardziej, bo miała w rodzinie podobny przypadek, tyle że mniejszego kalibru.

Jej babcia chciała mianowicie kiedyś ściąć wielkie, zasłaniające pół domu stare drzewo, rosnące częściowo na kawałku jej posesji, a częściowo na należącej do jej sąsiada. Ten był jednak wyjątkowo praworządny i zamiast chwycić za piłę, poleciał do urzędu gminy, aby poprosić o zgodę. Tam trafił na jakiegoś wariata, który na wieść o planowanej wycince dostał ataku furii, zażądał pięćdziesięciu pięciu ekspertyz, które zrobili tacy sami oszołomi jak on. Wynikało z nich, że drzewo to zabytek, bez mała taki, jak dąb Bartek, siedział pod nim

kiedyś Władysław Łokietek, zasadził go osobiście Bolesław Chrobry, a kto wie, czy Najświętsza Panienna Częstochowska nie powiła pod nim Dzieciątka. W tym ostatnim nie było w sumie nic dziwnego, zważywszy na opowieść ciotecznego brata Anny, przewodnika, który zadał kiedyś oprowadzanym przez siebie po Częstochowie turystom pytanie, jakiej narodowości był Jezus, i w odpowiedzi usłyszał, że polskiej, bo przecież jego matka pochodzi z miasta, po którym właśnie spacerują. I że to przecież oczywiste. A kiedy zapytał, czy słyszeli o Matce Boskiej Fatimskiej, a także tej z Betlejem, która uciekła z Dzieciątkiem przed rzezią niewiniątek z Izraela do Egiptu, i czy to oznacza, że żyło ich kilka i teraz robią sobie w niebie coroczny zlot Maryjek, to turyści strasznie się nadęli, a jedna starsza pani nazwała go Belzebubem.

– Ten, co się objawił? – dopytała garderobiana, przerywając wewnętrzne rozważania Anny na temat świętości różnych drzew w Polsce, i na potwierdzające skinienie głową aktorki kontynuowała z coraz wyraźniejszymi wypiekami na twarzy. – Francuz. Prawie trzydziestolatek. Podobno potomek tej córki, która się utopiła w bagnie.

– To ona miała dzieci? – zdumiała się szczerze Anna. – Odniosłam wrażenie, że była bardzo młoda. Choć sama nie wiem, skąd mi się to wzięło.

– Bo była – potaknęła jej uświadomiona historycznie rozmówczyni. – Ale nie na tyle, żeby nie mieć już potomstwa. Kiedyś rodziło się o wiele wcześniej niż teraz...

– Fakt – zgodziła się Karpowicz. – Kobieta w moim wieku byłaby już starą panną skazaną na samotność do końca życia. I co? Ten potomek był prawdziwy czy fałszywy?

– Podobno prawdziwy – garderobiana powiedziała to takim tonem, jakby miała co do tego spore wątpliwości. – Przedstawił jakieś dokumenty, z których wynikało, że siostra pierwszego właściciela, sprzedając pałac, wprowadziła do umowy kupna punkt mówiący o tym, że jeśli nowy nabywca nie będzie miał swojego potomstwa, wtedy pałac wraca do jej rodziny. Dokumenty poddano ekspertyzie, która wykazała, że istotnie pochodzą z pierwszej ćwierci dziewiętnastego wieku i sygnowane są prawdziwym podpisem owej siostry, który porównano z jej zachowanymi listami. W tej sytuacji nakazano architektowi zwrot pałacu prawowitemu właścicielowi i oddano mu pieniądze. Tyle tylko, że po jego zmianach pałac wart był o wiele, wiele więcej niż w chwili, kiedy go kupował. Architekt złożył sprawę w sądzie, ale wiadomo, w jakim tempie one u nas działają... Jeszcze nawet nie wyznaczono daty pierwszej rozprawy, choć minął już ponad rok.

– A co ma do tego Bursztynowicz? – dopytała Anna, bo garderobiana sprawiała takie wrażenie, jakby zakończyła już opowiadać tę zawiłą historię.

– No, właśnie! – Głos jej rozmówczynie znów zabrzmiał złowieszczo. – Miesiąc po odzyskaniu pałacu francuski potomek córki, który właśnie w tym samym czasie zaczął u nas robić karierę jako spec od kuchni i nawet wydał już jedną książkę kulinarną, schodząc z piętra pałacu, potknął się, i to na samej górze, zleciał i złamał sobie kręgosłup. Lekarze twierdzili, że to cud, iż w ogóle przeżył. Przeszedł kilka skomplikowanych operacji, przez parę miesięcy się intensywnie rehabilitował w rozmaitych prywatnych sanatoriach i ostatecznie wrócił do formy, ale sporo go to kosztowało. Kiedy przebywał w szpitalu, ktoś doniósł mu o legendzie, jaką obrosła ta posiadłość.

– Czyli o tej niby-klątwie? – upewniła się Anna.

– Dokładnie – potwierdziła Janina.

– I co? Uwierzył?

– Ewidentnie, bo po wyjściu ze szpitala szybko sprzedał pałac Bursztynowiczowi...

– A czemu nie z powrotem architektowi?

– Bo ten nie miał już pieniędzy. Wydał większość oszczędności na remont pałacu, podobno potem coś tam źle zainwestował, no i przede wszystkim przez cały czas miał nadzieję, że sąd każe potomkowi oddać mu ten obiekt albo zwrócić tę forszę, którą w niego wsadził.

– A ten cały Bursztynowicz klątwy się nie bał?

– Ma pewnie do niej ta samo sceptyczne podejście jak ty. – Garderobiana westchnęła cicho nad przyszłym losem niewiernych Tomaszów. – Pewnie uwierzy dopiero, gdy już będzie za późno. Zresztą z artykułu wynikało, że on uwielbia ryzyko. Pisano tam, że uprawia jakieś niebezpieczne sporty, a jako nastolatek był oskarżany o różne wykroczenia, tylko za każdym razem z opresji ratował go tata, a właściwie jego pieniądze... Ogólnie, ten cały Bursztynowicz wydaje się takim typem spod ciemnej gwiazdy. Ale gdy się ma tyle szmalu, to wtedy nie nazywa się tego patologią, tylko ekscentryzmem.

– Hmm... – Anna ponownie wzięła zaproszenie do ręki. – Miałam zamiar zlekceważyć ten bal. Ale po tym, co właśnie od ciebie usłyszałam, kusi mnie, żeby jednak pojechać do tego nawiedzonego pałacu.

– Jesteś tak samo nienormalna jak Bursztynowicz – zawyrokowała z niesmakiem garderobiana.

– Ekscentryczna. – Anna uśmiechnęła się złośliwie. – Z artystami jest tak, jak z bogaczami. Nie są nienormalni, tylko ekscentryczni.

– Niech ci będzie – mruknęła Janina, chowając ostatni element stroju Antygony. – Ja na twoim miejscu trzymałabym się jednak od tego pałacu z daleka.

– Wiem – rzekła Karpowicz w zamyśleniu. – Ale ty to ty, a ja to ja...

Rozdział II

Mariusz Kosek, zwany przez wszystkich znajomych Mario, szef agencji PR-owej „360 stopni”, tradycyjnie w czasie rozmowy ze swoją asystentką Iwką zajęty był głównie wyobrażaniem sobie w duchu, w jaki sposób ją ukatrupia. Ponieważ przez przypadek poprzedniego wieczora natknął się na kilka odcinków programu „1000 sposobów na śmierć”, w tym ten, w czasie którego jakiś Japończyk zajrzał do szybu windy, żeby zobaczyć, czy kabina nie utknęła między piętrami, a ta akurat zjeżdżała z góry i obcięła mu głowę, jego wyobraźnia pracowała teraz na zwiększonych obrotach. Oczywiście nie bezpodstawnie. Przyczyną jej krwiożerczości był monolog, który wygłaszała zupełnie nieświadoma jego uczuć podwładna.

– Te raki, które przysły na sesję okładkową do książki Pepe, wydawały mi się jakieś takie blade – perorowała Iwka, kręcąc ledwo co trzymającym się na wystrzępionej nitce guzikiem swojego wielobarwnego surduta, który dwa dni wcześniej nabyła w swoim ulubionym second-handzie „Świr-ciuch”. – A gdy je ugotowaliśmy, to już w ogóle nabrały barwy ścierkowatej. A przecież sam mówiłeś, że na tej sesji wszystko musi być tip-top, więc pobiegłam do sklepu z farbami, kupiłam taką zajebiście czerwoną i po cichu, kiedy nikt nie widział, pomalowałam je. Wyglądały prześlicznie! Nawet fotograf był zachwycony, a przecież wiesz, jak trudno go zadowolić! Nie mogłam przewidzieć, że gdy oni wszyscy sobie wyjdą na kawkę, to Pepe wpadnie do głowy, żeby zrobić degustację dla ekipy. Aż dziwne, że tak się wszyscy zatruli, bo przecież z tych raków je się tylko trochę mięsa i to ze środka...

Mario, który właśnie doszedł w swojej wyobraźni do sceny, w której trzyma w rękach odciętą przez windę głowę Iwki niczym Hamlet czaszkę w czasie wygłaszania słynnego monologu, wydał z siebie nieartykułowany jęk.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że chwila, w której Pepe wymiotuje na patelnię z grzankami w maśle czosnkowym pięć sekund po tym, jak powiedział, że „słowami nie da się opisać, jak są pyszne”, została uwieczniona i jakimś cudem przedostała się na TikToka? – rzekł gardłowym głosem, jakby właśnie ktoś mu zacisnął pętlę na szyi. – I że teraz chce nas pozwać na grube miliony za zrujnowanie mu reputacji? Podobnie jak pięć innych osób, które razem z rakami skonsumowały tę twoją zajebistą farbkę?!

– Czemu nas? – zdziwiła się szczerze Iwka, wybałuszając oczy tak, że Mario kolejny raz zaczął dumać, czy aby nie jest ona chora na jakąś skomplikowaną chorobę psychiczną i czy w związku z tym nie powinien wystąpić do PFRON-u o dopłatę do jej pensji. – A nie sklep z farbami? Przecież nie było na nich napisane, że nie nadają się do spożycia!

– Bo nikomu nie wpadłoby do głowy malować nimi jedzenia! – jęknął. – Tylko ty mogłaś coś takiego spowodować!

– Serio? – W głosie Iwki pobrzmiwał, być może mimowolny, samozachwyty.

– Ale to jeszcze nie wszystko. – Kosek spojrział na ekran komputera. – Mogłabyś mi powiedzieć, co oznacza mail od Malwiny Paczkowskiej, zaczynający się od zdania: „Wisisz mi perukę”, w którego dalszej części tytułuje cię uprzejmym mianem „rosochatej suki”?

– Zabawna historia. – Iwka przestała się bawić guzikiem i przerzuciła się na poły swojej bluzy z ogromnym żabotem, który teraz zaczęła ugniatać. – Organizowaliśmy, jak pamiętasz, kręcenie z nią reklamy herbaty. W Łazienkach. Przez cały czas wydawało mi się, że wygląda jakoś tak za mało gwiazdorsko. Poradziłam więc jej fryzjerce, żeby może jej zrobić fale, to wtedy będzie miała większą głowę. Zapamiętałam, że kiedyś mówiłaś, że jakaś wokalistka stwierdziła, że im większa głowa, tym bardziej spektakularny sukces. Nie pamiętam, jak się nazywała...

– Ała Pugaczowa – mruknął Mario, będący wielkim fanem nienawidzącej Putina rosyjskiej megagwiazdy. – Co jednak wcale nie tłumaczy...

– Poczekaj! – przerwała mu Iwka. – Ta fryzjerka zrobiła jakąś taką dziwną minę i wcale nie kwapiła się do skorzystania z mojej rady. No więc poczekałam na moment, kiedy sobie gdzieś poszła, a Malwina przysnęła na fotelu, i trochę jej te włosy pofalowałam specjalnym preparatem. Od razu było lepiej! Kto mógł wiedzieć, że tam jest jakiś składnik, który uwielbiają gołębie? Moim zdaniem w ich otoczeniu Malwina wyglądała bardzo oryginalnie i gdyby tylko nie popsukała efektu, ściągając te włosy i wrzucając je do koksownika, to wyszłaby nam najlepsza reklama w historii świata! Z bajeranckim nawiązaniem do „Kevina w Nowym Jorku”!

– Daj mi, Panie, siły – westchnął Mario bezradnie. – Zdajesz sobie sprawę, że Łazienki to nie Central Park, a Malwina jest gwiazdą estrady, a nie bezdomną wariatką?!

– Ona wcale nie była wariatką – zaprotestowała Iwka.

– Kto?

– Ta babka z gołębiami z „Kevina”...

– Nieważne – jęknął Kosek z rozpaczą. – Ważniejsze, że teraz muszę zwrócić Malwinie piętnaście tysięcy za włosy...

– Ile?! – zdumiała się Iwka.

– Piętnaście tysięcy – powtórzył Mario. – Na szczęście złotych. Bo ta jej peruka wykonana była z... – zerknął na ekran – ...niemodyfikowanych dziewczycich włosów słowiańskich typu „Raw Cut”. Cokolwiek by to znaczyło.

– Biorąc pod uwagę cenę, to chyba tyle, że zostały ścięte pierwszym Piastom w czasie postrzyżyn – rozległ się od drzwi do gabinetu Mario głos jego współpracownicy Dominiki Szustek, nazywanej powszechnie Miśką – i teraz mają wartość historyczną.

– Tak czy siak, musimy za nie zapłacić – skwitował Kosek.

– Chwila, chwila! Uwaga! Nikt nie oddycha! – Iwka przeniosła nieco błędny wzrok ze swojego szefa na Miśkę i z powrotem. – Coś przeoczyłam!

– Co przeoczyłaś? – zapytał Mario głosem łamiącym się z rozpaczy i wkurzenia.

– Nie rozpraszaaj jej! – zgromiła go rzeczowo Miśka, zbyt dobrze znając pokrętny sposób funkcjonowania pamięci ich asystentki.

– Myślę... myślę... – Iwka nadal krążyła spojrzeniem między swoimi pracodawcami. – Blisko! Już blisko! Prawie mam!

– Ja z nią zwariuję... – szepnął Mario.

Miśka posłała mu gniewne spojrzenie.

– Mam! – krzyknęła wreszcie Iwka, zrywając się z fotela. – Koperta! Kartka! Bardzo ważna informacja! Bardzo! Gdzie ja ją mogłam wsadzić?! Nijak nie pamiętam...

– Jaka kartka? – zapytała łagodnie, choć z nieukrywanym wysiłkiem, Miśka, z wyrazu twarzy przyjaciela wnioskując, że nie jest on w stanie wydobyć z siebie ani słowa, i czując głęboką obawę, że być może będzie musiała za chwilę tłumaczyć jego bliskim, czemu pozwoliła, aby dostał udaru i opuścił ten podobno piękny padół. – Skup się, proszę...

– Muszę iść po swoją różdżkę – odpowiedziała beztrósco Iwka, po czym pospiesznym krokiem opuściła pokój.

– Wytłumacz mi raz jeszcze, dlaczego my ją wciąż zatrudniamy? – Miśka podeszła łagodnie do Mario i pogłaskała go uspokajająco po ramieniu.

– Bo dzięki niej odbębniamy czyściec już na ziemi i po śmierci od razu zostaniemy wniebowzięci? – odpowiedział Mario z rezygnacją. – A tak naprawdę próbowałem jej już kilka razy powiedzieć, że może więcej nie przychodzić do pracy, i zawsze odnosiłem wrażenie, że biorę udział w inscenizacji przysłowia: „Gadał dziad do obrazu, a obraz do niego ni razu”. Chyba już pogodziłem się z myślą, że jesteśmy na nią skazani do końca świata. Mam tylko nadzieję, że nastąpi on, zanim osiwieję. Wyjątkowo mi nie do twarzy w bieli...

– Chodź do mnie! Chodź! – rozległ się gdzieś w oddali głos ich asystentki.

Miśka i Mario ostrożnie wychynęli zza drzwi gabinetu, aby zobaczyć, jak Iwka uzbrojona w dość okazałych rozmiarów różdżkę radiestezyjną chodzi po swoim pokoju od regału do regału.

– Mam! – krzyknęła wreszcie, podbiegając do jednego z nich i sięgając po coś na półkę. – Pełen sukces! Jak zawsze!

– Co to jest? – zapytała Miśka, której Iwka chwilę później wręczyła swojego znalezisko.

– Zaproszenie dla was dwojga – odpowiedziała asystentka. – Do jakiejś wiochy na Warmii. Jest tam pałac. I będzie bal. Brzmi to niedorzecznie. Jak bujda dla dzieci. Ale podobno jest prawdą.

– Ona jak zwykle bredzi? – Mimo niedowierzania Mario nie krył swojej ciekawości. – Czy to naprawdę zaproszenie?

– Owszem. – Miśka zdążyła już wyciągnąć z koperty kartkę i właśnie zapoznawała się z jej treścią. – Do Klepaczowic. Na przyszłą sobotę. Faktycznie, na bal charytatywny. Od niejakiego Ignacego Bursztynowicza. Coś mi to mówi...

– Serio? – Mario wydawał się szczerze poruszony. – Od Bursztynowicza?!

– A co? – Miśka spojrzała na niego badawczo. – To ktoś ważny?

– Obecnie najważniejszy! – wykrzyknął jej przyjaciel, podrywając się z fotela i bez mała wyszarpując jej kartkę z dłoni. – Faktycznie! Od niego! Chwalcie łąki umajone!

– Coś wytłumaczysz? – Miśka popatrzyła na niego z lekkim niesmakiem.

– Ignacy jest dziedzicem majątku swojego ojca, który zajmował zawsze wysokie miejsce na liście najbogatszych przedsiębiorców – wyjaśnił Mario, nadal nabożnie wpatrzony w zaproszenie. – Tyle że trzymał się z daleka od salonów i nigdy nie dawało się go na nic namówić. Ani na sponsoringi, ani na udział w jakichkolwiek akcjach. Co prawda miał już prawie siedemdziesiątkę, rozumiem więc, że mogło mu się po prostu nie chcieć. Choć z drugiej strony, moja babcia ma siedemdziesiąt pięć i właśnie sprowadziła sobie z wakacji jakiegoś fagasa w podartych jeansach, z irokezem i z kolczykiem w nosie. Jak go zawlecze przed ołtarz, to ksiądz pewnie padnie trupem.

– Mario! – zniecierpliwiła się Miśka. – Do brzegu!

– Więc po tym, jak starszy Bursztynowicz kopnął w kalendarz, młody przejął całą schedę – Mario posłusznie oderwał się od babci skandalistki i wrócił do tematu – i szybko okazało się, że w przeciwieństwie do świętej pamięci papy ma ochotę stać się celebrytą. Szukam kontaktu do niego, odkąd tylko zaczął się regularnie pojawiać w Sensatku i „Koktajlu” jako gwiazda większa od Wieniawy i Musiała razem wziętych.

– Aż tak? – zdumiała się Miśka.

– Yhm. – Kosek pokiwał z takim rozmachem głową, że aż dziw, że mu nie odpadła.

– To dziwne, że nic o nim dotąd nie słyszałam – mruknęła Miśka, karcąc się w duchu za niedopuszczalne w ich profesji niebycie na bieżąco.

– Bo ty żyjesz w rzeczywistości, w której największą gwiazdą show-biznesu jest Mieczysław Fogg – Mario z politowaniem nazwał na głos jej cichutkie wyrzuty zawodowego sumienia.

– A nie jest?! – Miśka posłała mu ironiczne spojrzenie, rezygnując z samobiczowania na rzecz zdrowego podejścia do medialnej rzeczywistości, w której i tak nie warto było według niej zapamiętywać kolejnych szybko gasnących gwiazd. – W takim razie oświeć mnie, kim jest ten nowy heros na firmamencie znanych i lubianych.

– Przyszłą żyłą złota – rzekł Mario z przekonaniem. – Jeśli stanie się naszym klientem, będziemy mogli bić się piętami po tyłkach i zastanawiać, czy na wczasy jedziemy na Malediwy czy Seszele.

– Aż tak? – zdziwiła się szczerze Miśka.

– Tak, a nawet lepiej – zapewnił ją w natchnieniu Kosek. – Wszyscy go teraz chcą. Firmy sportowe i odzieżowe, spożywka, banki, a nawet farmacja. Budzi taką sensację, że za każdą imprezę, którą wymyślimy z jego udziałem, sponsorzy zapłacą nam dowolne sumy i jeszcze będą się bili na naszych schodach, kto da więcej. Zobaczysz!

– Skoro jest tak, jak mówisz – rzekła Miśka ostrożnie – to jakim cudem to właśnie my dostaliśmy zaproszenie na jego bal. Nie oszukujmy się, nie jesteśmy ani największą, ani najbardziej prestiżową agencją w naszym kraju...

Wyraz twarzy jej wieloletniego przyjaciela zmienił się tak bardzo, że musiałyby być ślepa, żeby tego nie zauważyć.

– Mógłbyś mi powiedzieć, co znowu wymyśliłeś? – zapytała, tknięta nagle złym przeczuciem.

– Oj, nic takiego... – zapewnił Mario, spuszczać wzrok.

– Mariuszu Leopoldzie Kosku – rzekła gniewnie Szustek. – Masz mi natychmiast powiedzieć, co narozrabiałeś!

– Nie mam na drugie Leopold! – zaprotestował nieśmiało jej współnik.

– Mario! – krzyknęła Miśka, nie będąc już w stanie opanować nerwów. – Mów!

– Po co robić takie karczemne awantury? – Mario wzruszył ramionami. – Porozmawiałem z Golden Girl...

– Czyś ty zwariował?! – Miśce opadły ręce ze zgrozy.

– Bardzo lubię Golden Girl – wtrąciła słuchająca ich dotąd cichutko Iwka. – Zapisałam się do jej kółka adoracji kwiatu lotosu „Artemida” i kupiłam w jej

sklepie internetowym dwie kości dinozaurów, dzięki którym przeszedł mi katar sienny. To znaczy dzięki jednej, druga jest na poprawę pracy mózgu.

– Czyli na pewno nie działa – zawyrokował Mario.

– Widzę tu więcej osób, którym szwankuje ten organ – wytknęła mu Miśka z wyrzutem. – Jak mogłeś?! Golden Girl?! Chcesz, żeby wszyscy się z nas nabijali?!

– Kiedy Ignacy ją uwielbia! – wyjaśnił Mario ze skruchą. – Nazywa ją zawsze w wywiadach kolorowym ptakiem i mówi, że jest dla niego przykładem osoby, która umie żyć pełnią życia i nie ogląda się na konwenanse.

– Widocznie jest tak samo porąbany jak ona – podsumowała Miśka. – Jeszcze mi powiedz, że coś jej obiecałeś...

– Owszem – rzekł niechętnie Mario. – Ale tylko dlatego, że nie wierzyłem, że naprawdę zarekomenduje nas Bursztynowiczowi.

– Co?! – Miśka popatrzyła niego wzorkiem, od którego, gdyby ten miał choć ciut więcej przyzwoitości, powinien paść trupem. – Co jej obiecałeś?

– Że zorganizujemy następny rytuał polowania na złą energię „Artemida walczy” – cicho rzekł Mario, unikając patrzenia jej w oczy. – W ogrodach Wilanowa...

– Hurra! – krzyknęła entuzjastycznie Iwka. – Zaraz się na to zapiszę!

Miśka wyglądała jak rażona gromem.

– Czy ja dobrze rozumiem, że zamierzasz przekonać włodarzy pałacu, którzy ledwo co dają się namówić na zorganizowanie w tym miejscu koncertu fortepianowego, do wydania zgody na to, żeby im po ogrodach ganiało stado półnagich wariatek strzelających do siebie z łuków?! – zapytała ze zgrozą. – Jakim cudem?

– No, przecież mówię, że nie do końca to jeszcze przemyślałem – przyznał Kosek. – Ale jestem pewny, że jakoś to się da załatwić. Może znajdzie się jakiś dokument, że kiedyś coś takiego miało już miejsce, na przykład za czasów Marysieńki, i w związku z tym robimy teraz rekonstrukcję historyczną...

– Rekonstrukcję to trzeba zrobić twojemu mózgowi – zawyrokowała Miśka – ale tym się zajmiemy w drugiej kolejności. Na razie zastanów się, skąd w ciągu tych kilku dni wytrzaśniemy kreacje balowe. W dodatku zgodnie z tym, co napisano na zaproszeniach, nawiązujące stylistycznie do dziewiętnastowiecznych...

– Dla mnie to oczywiste. – Mario wzruszył ramionami. – Wreszcie będę miał okazję założyć mój kostium Drakuli!

– Po pierwsze, rozumiem, że Drakula kojarzy ci się tylko z książką Stokera, żeby nie powiedzieć z filmem Coppoli, ale tak naprawdę to on żył w piętnastym wieku, a nie w dziewiętnastym – wytknęła mu Miśka. – Po drugie, nie wyglądasz

w tych czarnych łąkach jak Wład Palownik, tylko jak ożywiony topielec przebrany do trumny za górnika. Do kompletu brakuje ci tylko czako.

– Mogę ci pożyczyć – zaoferowała zupełnie poważnie Iwka.

– Naprawdę masz czako? – Mario tak się zdziwił tym faktem, że nie zareagował nawet na złośliwości przyjaciółki dotyczące jego nienagannego przecież zawsze wyglądu. – Po co ci?

– Doskonale pasuje do sukni ślubnej – wyjaśniła radośnie Iwka. – Na zasadzie kontrastu kolorystycznego.

– A po co ci suknia ślubna? – zdumiała się z kolei Miśka. – Przecież nawet nie masz narzeczonego!

– W czymś w końcu muszę robić zakupy w Kauflandzie, prawda? – odpowiedziała Iwka takim tonem, jakby to było oczywiste. – To co? Potwierdzać waszą obecność na tym balu?

– Nie – zaprotestował stanowczo Mario. – Sam to zrobię. Tylko wtedy będę miał pewność, że weźmiemy w nim udział. A to w tej chwili jest dla mnie najważniejsze!

Rozdział III

Ignacy wyszedł z basenu znajdującego się w nowoczesnym pawilonie, który w błyskawicznym tempie wybudowano na jego polecenie na skraju pałacowego ogrodu, wytarł się ręcznikiem i położył na podgrzewanym, kamiennym fotelu. Choć na zewnątrz panowała zima i temperatura oscylowała w okolicach zera, wewnątrz pawilonu kojarzyło się z tropikami.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

Ignacy zwrócił głowę w stronę, z której dobiegło go pytanie.

– Mamo – jęknął z niechęcią. – Rozmawialiśmy o tym już milion razy!

– Kiedy naprawdę nie chciałabym, żebyś zrobił coś, czego będziesz potem żałował... – Maria Bursztynowicz, leżąca na drugim kamiennym fotelu, poprawiła sobie na nosie kupione w internecie okulary wodorowe, które według reklamy miały jej zapewnić „oczoterapię, masaż i widoczną redukcję zmarszczek”, a po których zdaniem swojej mamy wyglądała „jak szop pracz w trakcie zatwardzenia”. – Ta dziewczyna po prostu nie jest dla ciebie!

– Czego ma żałować? – Najstarsza przedstawicielka klanu, okupująca ostatni z podgrzewanych foteli, Eugenia Krasucka, odjęła od ust cygaretkę i wypuściła potężną chmurę duszącego dymu. – Będzie miał miliony i pochędoży sobie do woli. Jak znam mężczyzn, nic więcej do szczęścia im nie potrzeba!

– Co ty mówisz... – jęknęła Maria, patrząc na nią z wyrzutem. – Tak nie wypada!

– Kiedy babcia ma rację – zgodził się ze śmiechem Ignacy. – Tylko ty robisz wielką aferę z mojego ożenku. A dla mnie to biznes jak każdy inny. I muszę to zrobić, zanim prawda wyjdzie na jaw...

– ...i sępy rzucają się na ciebie jak na padlinę – dokończyła Eugenia. – Skoro, moja droga, nie potrafiłaś upilnować tego starego fujary, mojego zięcia, to teraz nie biadol, że jego syn chce naprawić błędy tatusia.

– Jak niby go miałam upilnować? – zapytała z wyraźnym sarkazmem Maria. – Doskonale się kamuflował.

– Moja droga, małżeństwo jest jak więzienie – pouczyła ją Eugenia. – Albo jesteś klawiszem, albo więźniem. Lepiej dla kobiety, żeby wszystkiego dopilnowała, bo inaczej zostanie na lodzie. Tak jak ty, moja droga. A my razem z tobą...

– Już mi nawet nic nie mów. – Maria poprawiła okulary. – Czy dowiedziałeś się, jak wielkimi jesteśmy bankrutami?

– Owszem – niechętnie przyznał Ignacy. – Mamy jeszcze sporo na kontach, bo tata przed śmiercią nie zdołał wydać wszystkiego co do grosza, ale z drugiej strony, jeśli wszyscy wierzyciele skoczą nam do gardła naraz, to będziemy musieli ogłosić upadłość mniej więcej za miesiąc. Zresztą nawet jeżeli uda mi się ponegocjować z kilkoma, to i tak odwlekę to jedynie o góra pół roku. Tak czy siak, bez mojego ożenku jesteśmy w czarnej dupie.

– A moja biżuteria? – zapytała Eugenia, wyglądając w oparach wydychanego przez siebie dymu, jakby właśnie palono ją na stosie.

– Z całym szacunkiem, ale nie jesteś posiadaczką Koh-i-Noora albo diamentu maharadży – poinformował ją złośliwym tonem Ignacy. – Twoje błyskotki wystarczą w tych czasach na przebidowanie może miesiąca, a i to niepewne... Poza tym, jak się dowiedziałem, część z nich mój świętej pamięci tatulek wpisał do różnych umów jako zastaw...

– Moje skarby?! – Eugenia jedynie lekko ściągnęła brwi, co, jak wiedzieli jej krewni i bliscy znajomi, stanowiło dowód skrajnej irytacji. – Jakim prawem?

– A nie miałaś przypadkiem z nim umowy, zgodnie z którą zapewniał ci dożywotnio dach nad głową i opiekę w zamian za prawo do zarządzania całym twoim majątkiem? – zapytał Ignacy z ironicznym wyrazem twarzy. – Bo właśnie tym dokumentem majtał wszystkim swoim wierzycielom przed nosem...

– Może i miałam... – burknęła niechętnie Eugenia. – Ale kto mógł przewidzieć, że ten pawian wykorkuje przede mną?

– Skoro jesteśmy tacy biedni – wtrąciła Maria – to już zupełnie nie rozumiem, po jaką cholere kupowałeś ten nieszczęsny pałac?

– Dlatego, że był tani. Wziąwszy pod uwagę, ile tak naprawdę jest wart, to można powiedzieć, że kupiłem go za bezcen. Poza tym potrzebuję go dla zachowania pozorów – odpowiedział Ignacy z wyraźną rezygnacją. – Oraz dla zahamowania plotek, które już zaczęły krążyć po świecie o tym, że spadek po tatuniu wcale nie jest taki wielki, jak by się mogło wydawać.

– To są już takie plotki? – przestraszyła się Maria, która przyzwyczała się, że pod jej adres przychodzą regularnie paczki z prezentami od rozmaitych większych i mniejszych firm, tudzież zaproszenia na różne gale i przyjęcia, w których uwielbiała uczestniczyć, a na których biedaków raczej nie szło zauważyć. Na myśl, że teraz ją samą będzie można zaliczyć do grupy niemile widzianych na salonach, aż zakłuło ją w sercu.

– Owszem – potwierdził Ignacy. – Jeden z branżowych portali współpracuje blisko z kilkoma wierzycielami taty. Komuś się wymknęło jedno słowo za dużo

i charty już złapały trop. Niewiele jeszcze wiedzą, ale już niuchają. Dlatego staram się odwrócić uwagę wszystkich od biznesu i skupić ją na sobie.

– Z całkiem niezłym rezultatem – zauważyła Maria, zdejmując okulary i ściągając usta w grymasie niezadowolenia. – Gdybyś robił takie rzeczy jak teraz w latach mojej młodości, na pewno byłbyś uznany za *enfant terrible* i nie mógłbyś wejść do żadnego liczącego się lokalu.

– A co ja niby takiego robię? – zdumiał się szczerze Ignacy.

– Zmieniasz partnerki jak rękawiczki, szlajasz się po podejrzanych spelunach, zadajesz z jakimiś lafiryndami i mężczyznami, którzy wyglądają jak kryminaliści – wyliczyła jednym tchem Maria. – A przede wszystkim nosisz się jak dandys.

– W żadnej z tych rzeczy nie widzę niczego zdrożnego. – Ignacy wzruszył obojętnie ramionami. – A już zwłaszcza w tym, jak się ubieram i zachowuję. I niby który z moich znajomych wygląda, twoim zdaniem, na kryminalistę?

– Smoluchasty – odpowiedziała Maria, nakładając pod oczy krem.

– Smolasty – sprostował Ignacy. – To nie jest mój znajomy. Raz zapozowaliśmy wspólnie na ściance. Bardzo miły chłopak. Czemu niby miałby być kryminalistą?

– Bo ma tatuaże – odrzekła Maria takim tonem, jakby mówiła o czymś oczywistym.

– Boszzzzz... Jaka ty jesteś zacofana! – pufnęła gniewnie Eugenia, wymieniając papierosa w cygaretkę. – Teraz tatuaże są wyrazem autoekspresji i podkreśleniem własnego charakteru. Sama dumam, czy sobie jakiegoś nie pierdyknąć.

Maria ze zdumienia pacnęła sobie kremem prosto w oko i przez moment panowało zamieszanie związane z ratowaniem jej przed częściową ślepotą.

– Za każdym razem, kiedy myślę, że pobiłaś już rekordy głupoty, ty wymyślasz kolejne – rzekła z wyrzutem, kiedy już przemyśla gałkę kroplami i sprawdziła, czy, jak to się wyraziła, „nie ma zaburzonego pola widzenia dalszego i bliższego”, a co polegało na tym, że najpierw popatrzyła na wodę w basenie, a następnie na ostrzegawczy napis na opakowaniu papierosów należących do Eugenie, z którego wynikało, że zanim wypali choć jednego, starsza pani powinna zamówić sobie trumnę i grabarzy oraz przyjąć ostatnie namaszczenie. – Jeszcze ci tatuażu brakuje!

– A co byś chciała na nim mieć? – zaciekawił się Ignacy, ignorując historię matki.

– Myślę, że podobiznę Jima Morrisona – odpowiedziała Eugenia z namysłem – albo cytat z jednej z jego piosenek. Zapewne wiesz, że na początku lat siedemdziesiątych mieszkałam jakiś czas w Paryżu. Miałam wtedy... Jak by to ująć? Drobne co nieco z Jimem...

– Chcesz mi powiedzieć – Ignacy przez moment przetrwał usłyszaną wieść – że spałaś z liderem The Doors?

– Słowo „spałam” byłoby sporym nadużyciem – poprawiła go Eugenia. – Akurat snu to w tym wszystkim było tyle, co kot napłakał.

– Nie chcę tego słuchać! – Maria ostentacyjnie zatkała sobie uszy palcami.

– Poczekaj, no, poczekaj. – Ignacy wykonał w pamięci dwa ćwiczenia matematyczne. – Na początku lat siedemdziesiątych miałaś dwadzieścia kilka lat. A moją mamę urodziłaś, mając dwadzieścia, czyli...

– Została wtedy w Polsce ze swoim ojcem – wyjaśniła Eugenia z niewinną miną – a moim wtedy już byłym mężem. Ja zaś pojechałam odreagować to małżeństwo. Było okropne. Ten człowiek nigdy nie wiedział, czego mi było potrzeba, i nieustannie próbował zrobić ze mnie kurę domową. Wyobrażasz sobie mnie przy pralce „Frانيا” z odkurzaczem w jednej dłoni, a drugą mieszającą chochlą zupę na jego cholerny obiad?!

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie ciebie nawet w charakterze operatorki robota sprząającego – mruknął Ignacy.

– No właśnie – zgodziła się bez oporów Eugenia. – Rzuciłam twojego dziadka po dwóch latach, ale w tym czasie i tak popełniłam błąd, dając mu się namówić na dziecko, z którym potem musiałam się męczyć.

– No wielkie dzięki! – Maria popatrzyła na matkę z wyrzutem.

– To już znowu słuchasz? – prychnęła Eugenia. – Nie udawaj takiej oburzonej. Przecież wiele razy ci mówiłam, że polubiłam cię dopiero, gdy skończyłaś osiemnaście lat i opuściłaś mój dom. Wcześniej byłaś nie do zniesienia. Wciąż miałaś jakieś nedorzeczne żądania.

– Yhm. – Maria pokiwała głową, a wyłapawszy zaciekawiony wzrok Ignacego, dodała: – Chciałam dostać coś do jedzenia i mieć się w co ubrać. Faktycznie, same nedorzeczności...

– Babciu... – Ignacy popatrzył na Eugenię z wyrzutem.

– Nie twierdzę, że byłam najlepszą matką świata – rzekła obojętnym tonem Krasucka. – Moim zdaniem dzieci powinny być uczone od małego, jak sobie radzić z zaspokojeniem podstawowych potrzeb.

– Czyli na przykład palenia w piecu węglem, który w dodatku same kupią i tam nasypią – stwierdziła cierpko Maria. – Trudno się z tobą nie zgodzić.

– Ale jakoś wyrosłaś na ludzi, prawda? – Eugenia znów zaciągnęła się papierosem. – Jako dziesięciolatka umiałaś o wiele więcej niż twoi rówieśnicy. Zamiast docenić mój talent wychowawczy i swoje dzieciństwo, wolisz tylko jęczeć i jęczeć...

– Moje dzieciństwo to był obóz przetrwania – westchnęła Maria, po czym wróciła spojrzeniem do syna. – Uważasz więc, że ożenie się z tą mimozą jest jedynym ratunkiem? Przecież ledwo co się znacie. Co prawda spędziliście wspólnie trochę czasu w dzieciństwie, kiedy przyjaźniłam się z jej ojcem, ale to

było dwadzieścia parę lat temu. I nawet wtedy, z tego, co pamiętam, niezbyt za sobą przepadaliście. Zawsze niszczyłeś jej babki w piaskownicy. I nie oszukujmy się, nie wyrosła na zbyt piękną kobietę. Nie to co ty. Możesz mieć każdą. Zastanów się jeszcze, proszę!

– Ona nie jest taka zła – odparł Ignacy ostrożnie. – Zna języki, od czasu do czasu powie coś dowcipnego i w pewnym oświetleniu wygląda nawet prawie ładnie...

– Mnie się kojarzy z Andrzejem Grabowskim – zaopiniowała Eugenia. – Za każdym razem, kiedy ją widzę, mam ochotę zapytać, czy przyniosła jakieś garnki do kupienia.

– Trudno mi rozstrzygnąć, które z was ma gorszy charakter – rzekła z niesmakiem Maria. – A bal? Po co to szaleństwo? Przecież to będzie kosztowało jakieś miliony!

– Nie będzie. – Ignacy machnął lekceważąco dłonią. – Napitki dostajemy od sponsorów, catering też w zamian za reklamę w moich social mediach. Nawet i zespół muzyczny zgodził się zagrać za połowę stawki tylko dlatego, że poleciłem go kilku moim znajomym na rozmaite imprezy. Grunt to znać pół warszafki. Poza tym o balu będzie głośno, bo nie zaprosiłem na niego prawie żadnych dziennikarzy.

– To dopiero promocja! – prychnęła Maria. – Nie wiem, po co robić imprezę na pokaz, której nikt nie pokaże!

– Nie znasz mechanizmów, które rządzą show-biznesem. – Ignacy westchnął. – Jeśli teraz zaprosiłbym wszystkich i przy nich oświadczył się Sandrze, potem miałbym mniejsze pole do popisu, negocjując stawkę za pokazanie naszego ślubu i wesela. Natomiast zapraszając tylko dwie redakcje, daję sygnał, że moje życie zaczyna być bardziej prywatne, a co za tym idzie, trzeba będzie mi więcej zapłacić, żebym zgodził się je pokazać. Zobaczycie, kilka dni po balu będę przebierał w ofertach z rozmaitych portali, stacji telewizyjnych i gazet.

– Niby przywykłam, że wszystko w tych czasach jest na sprzedaż – zauważyła Eugenia, patrząc na wnuka wzrokiem, w którym dopatrzeć się można było i podziwu, i niesmaku. – Ale nadal fascynuje mnie, jak wielkie jest ludzkie wścibstwo.

– Większe niż ci się wydaje – zaśmiał się Ignacy – ale póki da się na tym zarobić, jakoś specjalnie mnie to nie martwi.

– A goście? – zapytała Maria. – Ustaliłeś już ich listę? Czy będzie Lucynka?

– Nie mógłbym ci tego zrobić i jej nie zaprosić – zapewnił Ignacy. – Choć zastanawiam się, na co teraz chcesz dostać od niej zniżkę. Przecież nici ciągle trzymają! Chyba że o czymś nie wiem i rozwiązał ci się supełek...

– Jaki supełek? – zaniepokoiła się Maria.

– Skoro wszystko ci podciągnęli tymi niciami z obu stron, to gdzieś musieli zawiązać je na supełek, prawda? – zapytał niewinnym tonem Ignacy. – Pewnie na czubku głowy, bo tam idzie to zamaskować włosami.

– Głupoty opowiadasz – warknęła Maria. – Supełek... Dobre sobie. To nici, a nie sznurowadła.

– Jakbyś sobie obwiązała twarz sznurowadłami, to efekt byłoby mniej więcej podobny – zauważyła Eugenia. – Za to koszt mniejszy...

– To zadziwiające, jacy zawsze jesteście zgodni, kiedy schodzi na mnie – mruknęła Maria. – Poza tym nici robiłam już dawno i zdążyły się rozpuścić. Teraz marzy mi się seria fotona 4D...

– Kolejny idiotyzm... – pufnęła Eugenia, przewracając oczami.

– Nie idiotyzm, tylko przełomowe odkrycie – poinformowała ją Maria, która z czym jak z czym, ale z nowinkami medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej zaznajomiona była w takim stopniu, że mogłaby w cuglach wygrać teleturniej „Jeden z dziesięciu”, oczywiście pod warunkiem, że pytania ograniczyłyby się tylko do tej dziedziny. – To terapia, która łączy cztery zabiegi laserowe. Podczas każdego z nich wykorzystuje się nie, jak dotąd, jeden, ale od razu dwa lasery, które działają na różnych głębokościach, od warstwy zewnętrznej po tkanki głębokie.

– Powinni ci tym laserem podziałać na mózg – rzekła stanowczo Eugenia. – I to na te tkanki najgłębsze. Może jeszcze zdołają je jakoś uratować, bo dla tych zewnętrznych nie ma już żadnej nadziei...

– Tak czy siak – Maria zignorowała jej uwagę. – Lucynka jest mi potrzebna. Jeśli ją zaprosisz na bal, to będzie czuła się zobowiązana i na pewno znów da mi niezłą zniżkę.

– Mówisz, masz – zapewnił ją Ignacy. – Czego się nie robi, żeby mieć matkę seksbombę? Poza tym zaprosiłem też Wellmanów.

– Nuda. – Eugenia się skrzywiła. – On sztywny jak trup i bez mózgu, za to ona pozjadała wszystkie rozumy i steruje nim jak pacynką. Gdy na nich patrzę, zastanawiam się, czy bez jej zgody wolno mu iść choćby do wucetu.

– Babciu... Przecież to jest minister!

– I niby o czym ma to świadczyć? – Starsza pani wzruszyła ramionami. – Mało to pospolitych głupków było ministrami? Zresztą wiadomo, że jak już ktoś jest kompletnym imbecylem i nie nadaje się do niczego, to idzie do polityki. Tak jak ten minister rolnictwa, który nie umiał odróżnić kaczki od gęsi i jałówki od cielaczka. A jak zaczął przed kamerami doić krowę, to nawet ona miała zdziwiony wyraz pyska...

– Zaprosiłem też Manuela Kłosa...

– Nie znam... – Eugenia skrzywiła się po raz kolejny.

– Jak to nie znasz? To mój kumpel z liceum, Maniuś – przypomniał jej wnuk.

Eugenia klepnęła się dłonią w czoło

– Skleroza... – przyznała ze skruchą.

– Obecnie jest początkującym pisarzem. Bardzo teraz na fali. Krytycy rozplývają się w zachwytach nad jego twórczością, a Danusia Klonowska lada moment będzie kręcić film na podstawie jego powieści. W sumie to nawet nie wiem, czy przyjdzie, bo ostatnio był na mnie obrażony, już nie pamiętam o co...

– A Danusia będzie? – zapytała z nadzieją Maria, która polubiła młodą reżyserkę głównie ze względu na to, że jej ojciec, od lat rezydujący w Szwajcarii, był tam jednym z bardziej wziętych chirurgów plastycznych.

– Niestety nie – rozczarował ją Ignacy. – Kończy film na Korfu. Też ekranizację jakiejś książki. Niedawno z nią rozmawiałem. Żaliła mi się, że na wyspę przyjechał jej autor i zachowuje się, jakby był Mariah Carey. Nic mu się nie podoba, o wszystko się piekli i wszędzie wścibia swój nos. Ta jego powieść nosi tytuł „Morderstwo na Korfu” i podobno wszyscy z ekipy filmowej są już bliscy tego, żeby wcielić jej fabułę w życie. Z autorem w roli ofiary.

– Szkoda, że jej nie będzie... – westchnęła Maria. – Kto jeszcze?

– Marcin Prusik z narzeczoną.

– Tylko z nią...? – Eugenia posłała wnukowi ironiczne spojrzenie.

– Nie – Ignacy nie musiał dopytywać, żeby wiedzieć, do czego pije jego babcia. – Oczywiście, będzie z nimi też twój ulubieniec, Julek.

– Od razu ulubieniec – mruknęła pod nosem starsza pani. – Po prostu przypomina mi jednego z moich kochanków z Rodos. Mieliśmy tam w latach siedemdziesiątych enklawę wolnej miłości w jaskiniach na południu wyspy. On był najprzystojniejszy ze wszystkich mężczyzn, których tam miałam...

– To jest dokładnie ten powód, dla którego nienawidzę podróżować – rzekła gniewnie Maria do syna. – Gdziekolwiek bym nie pojechała, mam pewność, że moja matka wcześniej uprawiała tam już tarło...

– Zaraz tam tarło. – Eugenia machnęła lekceważąco ręką.

– Na twoim miejscu radziłabym trzymać pana Juliana z daleka od babci – zasugerowała Maria.

– Akurat w jego towarzystwie nic mi nie grozi. – Starsza pani uśmiechnęła się złośliwie. – On gra w kompletnie innej lidze...

– Gra w lidze? – zdumiała się jej córka. – Nie wiedziałam, że jest piłkarzem...

– Czasem mam wrażenie, że jednak musieli podmienić cię w szpitalu. – Eugenia pokiwała smętnie głową. – Iguś, wytłumacz swojej matce, co miałam na myśli, a ja skoczę po drineczka. To dramat, że mamy teraz służbę tylko do siedemnastej. Jeszcze nie zbankrutowaliśmy, a ja już się czuję jak plebejka.

– Babci chodziło o to, że Julek...

- ...nie gustuje w starych kobietach?
- Raczej nie gustuje w kobietach w ogóle...
- No co ty! – Maria zrobiła wielkie oczy. – Chcesz powiedzieć, że... Nie wierzę! Przecież to taki przystojny i męski młody człowiek.
- A co to ma niby do rzeczy? – zdziwił się Ignacy.
- No wiesz... – Maria wyglądała na zakłopotaną. – Przecież ci... No... Jak ich się teraz nazywa? O, kochający inaczej. Są zniewieściali i tacy kobiecy...
- Matka, w którym ty wieku żyjesz? – Ignacy z niedowierzaniem pokręcił głową. – Gdy jeszcze nie miałem domowej siłowni i chodziłem do klubu, to połowa bysiorków z przerostem mięśni gustowała tylko w swoim własnym towarzystwie. Aż strach było iść tam pod prysznic...
- Jak możesz... – oburzyła się Maria. – I twierdzisz, że pan Julian też...
- W tej kwestii całkowicie ufam intuicji babci. A ona jest tego pewna.
- Doświadczenie uczy, że często ma rację – zauważyła jego rodzicielka. – Przed twoim ojcem też mnie od samego początku ostrzegała. Przez długie lata byłam pewna, że się myliła, ale okazało się, że jednak nie. Swoją drogą, też nie rozumiem, jak mogłam być tak bardzo ślepa.
- Wszyscy byliśmy – pocieszył ją Ignacy. – Nawet babcia z tą swoją intuicją. Nie chciałem jej już dobijać, ale z jej majątku nie został nawet grosz. A uzbierała go sporo...
- Gdyby babcia nie wydawała przez całe życie na żigolaków, to byśmy mieli fortunę niczym Rockefellerowie – skomentowała kąśliwie Maria. – Nigdy nie umiała się hamować. W żadnej dziedzinie...
- A ja jej tego zazdroszczę. Żyła tak, jak chciała. Robiła, co chciała i z kim chciała... I z tego, co wiem, nigdy niczego nie żałowała.
- O tak. – Maria skwapliwie pokiwała głową. – W usprawiedliwianiu przed samą sobą własnych idiotyzmów twoja babcia nie ma sobie równych.
- Chyba nie do końca jesteś dla niej sprawiedliwa, ale rozumiem, że macie za sobą kawał historii, i nie wnika. Obie was kocham i dlatego zamierzam zrobić to, co trzeba, żeby zapewnić wam dostatnie życie.
- I sobie przy okazji też. – Maria popatrzyła na syna ironicznie.
- Owszem – przyznał uczciwie Ignacy. – Sobie też.

Rozdział IV

Jeśli zamierzeniem budowniczego pałacu w Klepaczowicach było to, aby robił on jak największe wrażenie na osobach, które go zobaczą, to trzeba przyznać, że udało mu się je w pełni osiągnąć.

Postawiony na sztucznie usypanej wyspie, piętrowy, mający kształt trójkąta równobocznego, ozdobiony przeszkloną kopułą pośrodku, zwracał uwagę przede wszystkim swoją różową barwą. Porażała ona zwłaszcza od frontu, zwróconego na południowy wschód i doskonale podkreślonego promieniami słońca. Elewację całego budynku wykonano podobnie, z wyjątkiem właśnie fasady frontowej. Tę wyposażono bowiem w dodatkowe elementy architektoniczne i rzeźbiarskie, w tym w kilka naw, w których ustawiono naturalnej wielkości posągi. Choć na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że te kamienne postacie to starożytni Grecy czy Rzymianie, dopiero odczytanie napisów pozwalało się zorientować, że w strojach z tamtej epoki przedstawiono najśłynniejszych polskich masonów na czele z twórcą rodzimego Wolnomularstwa Narodowego, Walerianem Łukasińskim, królem Stanisławem Augustem Poniatowskim czy twórcą słów hymnu narodowego, Józefem Wybickim. Co ciekawe, coraz to nowsze figury pojawiały się w tych nawach stopniowo przez lata, i to niezależnie od tego, kto był aktualnym właścicielem pałacu i jaką pełnił on rolę, zupełnie jakby je dostawiano po śmierci kolejnego słynnego polskiego wolnomularza, czego przykładem była choćby stylizowana antycznie rzeźba Gabriela Narutowicza czy – błyszcząca jeszcze od świeżości – Jana Józefa Lipskiego. Jakby tego było mało – kilka miejsc było wciąż pustych i sprawiało takie wrażenie, jakby oczekiwało na kolejnych masońskich bohaterów.

– Wygląda jak pałac Barbie – zauważył Mario, kiedy już razem z Miśką zaparkowali samochód na oddalonym o kilkadziesiąt metrów od głównego budynku parkingu. – Gdybym nie przeczytał, że wybudowali go masoni, pomyślałbym, że Disney.

– Albo Doda – zgodziła się Miśka, podziwiając jedyny w swoim rodzaju landrynkowy kolor elewacji. – Szał ciał.

– A mnie się podoba. – Usłyszeli za sobą znajomy głos Katarzyny Marusik, zajmującej się kwestiami stylu internetowej influencerki, znanej jako Golden Girl. – Kolor różowy jest symbolem emocjonalnego uzdrawiania. Działa kojąco

na nasze zmysły, może pomóc w redukcji stresu i napięć nerwowych. Nie mówiąc już o tym, że jest też barwą miłości i symbolizuje serdeczność oraz erotyzm. Nie czujecie jego pulsującej mocy?

– Nie – zaprzeczyła stanowczo Miśka.

– Mnie głównie wkurwia – zabrzmiała wygłoszona w tym samym momencie odpowiedź Mario. – Z różowych rzeczy uznaję tylko serial telewizyjny, ten o latach siedemdziesiątych. Cała reszta to kiczowisko.

– No tak... – Golden Girl westchnęła, patrząc na nich współczująco. – Widać, że jesteście na niższym szczeblu rozwoju duchowego. Ale mamy tutaj sporo wolnego czasu, to może pomogę wam pokonać kilka stopni w samoświadomości i odkrywaniu wiedzy o świecie. Kolory są tego ważnym elementem.

– I pewnie dlatego sama przypomina tablicę do badania daltonizmu – szepnął Mario, starając się wszelkimi siłami ukryć obrzydzenie, jakie wywołał w nim pstrokaty strój influencerki.

Choć sam miał skłonności do krzykliwych kreacji, to jednak nigdy nie połączyłby błękitnych satynowych spodni z czerwoną oversize'ową bluzą z poliestru i ortalionową zieloną kurtką. W końcu istniały granice, których nie należało przekraczać. Nawet w imię oryginalności.

– Co tam mówisz, skarbie? – zaciekawiała się Golden Girl.

– A nic, nic – wycofał się szybko Mario. – Zgodziłem się, że jesteśmy na niższym stopniu rozwoju duchowego. I pewnie wyżej się nie wdrapiemy, bo Miśka ma lęk wysokości, a ja jestem leniwy.

– Kiedyś jeszcze oboje dojrzejecie – zapowiedziała Golden Girl. – Zapraszam was na rytuał Artemidy, skoro już i tak go organizujecie.

– To się jeszcze zobaczy – mruknęła Miśka pod nosem, ale głośno zapewniła: – Oczywiście. Odkąd tylko pierwszy raz zobaczyłam ogrody Wilanowa, zawsze chciałam tam ustrzelić kogoś z łuku...

– Kochanie... – Influencerka popatrzyła na nią pobłaźliwie. – Tu nie chodzi o to, aby kogoś ustrzelić, tylko o to, aby odkryć w sobie pierwotny ogień, jaki podarowała nam matka natura. Aby zedrzeć z siebie całą tę warstwę egzystencjalnej nowoczesności i zanurzyć się w prymitywnym oceanie dzikiej niewinności.

– Pięknie powiedziane. – Mina wypowiadającego te słowa Mario była nieodgadniona. – Szkoda, że mężczyźni nie mogą brać w tym udziału...

– Kto tak twierdzi?! – zdziwiła się Golden Girl. – To, że żaden facet nie okazał się jeszcze na tyle odważny, żeby do nas dołączyć, nie oznacza, że jesteśmy na nich zamknięte. Jeśli chcesz wziąć udział w naszym rytuale, z miłą chęcią wpiszę cię na listę uczestników.

– Na pewno chce! – zapewniła Miśka, ostatkiem sił hamując się przed wybuchnięciem śmiechem. – Spełnisz jego marzenie, bo odkąd tylko się dowiedział, że go organizujemy, bardzo przeżywał, że jego samego to ominie.

– Świnia – szepnął Mario z kwaśną miną, korzystając z okazji, że uwagę ich towarzyszek skupił nadchodzący ku nim od strony pałacu postawny, na oko czterdziestoletni brunet.

– Witam – rzekł, kiedy zbliżyli się do siebie. – Nazywam się Tomasz Garliński i mam przyjemność w imieniu państwa Bursztynowiczów przywitać państwa serdecznie w Klepaczowicach. Jestem odpowiedzialny za dopilnowanie, aby niczego państwu nie zabrakło w czasie tych trzech dni, które tu spędzicie. Wasze pokoje są już przygotowane. Za moment moja współpracownica wskaże je państwu. Tereska!

Z drzwi wejściowych truchtem wybiegła wyraźnie zaaferowana, mała, szczupła, ubrana na szaro kobieta, którą Mario w duchu nazwał „myszką”.

– Pomieszałam klucze – oznajmiła przeproszającym tonem, gdy stanęła przy Tomaszu. – Ale już chyba wiem, który jest do czego.

– Przywitaj się z państwem – rzekł Garliński lodowatym tonem, mierząc ją gniewnym spojrzeniem.

– Aaaa, oczywiście. – Kobieta omiotła Mario, Miśkę i Golden Girl roztargnionym wzrokiem, po czym z każdym wymieniła dość nerwowo uścisk dłoni, przedstawiając się równocześnie. – Teresa Machnik. Pomagam Tomaszowi w ogarnięciu tego bałaganu...

– Tereska! – warknął wyraźnie już wkurzony Garliński.

– To znaczy, wiadomo, że gdy się robi imprezę, to zawsze coś się chrzani – poprawiła się szybko Teresa, a wyłapując wzrok swojego kolegi, zaczerwieniła się i dodała: – Mamy bardzo dużo na głowie, a ten pałac to prawdziwy koszmar.

– Czy mogłabyś po prostu zaprowadzić państwa do ich pokojów? – W głosie Tomasza gniew powoli zaczęła zastępować rozpacz. – I powstrzymać się od dalszych, zbędnych komentarzy...

– Jasne – zapewniła Teresa. – Proszę za mną. Spróbuję znowu się tam nie zgubić...

– Jak widać, każdy z nas ma swoją Iwkę – szepnął Mario, kiedy już podążali za wyraźnie gubiącą się wśród pałacowych korytarzy Machnik.

Na usprawiedliwienie tej ostatniej trzeba jednak dodać, że środek budynku faktycznie wyglądał na zaprojektowany przez fana labiryntów. Na parterze przez krótki i wąski hol wchodziło się do ogromnej okrągłej sali, skąd przez kilka par drzwi przechodziło się do kolejnych pomieszczeń.

– Mam rozpiskę – powiadomiła ich Tereska, zerkając nerwowo na jakąś sfatygowaną kartkę, którą wyjęła z kieszeni spódnicy. – Niech no znajdę...

Państwo – popatrzyła na Mario i Miśkę – mają pokój na piętrze, ostatni w lewym skrzydle pałacu. Widok z okien jest marny, bo na parking i podjazd, ale przynajmniej kaloryfery działają na sto procent. W prawym skrzydle jest znacznie chłodniej...

– A gdzie jest mój pokój? – zaciekała się Golden Girl.

– Też w lewym... – Teresa przyjrzała się kartce. – A nie, w prawym!

– Czyli mam zadzwonić do mojej babci, żeby przysłała mi pierzynę, tak? – zaśmiała się influencerka, a widząc rumieniec na twarzy Machnik, dodała: – Spokojnie, proszę się nie przejmować. Mnie zimno niestraszne. Niskie temperatury hartują organizm i znakomicie wpływają na jasność umysłu.

– Oraz zużycie pudru – mruknął Mario, a wyłapując zdziwione spojrzenie Miśki, wyjaśnił szeptem: – Przecież trzeba jakoś zakamufłować czerwony nos...

– Za to ma pani piękny widok z okna – starała się jakoś ratować sytuację Machnik. – Na park i jeziorko. Co prawda teraz skute lodem, a drzewa ośnieżone, ale nadal wygląda to baśniowo...

– Znakomicie – zapewniła ją Golden Girl. – Będę miała kontent na socjale... A kiedy poznamy właściciela pałacu?

– Pan Bursztynowicz załatwia jeszcze sprawy w stolicy – poinformowała Teresa, zadowolona, że jej prawdomówność tym razem nie spowodowała żadnej awantury ani afery, co zdarzało jej się wiele razy w przeszłości. – Wcześniej pewnie wrócą panie Bursztynowicz i Krasucka, bo pojechały na zakupy i zabiegi do Lidzbarka. Lada moment spodziewamy się też pozostałych gości. Na razie przyjechał tylko pan Kłos.

– Ten pisarz? – upewniła się Golden Girl. – To bardzo dziwny człowiek...

– Znasz go? – zaciekał się Mario.

– Spotkaliśmy się na jakiejś imprezie. Już nawet nie pamiętam jakiej. Miałam wrażenie, że jest... no... jak by to ująć...

– Stuknięty? – podpowiedział uczynnie Mario.

– Tak jakby – przyznała Golden Girl. – A co? Też tak myślisz?

– Jeszcze nic nie myślę, bo w życiu go nie widziałem na oczy – zastrzegł się Kosek. – Znam go jedynie z opowieści, ale te są zadziwiająco zgodne. Wszyscy twierdzą wprost, że ma nierówno pod sufitem.

– Lubię jego książki – wtrąciła Miśka. – Bywają okrutne, ale za to zawsze mają jakieś przesłanie. Na podstawie jego powieści nigdy nie powiedziałabym, że ma problemy z psychiką. Wręcz przeciwnie. Wydaje się całkiem rozsądnym człowiekiem. I doskonałym obserwatorem rzeczywistości.

– No to poczekaj, aż go poznasz. – Golden Girl się zaśmiała. – Założę się, że błyskawicznie zmienisz zdanie...

– Mnie też on nie wydaje się normalny – poparła ją Teresa. – Gdy przyjechał, jakieś dwie godziny temu, nawet się nie przywitał, tylko odmruknął „bry”, a potem zamknął się w pokoju i nawet na minutę z niego nie wyszedł.

– Może zamarznął? – podsunął Mario. – Na śmierć.

Teresa popatrzyła na niego z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Aż tak zimno to tam nie jest – zapewniła szybko.

– Przecież żartowałem – usprawiedliwił się pojednawczo Mario. – Niech się pani nie przejmuje. Większość znanych mi pisarzy to odludki. Spędzają całe dnie w samotności przed komputerem, to dziczejają...

Mówiąc to, Mario nagle się zatrzymał, bo właśnie weszli na piętro. Jeśli parter pałacu wydawał się dość oryginalny, piętro jedynie to wrażenie potęgowało. Pierwszym, co zwracało uwagę po pokonaniu schodów, był trójkątny hol, pośrodku którego znajdowały się kolejne, wąskie, spiralne schody, prowadzące w dół i jako takie nasuwające skojarzenia z wyjściem awaryjnym. Tyle że takowego można byłoby się raczej spodziewać na zewnątrz budynku, a nie w samym jego środku.

– Też się zdziwiłam – rzekła Teresa, wyłapując jego osłupiały wyraz twarzy. – To jest bezpośrednio zejście do groty skalnej...

– Słucham?! – zdumiał się jeszcze bardziej Kosek.

– Grota solna? – ucieszyła się dokładnie w tym samym momencie Golden Girl.

– Taka relaksacyjno-lecznicza? Nie wiedziałam, że jest tu coś takiego...

– Bo i nie ma – odpowiedziała ponurym, nie wiedzieć czemu, tonem Machnik.

– To jest dziwaczne pomieszczenie. Wygląda jak jaskinia. Nie ma tam normalnych ścian, tylko głazy i kamienie, na których wyryto jakieś niezrozumiałe napisy i znaki. Wszystko jest ponure i takie trochę... diabelskie. Dostałam ciarek ze strachu, jak tylko tam weszłam...

– Chcę ją zobaczyć! – zakrzyknął Mario. – Uwielbiam takie tajemnicze miejsca!

– I ty się dziwisz, że nie umiesz zwolnić Iwki... – Miśka westchnęła. – Może dlatego, że jesteście tacy sami. Ona też natychmiast by tam poleciała.

– A ty nie? – zdziwił się jej przyjaciel.

– Jakoś nie czuję potrzeby, żeby to obejrzeć...

– Za to ja się tam z tobą chętnie wybiorę – zapewniła go Golden Girl. – Brzmi to jak niezły kontent na socjale...

– Będziecie państwo musieli poczekać – ostudziła ich zapał Teresa. – Na końcu schodów są masywne żelazne drzwi, przez które wchodzi się do groty, a do których klucze ma tylko pan Bursztynowicz. Na pewno jednak będzie chciał państwu to miejsce pokazać. Tak jak i resztę pałacu.

Od holu odchodziły dwa korytarze. Każdy z nich rozwidłał się na kolejne i kolejne, tworząc trudny do zapamiętania labirynt.

– Pan Bursztynowicz twierdzi, że układ pomieszczeń w pałacu zaskakuje tylko na początku, a potem już się człowiek do niego przyzwyczaja – poinformowała z rezygnacją Teresa. – Jestem tu drugi dzień i nadal uważam, że wymyślił to jakiś pomyleniec. Proszę, państwa pokój, ale z dwiema sypialniami, jest tutaj... – Wbrew swoim słowom dość szybko i bez wahania przeszła przez jeden z korytarzy, a następnie otworzyła drzwi i wręczyła Mario klucz. – Przepraszam, jest tylko jeden...

– Nie szkodzi, poradzimy sobie – zapewnił.

Miśka stanowczym gestem odebrała mu klucz.

– Teraz sobie poradzimy – rzekła z przekąsem. – I nie trzeba go będzie jutro dorabiać...

– No wiesz! – prychnął Kosek.

– A przypomnisz mi, ile kluczy musieliśmy dorobić do twojego gabinetu w firmie, i to wcale nie przez Iwkę? – zapytała z niewinną miną Miśka.

Mario prychnął, wyrażając tym oficjalnego focha, po czym przekroczył próg pokoju i lekko zdębiał. Spodziewał się bowiem królewskich wnętrz rodem z oglądanych czasem na wyjazdach zagranicznych siedzib koronowanych głów. Tymczasem pomieszczenie, które miał przed oczami, bardziej pasowało do wiejskiego hotelu niż zabytkowego pałacu.

– Jakby były jakieś problemy, to na kartce na stoliku przy łóżkach znajdziecie państwo numery telefonów do mnie i do pana Tomasza, a także do dwóch osób, które zostały przez państwa Bursztynowiczów zatrudnione do pomocy w tych dniach – wyjaśniła Teresa, zwracając się następnie do Golden Girl: – Teraz zaprowadzę panią...

Pozostawieni sami, Mario i Miśka, przez moment jeszcze ze zdziwieniem oglądali pokój.

– Nic z tego nie rozumiem. – Pokręcił głową z niedowierzaniem Kosek, siadając na łóżku i nieco się przy tym krzywiąc. – No tak, prycza. Mój kręgosłup to odcierpi...

– Daj spokój, nie masz przecież stu lat...

– Powiedz to moim plecom. Zresztą u nas to rodzinne. Mój ojciec zawsze zabierał ze sobą na wakacje specjalną poduszkę i masażer. Z tym ostatnim to nawet mieliśmy przejścia na granicy w Bułgarii, bo pani celniczka postanowiła skontrolować nasz bagaż, wyjęła masażer i była pewna, że jest to dildo, więc chciała zapytać swoich kolegów, czy na wóz gadżetów erotycznych nie trzeba mieć jakichś specjalnych pozwoleń. Mój ojciec chciał jej wytłumaczyć, do czego służy ten przyrząd, i zaczął pokazywać na swój tył, a ona z tej jego pantomimy

rozumiała, że on nie dość, że sam go używa, to jeszcze od tamtej strony, a do tego jest z tego wielce dumny, i o mało co go nie aresztowała za obrazę moralności. Gdyby nie stał za nami jakiś człowiek, który mówił po bułgarsku i w końcu, jak już opanował atak śmiechu, wszystko jej przetłumaczył, to pewnie ojciec skończyłby w więzieniu jako oblesny dewiant.

– Kocham opowieści o twoim dzieciństwie – parsknęła śmiechem Miśka, przechodząc do swojej sypialni oddzielonej od Mariowej jedynie plastikowymi drzwiami harmonijkowymi, gdzie też usiadła na łóżku, skąd miała widok prosto na przyjaciela. – Dzięki nim rozumiem, dlaczego jesteś teraz taki, jaki jesteś. No, faktycznie, sypiałam już bardziej komfortowo...

– Dziwne, że Bursztynowicz pozwolił sobie na taką taniochę – zauważył Mario, z krzywą miną patrząc na wyposażenie pokoju.

Szara wykładzina podłogowa, rolety w oknach, plastikowy żyrandol... Nie sposób było też nie zauważyć, że znajdujące się tu nieliczne meble, choć nowe, sprawiały wyraźne wrażenie tandetnych. Oprócz łóżka stały tam jeszcze jedynie szafka nocna, szafa na ubrania, prosty niewielki fotel oraz maleńkie biurczko, na którym obok lampki nocnej oraz dwóch filiżanek ze spodeczkami rodem z Ikea królował koszmarny komplet do parzenia kawy ozdobiony logo firmy słynącej z produkowania najtańszego sprzętu AGD. Przy nim na plastikowej podstawie leżały dokładnie cztery kapsułki kawy oraz cztery plastikowe mieszadła. Za to w sypialni Miśki oprócz łóżka i szafki nocnej nie było niczego.

– Szajs. – Głos Mario wyrażał jedynie pogardę. – Zdziwiałające.

– Może to tylko nasz pokój jest taki – zastanowiła się głośno Miśka, lustrując swoje lokum. – W końcu, nie oszukujmy się, w hierarchii zaproszonych tu VIP-ów plasujemy się na szarym końcu.

– Może... – Mario nie był przekonany. – Choć gdybym miał tyle kasy, co Bursztynowicz, to nawet służbie zapewniłbym bardziej luksusowy nocleg.

– Dobra, już nie deliberujmy. – Miśka wstała z łóżka, po czym otworzyła swoją walizkę i zaczęła ją rozpakowywać. – To tylko dwa dni. Wytrzymaliśmy w hotelu „Kujawik”, to damy radę i tutaj. Przynajmniej nie wieje nam halny z nieszczelnych okien...

– Co racja, to racja... – przyznał Mario, przypominając sobie nocleg we wzmiankowanym przez przyjaciółkę obiekcie, w którym na dzień dobry w pokoju przywitał ich polarny ziąb, następnie okazało się, że niejako w komplecie do niego ze wszystkich możliwych źródeł wody leci tylko ta lodowata, spać trzeba na czymś kojarzącym się z łóżem madejowym albo inną średniowieczną machiną tortur, o piątej rano budzi wszystkich pianie koguta o natężeniu mogącym poderwać na równe nogi nawet nieboszczyka w trumnie, a w recepcji ma dyżur średnio rozgarnięty młody człowiek, który na wszystkie pytania odpowiada:

„Zaraz zgłoszę to do szefa” i zapomina przy tym poinformować, że ów właśnie wygrzewa się na Zanzibarze i ma w nosie, co dzieje się dziesięć tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie właśnie serwują mu drinki z palemką.

Wkładająca swoje rzeczy do szafy Miśka kątem oka odnotowała, że widok z okien mają równie atrakcyjny, co samo lokum, oraz że na parking podjechał właśnie srebrny lexus, z którego wysiadają znani jej tylko z widzenia Wellmanowie. A mówiąc dokładniej, najpierw od strony kierowcy z auta dostojnie wyłonił się Jakub, dopiero po chwili, kiedy ten podszedł i otworzył drzwi od strony pasażera, równie dostojnie z pojazdu wysiadła jego żona Patrycja, przyjmując oparcie na dłoni męża. Wyraźnie zniesmaczony wyraz twarzy ministrowej nie pozostawiał wątpliwości, co myśli o wizycie w tym miejscu. Najwyraźniej wydała też od razu kilka poleceń swojemu małżonkowi, przy okazji wskazując różne rzeczy palcem, bo ten natychmiast rzucił się spełniać jej żądania. Najpierw z tylnego siedzenia wywlókł coś, co w pierwszej chwili sprawiło na Miśce wrażenie zwłok niedźwiedzia polarnego, a okazało się monstrualnym futrem, następnie wyciągnął z bagażnika olbrzymią torbę z wyraźnymi nawet z oddali złotymi literkami LV, oznaczającymi, że wyprodukowała ją snobistyczna firma rodem z Paryża, na koniec zaś podał żonie coś, co kojarzyło się z ogromną butelką whiskey, a było flakonem perfum, którymi jego luba spryskała się tak obficie, jakby próbowała się zdezynfekować po wizycie w strefie skażenia biologicznego.

– Pan minister i jego połowica właśnie przyjechali – poinformowała przyjaciela. – I wydaje mi się, że ona cierpi na gigantomanię.

– Żeby tylko! – prychnął Mario, podchodząc do okna. – Cierpi też na nadmiar ambicji, tyle że nie tych dotyczących jej samej, a jej męża. Jego to mi nawet szkoda. Całe życie haruje, żeby zadowolić kogoś, kto z założenia i tak nigdy nie będzie do końca szczęśliwy.

– Trzeba jednak przyznać, że dzięki temu udało mu się co nieco w życiu osiągnąć – zauważyła Miśka. – W końcu droga od piłkarza w nikomu nieznanym klubie przez kapitana drużyny narodowej aż po ministra sportu jest imponująca. I to wszystko bez żadnych skandali i afer! Ja go za to bardzo szanuję.

– A ja się zastanawiam, ile trupów pochowanych jest u nich po szafach...

– Co masz na myśli?

– To... – zaczął Mario z lekkim zakłopotaniem – ...że zawsze mnie fascynował ten ich idealny świat. I wydawało mi się, że jest zbyt krystalicznie czysty na to, aby mógł być prawdziwy. Mam wrażenie, że oboje wykreowali rzeczywistość, która jest tylko na pokaz.

– Bo sam jesteś cynikiem i nie wierzysz, że można do czegoś dojść bez kompromisów i kombinowania. Choć zobacz, że naszą firmę też prowadzimy

uczciwie...

– Tak jakby... – Kosek uśmiechnął się krzywo.

– O czymś nie wiem? – zdumiała się Miśka.

– Wiesz, tylko wyparłaś to z pamięci – oświadczył Mario, a widząc zdziwienie na twarzy przyjaciółki, machnął ręką. – Daj spokój...

– Nie, nie, mój mości panie – sprzeciwiła się stanowczo Szustek. – Skoro powiedziałaś „a”, pora też na „b”. Kiedy to niby zrobiłam coś nieuczciwego?

– Może nie nieuczciwego – odpowiedział łagodnie Mario – ale na granicy etyki, a i owszem, zdarzyło ci się to parę razy. Kto latał z kremami odmładzającymi do mamy Olympusa, kiedy staraliśmy się o organizację jego pokazu mody?

– To nie było nieetyczne! – zaprotestowała ogniście Miśka. – Nie ma niczego złego w sprawianiu radości starszej pani...

– Zwłaszcza jeśli ta radość kosztuje tysiąka w Sephorze, tak? – prychnął Mario.

– Nawet – potwierdziła Miśka. – Zresztą ona po tych kremach wyglądała jeszcze gorzej, bo się uczuliła i przypominała balon. Dobrze, że to się stało po tym, jak już podpisaliśmy umowę z Olympusem.

– Rozumiem też, że gdy przygotowywałaś synka Marty Raj do egzaminu z szermierki, żeby tylko ona sama miała czas na recital na naszej imprezie, to też sprawiałaś mu radość?

– No przecież nie sobie – mruknęła niechętnie Miśka. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że potem miałam wszędzie ślady ukłuc i wyglądałam, jakbym zasnęła nad gniazdem komarów...

– Komary mają gniazda? – zdziwił się Mario. – Nieważne! Mówię ci tylko, że każdy z nas ma jakieś rzeczy, z których niekoniecznie jest dumny. Tymczasem Wellmanowie są niczym anioły. Nieskazitelni. Nawet sopowców nie chcą, by ich chronili i obsługiwali, bo przecież pan minister swoją żonkę i jej gigantyczne potrzeby materialne będzie sam nosił na rękach. Nie wierzę w to. Możesz sobie nazywać mnie cynikiem, ale po prostu w to nie wierzę!

– I słusznie. – Głos za ich plecami sprawił, że oboje zgodnie się wzdrygnęli i czym prędzej odwrócili od okna, aby na środku pokoju ujrzeć starszą panią wpatrującą się w nich z nieco złośliwym, a jednak wciąż sympatycznym wyrazem twarzy. – Przepraszam, czy macie coś przeciwko temu, abym sobie zapaliła?

– Nie, skąd... – rzekł Mario po chwili, której potrzebował, aby odzyskać zdolność mowy.

Miśka jedynie pokręciła głową.

– To dobrze. – Starsza pani wyjęła z kieszeni cygaretkę i umieściła w niej papierosa, po czym wyciągnęła paczkę w ich stronę. – Chcecie się poczęstować?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Miśka, starając się ukryć obrzydzenie.

– Ja swoje wypaliłem w dzieciństwie. Biernie! – Mario zaśmiał się nerwowo.

– Moja szanowna matka należała do osób, które odpalają papierosa od papierosa. Myślę, że już jako siedmiolatek nawdychałem się wystarczająco na całe życie. Ale może to i lepiej, bo teraz nie czuję żadnej potrzeby.

– Eeeech, wiem, że to niezdrowy nałóg, ale przecież jakiś trzeba mieć. Choć cały czas zastanawiam się, czy nie lepsze byłoby opium. Tyle że chyba w tych czasach kosztuje majątek i trudno je zdobyć. Musiałabym poznać jakiegoś dobrego dilerę... – Starsza pani zignorowała zbaraniałe spojrzenia swoich rozmówców, usiadła w jedynym w pomieszczeniu fotelu, po czym rozejrzała się po pokoju z równym niesmakiem, co kilka minut wcześniej Mario. – Nie jest tu jakoś pięknie, prawda?

– Na pewno inaczej, niż można byłoby się spodziewać – przyznał dyplomatycznie Mario, patrząc na nią z tak ogromną ciekawością, że ta aż wydała z siebie cichy chichot.

– Nie przedstawiłam się – rzekła, wypuszczając z ust chmurę dymu. – Gdzie moje maniery? Eugenia Krasucka. Jestem babcią gospodarza tego miejsca.

– Bardzo nam miło – zapewnił Kosek, po czym dokonał prezentacji siebie i Miśki.

– Czyli nie jesteście pasożytami, jakich naspraszal tu mój wnuk – podsumowała Eugenia, patrząc na nich łaskawszym wzrokiem. – Pracujecie, macie swoją firmę. To dobrze. Człowiek nie powinien się obijać, tylko mieć w życiu zajęcie. I to nie jakieś wydumane.

– Kiedy pan Ignacy nie zaprosił tutaj obiboków – zaprotestował nieśmiało Mario.

– Naprawdę? – Eugenia rzuciła mu spojrzenie pełne politowania. – Jaki to zawód influencerka internetowa? Czy do tego trzeba coś w życiu umieć? Skończyć jakieś szkoły? Nie. Trzeba tylko mieć ładną buźkę i tupet. Ale, wspomnicie moje słowa, ładna buźka z wiekiem zbrzydnie, a tupet popłaca tylko czasami. Kiedy się z niego robi metodę na życie, szybko przestaje działać. Mój wnuk ma jednak słabość do tych wszystkich próżnych ludzi, którzy uważają, że znośna facjata zapewni im sukces i szczęście. Z drugiej strony, łatwo mi to zrozumieć. Też taka kiedyś byłam. Szybko jednak nauczyłam się, że aby osiągnąć w życiu coś naprawdę wartościowego, trzeba na to ciężko zapracować. A co do tych całych Wellmanów, to masz, dziecko drogie, rację. Są niczym śliwka robaczywka. Trzeba ugryźć, żeby się przekonać, ile robactwa jest w środku. Zresztą nie oni jedni. W czasie tych kilku dni zobaczycie tu wielu im podobnych.

– Wie pani, kto będzie na balu? – zapytał Mario z ciekawością. – Bo my nie. Przyjeliśmy zaproszenie, ponieważ... – ugryzł się w język, żeby nie zdradzić

prawdziwych motywów, jakie nimi kierowały – ...chcieliśmy poznać pana Ignacego. Nawet nie wiemy, dlaczego nas zaprosił. To była spora niespodzianka.

– Ktoś mu was polecił – odpowiedziała Eugenia, świdrując go przenikliwym wzrokiem. – I doskonale wiem, że przyjechaliście tu, aby go złowić jako klienta. Ale nie jestem pewna, czy gra jest warta świeczki.

– Co ma pani na myśli? – zaniepokoił się Mario.

– Przekonasz się w swoim czasie – brzmiała tajemnicza odpowiedź Krasuckiej. – A co do gości. Z osób, które wydają mi się jakkolwiek interesujące, będzie prezenterka telewizyjna, Jarosławowicz, o ile dobrze pamiętam Małgorzata, choć nigdy nie wiem, czy nie Magdalena...

– Małgorzata – potaknęła Miśka.

– Od lat śledzę z uwagą jej karierę i nie mogę się doczekać, żeby zapytać, jakim cudem udało jej się przetrwać tyle ekip rządzących tą instytucją i przy każdej być gwiazdą – rzekła Eugenia, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości, że z pewnością zbada tę kwestię bardzo dokładnie. – Poza tym jest tu już ten pisarz, Manuel Kłos. Myślałam, że literaci to zajmujący ludzie, ale on wydaje się wyjątkowo banalny i nieciekawym, żeby nie powiedzieć potwornie nudny. Być może osoby młodsze ode mnie odbierają jego mrukliwość jako przejaw głębi i inteligencji, ale mnie życie nauczyło, że jeśli ktoś mało mówi, to głównie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia. Oczywiście zdarzają się głupole, którzy gładzą, co im ślina na język przyniesie, i w tych czasach są oni częstym zjawiskiem, jednak oni nie piszą książek. Po tych, co piszą, oczekiwałabym erudycji, klasy i szerokich horyzontów umysłowych. Nie sądzę, aby Kłos sprostał moim oczekiwaniom...

– W pełni podzielam pani odczucia – przyznał Kosek, czując coraz większą sympatię do Eugenii, i to mimo faktu, że najwyraźniej uparła się zrujnować mu do końca płuca, bo właśnie zaczęła palić kolejnego papierosa.

– Będzie tu jeszcze Marcin Prusik. Z narzeczoną. – To ostatnie słowo Krasucka zaakcentowała tak, żeby nie było wątpliwości, że nie pała do owej narzeczonej zbyt dużą sympatią. – Tancerką.

– Przynajmniej to jakiś zawód – próbowała stanąć w jej obronie Miśka. – I to wymagający sporo wyrzeczeń i samodyscypliny.

– Powiedzmy... – wycedziła Eugenia. – Jeśli jesteś prawdziwą tancerką, a nie tylko szlajasz się po telewizji i udajesz, że coś umiesz.

– Ostra ocena – zauważył Mario.

– Realistyczna – rzekła stanowczo Krasucka. – Razem z nimi przyjeżdża ich... przyjaciel. – To zaś słowo zaakcentowała tak, że zabrzmiało dwuznacznie. – Julian. Też obibok, ale mam do niego słabość. Jest czarujący i przypomina mi

jednego z moich greckich kochanków. Swego czasu miałam ich na pęczki. Czasem nawet po kilku naraz...

Popijająca właśnie wodę Miśka lekko się zachłysnęła.

– Oczywiście, nie w takim sensie, że wszyscy w jednym czasie gościli w mojej sypialni – wyjaśniła litościwie Eugenia, w pełni świadoma, że to ona wywołała taką, a nie inną reakcję swojej rozmówczyni. – Po prostu romansowałam z kilkoma mężczyznami równocześnie. To było w czasach, kiedy taką zmysłowość nazywano jeszcze tylko rozwiązłością, a nie puszczalstwem, i patrzono na nią z pobłażaniem. Zwłaszcza we Francji i Włoszech, gdzie spędziłam lwią część lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To dopiero wasze czasy, choć pozornie tak naszpikowane wolnością, w wielu kwestiach uczyniły pruderię swoją królową. Nie potrafię tego zrozumieć. Mój wnuk miał przez ostatnie lata więcej kochanek niż Casanova, ale zapytany o cokolwiek związanego z seksem, rumieni się jak kleryk w seminarium. Choć może to nie najlepsze porównanie, zważywszy na to, co ostatnio wychodzi na jaw o duchownych. Dziwnie żyć w czasach, kiedy nie wiesz, czy to plebania, czy pałac Kaliguli...

Teraz zachłysnął się też i Mario.

– Kto tam jeszcze? – zastanowiła się na głos Eugenia. – Będzie Lucyna Gąssowska. Nie mogę na nią patrzeć. Wiem, że niby medycyna estetyczna jest dla ludzi, ale ona wygląda jak patchwork. Za każdym razem, kiedy ją widzę, mam ochotę podejść, popukać ją w głowę i zapytać, czy jeszcze jest tam w środku. Pamiętam ją z czasów, kiedy była nastolatką, naturalną, śliczną, pełną wdzięku. Teraz przypomina zombie. Dziwię się, że ludzie mają odwagę wejść do jej kliniki, skoro jej podobizna wisi tam przy samym wejściu. Ja na ten widok nawiąłabym gdzie pieprz rośnie ze strachu, że mnie też przerobią na kogoś, kto wygląda jak świeżo co wykopany z grobu.

Miśka i Mario darowali sobie już jakiegokolwiek komentarze. Szustek złapała się nawet na tym, że od jakiejś minuty przysłuchuje się słowotokowi nestorki z otwartymi ustami.

– Aaaa, i jeszcze będzie ten francuski spec od gotowania, który sprzedał ten pałac mojemu wnukowi. Niby to tylko kucharz, ale Ignacy ma do niego jakąś niezrozumiałą słabość. Wciąż pozwala mu tu mieszkać. Pewnie dlatego, że sporo spuścił z ceny. Czy kogoś pominęłam? – Eugenia pomyślała przez moment, po czym popukała się w głowę. – Oczywiście! Anna Karpowicz. Jakże mogłam o niej zapomnieć! W przeciwieństwie do innych gości bardzo utalentowana. I skromna. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam. Muszę jej pogratulować tego, z jakim talentem wcieliła się w postać Barbary Radziwiłówny. Byłam pewna, że nikt nie zrobi tego lepiej od Anny Dymnej w „Królowej Bonie”, i tak też się stało, ale

kreacja Karpowicz prawie jej dorównała. Specjalnie zostałam tutaj, aby od razu ją dorwać i chwilę z nią porozmawiać na osobności.

– No właśnie – przypomniało się Mario. – Dowiedzieliśmy się przy powitaniu, że nikogo z właścicieli jeszcze nie ma. Pan Ignacy jest w Warszawie, a pani i pani Bursztynowicz jesteście w Lidzbarku na zakupach.

– Moja córka robi je sama – wyjaśniła Eugenia. – Ja przy niej dostaję zawsze w takich okolicznościach pierdolca. Ile sukienek można przymierzyć w jakiejś capiącej potem kabinie? Ostatnio, gdy czekałam na nią w przebieralni, to zrobiło mi się słabo już po pięciu minutach, i to mimo że mam całkiem niezłą zaprawę, bo w czasie stanu wojennego pracowałam w masarni. Nie chciało mi się dzisiaj przeżywać kolejnej traumy, schowałam się więc w pałacu. To przedziwny budynek i kryje w sobie wiele tajemnic. Powoli zaczynam je poznawać. Nie wiem, czy zauważyliście, ale nie weszłam tutaj drzwiami...

– Tylko jak? – zaciekał się Mario, który w ogóle nie zarejestrował momentu ani tym bardziej sposobu pojawienia się babki ich gospodarza w pokoju.

– A, o tak... – Eugenia podeszła do wnęki w ścianie, po czym delikatnie ją pchnęła. Ta przesunęła się niczym drzwi. – Tajne przejście – wyjaśniła Krasucka. – Prowadzi wąskim korytarzem do pokoju, który, z tego, co pamiętam, ma zajmować ten francuski kucharz. Oczywiście możecie je zamknąć. Jak się dobrze przypatrzycie, to znajdziecie dziurkę na klucz. Prawdopodobnie ten sam, który pasuje do waszych drzwi. Podaj mi go, dziecko...

Mario natychmiast spełnił jej prośbę. Eugenia przez chwilę macała ścianę, a właściwie jej część stanowiącą zakamuflowane drzwi, po czym wydała cichy pomruk zadowolenia i włożyła kluczyk do znalezionej przez siebie dziurki. Przekręciła go i spróbowała ponownie pchnąć ścianę. Ta tym razem ani drgnęła.

– *Voilà!* – rzekła z triumfem, zwracając klucz Koskowi. – Tak jak przypuszczałam. To pewnie nie jest jedyna taka niespodzianka w tym pałacu, ale już mówiłam, dopiero go poznaję. A teraz, przy gościach, nie będzie to łatwe. No, dobrze... Nie będę was dłużej zanudzać. Teraz idę porozmawiać z Wellmanami, choć przeczuwam, że nie sprawi mi to przyjemności. Do zoba...

– Jedną chwilkę! – Mario nie pozwolił jej dokończyć. – Mam pytanie!

– Taaaak? – Eugenia popatrzyła na niego badawczo. – Słucham.

– Z jakiej właściwie okazji jest ten cały bal? Na zaproszeniu było napisane, że jest to impreza charytatywna, ale nigdzie nie wyjaśniono, w jakim celu się odbywa...

– Charytatywna? – Eugenia zaśmiała się cicho. – No tak... To dobry pomysł, aby ludzie nie odmówili udziału...

– Czyli to ściema? – zaciekał się Mario. – W takim razie po co?

– Przecież to oczywiste – rzekła Krasucka. – Mój wnuk lubi uwagę. A co zapewni mu lepszą niż zaproszenie kilkorga przyjaciół, paru dziennikarzy i z dwóch, trzech przypuszczalnych przyszłych współpracowników oraz przekazanie im komunikatu o swoich zaręczynach?

– Pan Ignacy się żeni? – zdumiał się Mario. – Z kim?

– Z Sandrą Klejnocką – odpowiedziała spokojnie Eugenia, po czym, patrząc na osłupiałe oblicze Koska, dodała: – Zapamiętaj swoją reakcję, dziecko. I postaraj się ją odtworzyć, kiedy mój wnuk ogłosi tę nowinę na wieczorku zapoznawczym. Czy też, jak on to nazywa: „biforku przed balem”.

– Z Klejnocką... – powtórzył oszołomiony Mario.

– Tak, z nią. – Eugenia była już przy drzwiach, ale nagle odwróciła się i popatrzyła na Koska dziwnym wzrokiem. – A przynajmniej tak mu się wydaje. Ja jednak... – przerwała, po czym nacisnęła kłamekę i przeszła przez próg – ...jestem niespokojna. I mam jakieś niemiłe przecucie. A moja intuicja z reguły mnie nie zawodzi...

Rozdział V

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Lucyna Gąssowska oderwała się od lektury nowego numeru magazynu „Super Styl”, a konkretnie artykułu o tym, jak rewelacyjne są jej kliniki medycyny estetycznej, który to artykuł notabene sama zasponsorowała.

– Proszę! – zawołała, a kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyła, kto w nich stoi, nieco się skrzywiła. – Ach, to ty, Sandro... Wejdz, proszę.

Zaproszona dziewczyna przekroczyła próg, zamknęła drzwi i usiadła na wskazanym przez Lucynę fotelu. Gąssowska zlustrowała ją krytycznym wzrokiem, zastanawiając się w duchu, czemu córka jednego z najbogatszych ludzi w Polsce prezentuje się wypisz wymaluj jak bezdomna. Zero makijażu, jakiś dziwaczny kołtun zamiast uczesania, szara zmechacona spódnica, sweterek w kolorze zgniłoburaczkowym, a do tego trumienne trepy na nogach. Przecież wcale nie była brzydka. Ba! Wziąwszy pod uwagę, że miała idealną figurę i interesującą twarz, bez trudu można było zrobić z niej atrakcyjną seksbombę. Kilka godzin pracy makijażystki, fryzjerki i wizażystki z pewnością zamieniłoby ją w całkiem inną kobietę. Najwyraźniej jednak Sandra doskonale czuła się we własnej skórze, czego Lucyna nijak nie mogła pojąć. Ona sama w takim stanie nie pokazałaby się nikomu, łącznie ze swoim kotem. Tym bardziej, że Fredzio był bardzo wrażliwym zwierzątkiem i na pewno na widok takiej maskary z miejsca dostałby dyspepsji.

– Rozumiem, że przyszłaś porozmawiać o tym nieporozumieniu, które nastąpiło w wyniku odejścia twojego taty – rzekła, kiedy już zadzwoniła do Teresy i zamówiła u niej dwie herbaty.

– Nieporozumieniu? – Sandra popatrzyła na nią ze złośliwym uśmieszkiem. – Raczej o oszustwie, jakiego padł ofiarą z pani strony...

– Och, prosiłam, żebyś mówiła mi na „ty” – przypomniała Lucyna, w duchu zastanawiając się, jaką obrać taktykę przez najbliższe minuty.

W zasadzie była fanką teorii głoszącej, że najlepszą obroną jest atak. Jednak w tym konkretnym przypadku jej realizacja mogła nie doprowadzić Lucyny do niczego dobrego.

– Wolałabym nie – odpowiedziała stanowczo Klejnocka. – Oczywiście nie mam nic przeciw temu, żeby pani używała tej formy w stosunku do mnie. W końcu dzieli nas tak duża różnica wieku, że nie wezmę tego pani za złe...

„Wredna mała”, pomyślała Lucyna, ale głośno powiedziała:

– Jak chcesz... A co do naszej sprawy. Tłumaczyłam ci już, że w tej chwili nie dysponuję takimi środkami, żebym mogła spełnić twoją prośbę...

– To nie jest prośba! – Sandra przerwała jej dobitnie.

– Przecież i tak będziesz miała teraz sporo środków i te ode mnie na razie nie są ci niezbędne. Poza tym umowa, którą zawarłam z twoim ojcem, przewidywała, że oddam mu to, co mi pożyczył, wtedy, kiedy będę mogła.

– Z jej treści wynika coś innego.

– Bo mówisz o umowie pisemnej. A tymczasem już po jej podpisaniu spotkałam się z twoim tatą na obiedzie i tam dostałam od niego zapewnienie, że terminy wpisane w umowie są symboliczne. Twój tata był szlachetnym człowiekiem i wiedział, że czasem nawet i w biznesie potrzeba podchodzić do różnych kwestii z sercem, a nie zawsze zachowywać się jak bankier.

– To ciekawe... – Sandra posłała jej kolejne mocno szydercze spojrzenie. – Bo jakoś nigdy nie usłyszałam od niego, żeby ustalał z panią coś dodatkowego.

– Może nie uznał za stosowne ci tego przekazać.

– Nie sądzę. – Klejnocka pokręciła głową. – Widzi pani, mój ojciec zdawał sobie sprawę z tego, że umiera. Odkąd tylko go zdiagnozowano, wiedział, że nie ma ratunku, i od razu zaczął mnie wprowadzać w tajemnice firmy. Mówił mi o wszystkim. Nie wierzę, że przeoczył cokolwiek związanego z panią. Tym bardziej, że akurat ten deal dotyczył naprawdę dużych pieniędzy.

– Zawsze można coś przeoczyć – mruknęła Gąssowska.

– Ojciec ostrzegał mnie przed panią – oznajmiła Sandra lodowatym tonem. – Przewidział, że może pani kręcić. I dlatego na kilka dni przed śmiercią wręczył mi pewien raport. Dotyczy on początków pani kariery. Jestem pewna, że nie chciałaby pani, aby opisane w nim fakty kiedykolwiek ujrzały światło dzienne.

– Słucham? – Lucyna poczuła, jak po plecach przelatuje jej zimny dreszcz. – O czym ty mówisz?!

– Myślę, że obie doskonale znamy odpowiedź na to pytanie, prawda, pani Złota Mariolo? – Tym razem pogarda w głosie Klejnockiej była aż nadto wyraźna. – Dlatego dobrze radzę, aby znalazła pani jednak środki konieczne do tego, aby zwrócić mi to, co już dawno powinna była pani oddać mojemu ojcu.

– Ale... – Gąssowska zdała sobie sprawę, że nie za bardzo wie, co ma powiedzieć.

– Być może mój tata był człowiekiem wielkodusznym i szlachetnym – Sandra wstała z fotela – ale akurat tych cech po nim nie odziedziczyłam. Ma pani czterdzieści osiem godzin. Jeśli po tym czasie nie zobaczę na koncie firmy odpowiedniej sumy, może być pani pewna, że upublicznję ten raport. A to sprawi, że zapewne dość szybko będzie pani zmuszona wrócić do starego fachu. Tyle że

w pani wieku nie liczyłabym już na tak rewelacyjne zyski jak dawniej. Ani też na tyłu co wtedy naiwnych ludzi, którzy dadzą się pani wciągnąć w bagno. A teraz życzę udanego pobytu w pałacu. Proszę zadbać o dobry makijaż, bo jakoś mocno pani zbladła...

* * *

– Więc? – Jaromir Majcher popatrzył na Ignacego z nadzieją. – Czy możemy się tak dogadać?

Bursztynowicz przez chwilę rozważał to, czego wysłuchał przez ostatnich kilkanaście minut.

– Nie sądzę – odpowiedział powoli. – Pańska propozycja brzmi oczywiście kusząco, ale jednak jej nie przyjmę.

– Dlaczego? – zdziwił się Jaromir. – Lepszej nigdy pan nie otrzyma.

– Być może. – Ignacy pokiwał głową. – Ale też i na żadną nie czekam. Podoba mi się to miejsce.

– Doskonale to rozumiem. W końcu sam je przywróciłem do takiego stanu! – rzekł gniewnie Majcher. – Trzeba było widzieć, jaka to była ruina, kiedy je kupiłem. Nie to, co teraz.

– Tym bardziej nie widzę sensu, żeby je sprzedawać...

– Ale przecież pana na nie nie stać! – prychnął Jaromir.

Ignacy, zaskoczony kategorycznym tonem, jakim jego gość wygłosił tę opinię, przyjrzał mu się uważniej.

– Co pan może o tym wiedzieć? – zapytał cicho.

– O czym? – parsknął pogardliwie Jaromir. – O tym, że jest pan gołodupcem, bo pana szanowny tatuś nie zostawił po sobie nic poza długami? Może być pan pewny, że ta wiadomość powoli przestaje już być sekretem, a staje się tajemnicą poliszynela.

– Nijak mnie to nie obchodzi – Ignacy, choć poczuł ukłucie niepokoju w sercu, zachował kamienną minę – i zdania w kwestii sprzedaży pałacu nie zmienię.

– Jestem pewny, że jeszcze pan tego pożałuje. – W głosie Majchra zabrzmiały złowrogie tony. – Niech pan pamięta, że to miejsce jest mocno specyficzne...

– Chodzi panu o klątwę? – Na twarzy Ignacego pojawił się lekki uśmiech. – Jestem dorosłym, wykształconym, racjonalnym człowiekiem i nie wierzę w żadne takie historyjki.

– Uwierzy pan, uwierzy – zapewnił Majcher. – Poprzedni właściciel też uważał, że to idiotyzm, a skończył w szpitalu. I, o ile dobrze mi wiadomo, pozbył się tego pałacu za wyjątkowo nieatrakcyjną dla siebie kwotę.

– Wziąwszy pod uwagę, że dostał go za darmo, to każda kwota była dla niego atrakcyjna – zauważył rozsądnie Ignacy. – A co do legendy, jaka towarzyszy temu miejscu, to dziwię się, że robi pan z niej kartę przetargową. Przecież jeśli faktycznie ciąży nad nim klątwa, to dotknie ona również pana...

– I tu się pan myli – odparował Jaromir. – Mnie ona nie dotyczy.

– Serio? – Bursztynowicz parsknął śmiechem. – Rozumiem, że to taka klątwa wybiórcza. Działa tylko na tych, których pan wskaże, tak?

– Nie. I radziłbym z niej nie żartować. – Majcher popatrzył na niego uważnie. – Są po prostu wybrańcy, którzy od chwili, kiedy zaczęła działać, zostali wyjęci spod jej mocy.

– Czy pan siebie w ogóle słyszy? – Ignacy popatrzył na niego z politowaniem. – Gada pan jak Klaudia Hutniak albo Golden Girl? One też wierzą w takie historie. Wszyscy razem powinniście iść na jakąś terapię grupową.

– Sam się pan przekona. Już wkrótce – zapowiedział posępnie Jaromir. – A wtedy wrócę do pana z moją propozycją.

– Może pan wracać, kiedy tylko pan zechce. – Ignacy wzruszył ramionami. – Odpowiedź zawsze będzie negatywna.

Majcher nie spuszczał z niego przenikliwego wzroku.

– Zobaczymy... – wyszeptał. – Zobaczymy...

* * *

Sandra wyszła z pokoju Lucyny, przedostatniego w prawym skrzydle pałacu, i skierowała się wolnym krokiem w stronę lewego. Mijała właśnie drzwi mieszkającego w narożnym pokoju Manuela Kłosa i była już prawie przy klatce schodowej, kiedy usłyszała zgrzyt klamki.

– Przepraszam. – W drzwiach pokoju, znajdującego się obok tego należącego do pisarza, stał sympatycznie wyglądający, wysoki, przystojny brunet, którego spotkała kilka tygodni wcześniej w dość niecodziennych okolicznościach. – Czy moglibyśmy zamienić kilka słów...

– Trochę się spieszę. – Pokręciła głową. – Mam kilka pilnych rzeczy do załatwienia. Może później?

– Kiedy ja tak naprawdę mam tylko jedno pytanie. – Julian Zamirski popatrzył na nią błagalnie.

– No dobrze – westchnęła Sandra z rezygnacją. – Słucham...

– Chodzi mi o tamten wieczór – oznajmił Julian, ścisząc głos prawie do szeptu. – Chciałbym mieć pewność, że mogę liczyć na twoją dyskrecję...

– Przecież już mówiłam – Klejnocka się skrzywiła – że zachowam to, czego byłam świadkiem, w sekrecie pod warunkiem, że przestaniecie oszukiwać tę biedną dziewczynę.

– Omówiliśmy to i postanowiliśmy tego nie robić – wyjaśnił Julian, spuszcżając wzrok. – To znaczy ja byłem za, ale Marcin stanowczo się temu sprzeciwił...

– W takim razie będzie musiał ponieść tego konsekwencje – rzekła zimno Sandra. – Nie zamierzam brać udziału w czymś tak plugawym i paskudnym...

– Kiedy to nie jest tak, jak myślisz, i dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać, spróbować wytłumaczyć... Proszę tylko o to, żebyś mnie wysłuchała. O nic więcej!

Klejnocka przez moment miała ochotę wysłać go do diabła, ale coś w wyrazie jego twarzy, a może bardziej w oczach pokrzywdzonego jelonka, sprawiło, że się pohamowała.

– OK – zgodziła się, starając się, aby zabrzmiało to, jakby robiła mu wielką łaskę. – Przyjdę do ciebie za jakieś pół godziny. Czekać na mnie.

– Dziękuję. – Julian spojrział na nią z wdzięcznością. – Bardzo!

– Dobrze, dobrze. – Sandra machnęła ręką. – Uprzedzam jednak, że niełatwo będzie mnie namówić do zmiany zdania.

– Wiem – przyznał. – Postaram się jednak zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby odwieść cię od tego, co chcesz zrobić.

– Staraj się, proszę. – Dziewczyna zaśmiała się kpiąco. – Chętnie się przekonam, jak bardzo potrafisz być przekonujący. Do zobaczenia.

Kiedy Zamirski zamknął za sobą drzwi, ruszyła w dalszą drogę. Minęła hol przy schodach, a potem, już w lewym skrzydle pałacu, pokój Miśki i Mario, następnie Marcina Prusika i jego narzeczonej, a po rozwidleniu się korytarza także Wellmanów i Pierre'a Tourneura. Zapukała za to do ostatniego w tej części budynku i nie czekając na zaproszenie, od razu weszła do środka.

– Sandra! – Oderwana od rozpakowywania walizki prezenterka telewizyjna Małgorzata Jarosławowicz powitała ją, rozkładając szeroko ręce, a potem, kiedy już objęła Klejnocką, czule ją tuląc, dodała: – Jak cudownie tutaj być! W takim ważnym dla ciebie dniu!

– Też się cieszę – zapewniła ją dziewczyna bez cienia entuzjazmu. – Czy przywiozłaś mi to, o co cię prosiłam?

– Czy musimy o tym rozmawiać w takiej chwili? – Małgorzata popatrzyła na nią z wyrzutem. – Myślałam, że w czasie pobytu tutaj nie będziemy się tym zajmowały...

– Czemu tak myślałaś? – zdziwiła się Klejnocka. – Przecież powiedziałam wyraźnie, że chcę tę sprawę załatwić tak szybko, jak to tylko możliwe...

– No wiem, wiem. – Jarosławowicz odwróciła się i wyjęła kilka rzeczy z walizki, a następnie zaczęła je układać w szafie. – Tylko... Tak trochę przemyślałam to wszystko...

– I co? – warknęła Sandra. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że się wycofujesz?

– Właściwie to... – Małgorzata unikała jej wzroku. – No, tak jakby... Proszę, zrozum mnie. On jest teraz ministrem. Ma chody wszędzie. Wiesz, że te partie polityczne są jak mafie. Przez tyle lat żyłam ze wszystkimi w idealnych układach, a to jest cholernie karkołomne zadanie. Przetrwałam na Woronicza rządy i Koalicji Społecznej, i Ponownie Zjednoczonej Lewicy, i nawet Porządku i Praworządności. A sama wiesz, jacy byli ci ostatni. Do co drugiego programu musiałam zapraszać Zenka albo Hutniak. Nie wiem, co było gorsze: jego piosenki czy jej głędzenie o podlewaniu jakiegoś tam wewnętrznego kaktusa duszy. Czujesz?! Zenek w programie publicystycznym, w którym gościli kiedyś profesorowie, prawnicy, działacze społeczni. Nie zdajesz sobie sprawy, na ile kompromisów musiałam przez te lata iść, żeby się tam utrzymać. Nie chcę tego teraz ryzykować.

– Ale będziesz musiała – oznajmiła Sandra kategorycznie. – Doskonale przecież to wiesz!

– Proszę cię. – Jarosławowicz odwróciła się do Klejnockiej i popatrzyła na nią z rozpaczą w oczach. – Nie możesz załatwić tego jakoś inaczej?

– Nie sądzę. – Dziewczyna pokręciła głową. – Za to mogę ci obiecać, że nie zdradzę, kto mi dostarczył te materiały. Przynajmniej do czasu, kiedy nie będę zmuszona tego zrobić, a istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Na pewno dojdzie. – Małgorzata westchnęła ponuro. – Gdyby jeszcze chodziło tylko o niego, to pewnie jakoś byś go urobiła. To tchórz, łatwo go przestraszyć. Ale to babsko rzuci ci się do gardła i nie odpuści. A jeśli dopniesz swego, to prędzej umrze, niż przestanie dociekać, skąd to wytrzasnął. Wiesz, jak oni się pilnują, żeby być świętsi od samego papieża Franciszka.

– Jakoś się jej nie boję. – Sandra wzruszyła ramionami. – Życie nauczyło mnie, że ludzie mocni w słowach z reguły są bardzo marni w czynach. I że takie postaci jak Patrycja Wellman można zjeść na śniadanie bez żadnego wysiłku. Powtórzę więc raz jeszcze moje pytanie: czy przywiozłaś to ze sobą?

– Tak. – Małgorzata sięgnęła do walizki, po czym z małej, wewnętrznej kieszonki wyciągnęła srebrny pendrive. – Masz tu zapisane wszystko, co trzeba. Żywię szczerą nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała tego naprawdę wykorzystać.

– Świetnie. – Sandra wyjęła jej urządzenie z ręki. – Baw się dobrze w czasie pobytu tutaj. To bardzo relaksujące miejsce. Można tu zapomnieć o wszystkich

problemach. Choć ty radzisz sobie z tym w inny sposób, prawda?

– Znam cię od małego. Zawsze myślałam, że wyrośniesz na cudowną kobietę. Empatyczną, inteligentną, czułą... Szkoda, że tak bardzo się pomyliłam.

– Nie podzielam twoich odczuć. – Sandra nie dała się sprowokować. – Jestem empatyczna wobec tych, którzy na to zasługują. To duża sztuka umieć odróżniać ludzi dobrych od złych, nie sądzisz?

Jarosławowicz milczała.

– No właśnie... – Klejnocka nie kryła wzgardy. – Do zobaczenia później.

Sandra wyszła z pokoju dziennikarki, znów obojętnie minęła ten należący do Pierre'a, aby zatrzymać się przed lokum Wellmanów. Położyła sobie prawą dłoń na piersiach, wzięła głębszy oddech i zapukała.

Rozdział VI

Mario bez specjalnego entuzjazmu patrzył na ustawione przed nim dania. Kiedy Garliński zaprosił jego i Miškę w imieniu gospodarzy na uroczysty wieczorek zapoznawczy połączony z obiadem, Kosek liczył na królewskie menu, godne miejsca, w którym się je serwuje. Tymczasem dostał coś na poziomie zajmowanego przez siebie pokoju. Na kiczowatych półmiskach w kwiatki, z gatunku tych, które jego własna matka wyrzuciła z ulgą na śmietnik jeszcze w latach dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia, podano sałatki, warzywną i grecką, mięsivo w galarecie i śledzia z cebulą, a jako pierwsze danie ciepłe kelnerzy rozdali miseczki z rosółem.

– Czuję się jak na weselu. – Wyszeptana mu prosto do ucha opinia Miški oznaczała, że i jej menu raczej nie zachwyciło. – Jeśli na główne danie będzie schabowy, to zacznę się przygotowywać duchowo do łapania wianka o północy.

– W dodatku ten rosół jest chłodnawy – zauważył Mario, krzywiąc się po przełknięciu pierwszej łyżki zupy. – Jak mi siądzie na wątrobie, będziesz miała ze mną ciekawą noc...

– W takim razie może jednak go sobie daruj – rzekła stanowczo Miška, próbując odsunąć od niego miseczkę – i spróbuj sałatki...

– Której? – Mario przewrócił oczami. – Tej ze sztuczną fetą czy tej z mieszkanką warzywną Horteksu?

– Masz śledzia...

– Z cebulą! Faktycznie, idealny na wątrobę! Może od razu przejdziemy do wezwania mi pogotowia?

– To poczekaj na drugie – poradziła Miška, pomna tego, że jej przyjaciel faktycznie ma dość wrażliwy przewód pokarmowy i już wiele razy cierpiał po spożyciu rozmaitych ciężkostrawnych albo źle przygotowanych posiłków. – Nie chcę znowu wysłuchiwać o drugiej w nocy, jak jęczysz w ubikacji, że chcesz szybko umrzeć...

Pozbawiony przez przyjaciółkę dostępu do rosółu Mario potoczył wzrokiem po osobach zajmujących miejsca przy długim, i dlatego też sprawiającym wrażenie weselnego, stole. Vis-à-vis niego siedzieli wyjątkowo jak na siebie ponurzy Wellmanowie. Z reguły uśmiechnięci – sztucznie, bo sztucznie, ale zawsze – dzisiaj Jakub i Patrycja byli wyraźnie nie w sosie. Ponieważ, odkąd weszli,

zamienili ze sobą ledwie kilka zdań, Mario zaczął się zastanawiać, czy w ich opisywanym w mediach jako idealne małżeństwie na pewno panuje niczym niezmacona sielanka.

Obok Wellmanów usadowiono Lucynę. Ta też wyglądała może nie tyle na złą, co na przygnębioną. Podobnie jak siedząca po jej lewicy Małgorzata Jarosławowicz. Wyjątek w tej paradzie ponuraków stanowiła Golden Girl, szczebiocząca i przymilająca się do Pierre'a Tourneura. Zamyślony i sprawiający wrażenie nieobecnego duchem Ignacy zajmował miejsce u szczytu stołu, po jednej stronie mając Sandrę, po drugiej mamę i babcię. Między Eugenią a siedzącą obok Mario Miśką znalazły się jeszcze miejsca dla Marcina Prusika i Kariny Mrozowskiej oraz Juliana Zamirskiego, którego od Miśki oddzielał jeszcze Manuel Kłos. Z drugiej strony Mario zajmował miejsce ostatni gość Bursztynowiczów, czyli Anna Karpowicz.

– Jeśli to miał być wieczorek integracyjny, to chyba jakoś marnie nam na razie idzie – zauważyła aktorka cicho. – Nie sądzisz?

Mario pokiwał głową.

– Nie za bardzo wiem, co ja tu w ogóle robię – przyznała cicho Anna. – Dostałam zaproszenie od Bursztynowicza, nawet osobiście przyniósł mi je do teatru, a teraz nawet słowa nie da się z nim zamienić. Jak na razie porozmawiałam tu tylko z organizatorami naszego pobytu, no i teraz z tobą. Jakieś to wszystko dziwne...

– Też nie znam celu, w jakim nas tu wszystkich zgromadzono. Przyjechałem z moją współpracowniczką tylko po to, żeby zaproponować Ignacemu współpracę. Prowadzimy agencję eventową, ale rozszerzamy teraz działalność też na PR znanych osób i marek.

– Ooooo... – Anna wyraźnie się zainteresowała. – A kogo i co macie już pod opieką?

– Dopiero co zaczęliśmy działać w tym sektorze – wyjaśnił Mario z lekkim zakłopotaniem. – Na razie więc nie wygląda to zbyt imponująco. Z gwiazd będziemy prowadzili PR pisarki Róży Krull, aktorki Marleny Jens i piosenkarki Klaudii Hutniak...

– Chyba nie będzie ci do twarzy w kaftanie bezpieczeństwa – zawyrokowała Anna.

– Co masz na myśli? – Mario zmarszczył brwi.

– Wymieniłeś największe dziwaczki w naszym kraju – wyjaśniła Karpowicz. – Róża „tańcząca z trupami” Krull, Marlena „jestem primadonną” Jens i Klaudia „halo, jest tu psychiatra?” Hutniak. Doprawdy, nie zazdroścę...

– Może damy radę – rzekł Mario bez przekonania, bo w duchu w pełni podzielał opinię Anny o swoich klientkach. – Będziemy też dbali o PR Klinklina,

więc może jakoś przetrwamy...

– Klinklina? – Tym razem to Anna popatrzyła na niego pytająco.

– To środek dla osób, które nadużyły alkoholu – wyjaśnił Kosek. – Też w postaci płynu. Podobno przy okazji załatwia ból głowy i działa kojąco na nerwy. Nasz klient na pewno nam trochę tego wyśle w ramach promocji.

– Biorąc pod uwagę wasze podopieczne, to przydałby się cały kontener...

Dźwięk łyżeczki uderzającej w kieliszek sprawił, że oboje zgodnie się wzdrygnęli, a następnie popatrzyli w stronę, skąd dochodził, aby zobaczyć, jak Ignacy wstaje z krzesła z kieliszkiem w dłoni.

– Witam państwa wszystkich bardzo serdecznie i bardzo dziękuję, że zdecydowaliście się państwo przyjąć moje zaproszenie do Klepaczowic – rzekł, przebiegając wzrokiem po swoich gościach. – Zanim zaserwujemy drugie danie, chciałbym wyjaśnić, dlaczego właśnie państwa zdecydowałem się zaprosić na tych kilka dni. Otóż, kiedy rzuciłem luźny pomysł, aby uczcić zakup pałacu balem, okazało się, że mam bardzo mało przyjaciół. A nawet i ci nie za bardzo się ucieszą, kiedy dostaną zaproszenie na taką imprezę. Prawda, Manius? – Popatrzył znacząco na Kłosa.

– Przecież przyjechałem... – mruknął pisarz.

– I zatańczysz jutro? – zapytał Ignacy, puszczając do niego oko.

– Już bez przesady – brzmiała równie mało uprzejma odpowiedź Manuela.

– Przekonamy się. – Ignacy się uśmiechnął. – Jak wspomniałem, tak ułożyło mi się życie, że mam mało przyjaciół. Dlatego poprosiłem o pomoc w ułożeniu listy gości moją... – tu lekko się zawahał – ...przyjaciółkę Sandrę i przyjąłem też kilka sugestii mojej nieocenionej babci Eugenii. Takim to sposobem znaleźliśmy się tu wszyscy razem.

– Nadal nie mam pojęcia, czemu ja – szepnęła Karpowicz.

– Chyba babcia Ignacego bardzo cię lubi – wyjaśnił Mario. – Wspomniała o tobie, kiedy nas odwiedziła przed obiadem. Powiedziała, że cię ceni i że zawsze chciała cię poznać. Widać wykorzystała pierwszą nadarzącą się okazję.

– A wy? – zaciekawiała się Anna. – Kto was zaprosił?

– Nie wiem tego na pewno, ale wydaje mi się, że Klejnocka – odpowiedział Mario. – Oczywiście nie mam pewności, ale to jedyne sensowne wyjaśnienie, bo do tej pory nie znaliśmy osobiście nikogo z Bursztynowiczów. Za to organizowaliśmy kilka imprez dla firmy ojca Sandry. Był z nas zawsze bardzo zadowolony. Może przed śmiercią jej nas polecił.

– W jutrzejszym balu wezmą też udział przedstawiciele lokalnych władz, na czele z burmistrzem Klepaczowic i jego gośćmi – mówił dalej Ignacy. – Zaprosiłem też dziennikarzy Tele-Polu oraz magazynu „Koktajl”. Przyjadą jutro

rano. Poprosili o możliwość rozmowy z państwem, ale zostawiam wam wolną rękę w tym względzie. Wiem, że nie każdy lubi udzielać wywiadów...

– A wypowiesz jakąś aluzję, która nie dotyczy mnie? – zapytał złośliwie Manuel, ale po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się przy tym coś w rodzaju uśmiechu.

– Nie. – Ignacy pokręcił głową, również z uśmiechem. – Jesteś moją ulubioną ofiarą! W takim razie proponuję wypić za jutrzejszy bal! Ponieważ znaleźli się na niego sponsorzy, miło mi też państwa poinformować, że wszystkie pozyskane od nich pieniądze zostaną przekazane na cele charytatywne. Ich listę ogłoszę jutro. Państwa zdrowie!

– Zapewne pieniądze na porządne jedzenie też tam poszły – mruknął Mario i skosztował odrobinę wina. – Podobnie jak fundusze na trunki. Toż to smakuje jak przeterminowany sok jabłkowy. Nawet nie można tego wylać do doniczki, bo kwiaty uschną. Co to w ogóle jest? Sikacz z kartonu?!

– Nie, z Żabki – odpowiedział stojący za nim i przysłuchujący mu się z nabożnym zachwytem na twarzy kelner. – Wszystko tu jest z marketów...

– Mogłem się tego spodziewać – mruknął Mario z odrazą.

– Co jest złego w marketach? – zdziwiła się Miśka. – Poza tym, że nie jest tam snobistycznie i do cen nie dolicza się roku urodzenia właściciela sklepu?

– Już nawet nie zaczynajmy tej dyskusji. – Kosek westchnął. – Byłem ostatnio w jednym z takich... hmm... miejsc, bo pani Ludmiła zapomniała kupić masło, i jedyne, co tam mieli, to coś z osła...

– Że co? – nie zrozumiała Miśka.

– Tak było napisane. Masło z osiołka...

Miśka przez chwilę zastanowiła się, jakie szaleństwo opętało jej przyjaciela, po czym nagle ją oświeciło.

– Osełka! – zgadła, wypowiadając to słowo niczym: „Eureka!”. – Nie osiołek. Osiołek to jesteś ty!

– O żadnej osełce nigdy w życiu nie słyszałem – zapewnił Mario stanowczo – i nie życzę sobie więcej chodzić tam, gdzie nie ma profesjonalnej obsługi.

– To jest market, a nie pierwsza klasa w pendolino – wytłumaczyła Miśka, starając się wymazać sobie przed oczu wizję kumpla chodzącego po Żabce w asyście prywatnego doradcy zakupowego, wizażystki i dwóch stylistek. – Dziwię się, że nie zatrudnili cię jeszcze do „Żon Hollywood”.

– A więc... Bawicie się tu za moje!!! – rozległ się nagle ryk od strony tarasu. – Świnie!!!

Wszyscy goście wyraźnie zamarli. Ignacy popatrzył pytająco na kręcącego się przy stole Tomasza, ale ten miał równie zaskoczoną minę, co cała reszta obecnych na sali.

– Złodzieje!!! – Drzwi tarasu otworzyły się gwałtownie. Stojący w nich Jaromir trzymał w dłoni w połowie pustą butelkę. Brakujący trunek, wnioskując ze stanu architekta, krążył już od jakiegoś czasu w jego krwiobiegu. – Wstydu nie macie! Złodzieje! Pasożyty! Uważacie się za nie wiadomo co, a wszyscy jesteście gównem warci. Nieroby!

Jeszcze przez chwilę w jadalni panowała konsternacja. Po paru sekundach jednak ponaglony gniewnym spojrzeniem Bursztynowicza Tomasz spróbował zainterweniować.

– Bardzo pana przepraszam, to jest prywatne przyjęcie, a pan zakłó... – zaczął, ale Majcher nie pozwolił mu dokończyć.

– To jest mój pałac! – krzyknął, po czym pociągnął z butelki. – Wszyscy zmówili się, żeby mnie okraść. Nie powinno was tu być! Żadnego z was!

Ponieważ Tomasza najwyraźniej nieco zamurowało, Ignacy z rezygnacją podniósł się z miejsca.

– Przedstawiam państwu pana Jaromira Majchra – rzekł pozornie spokojnym głosem. – Architekta i jednego z poprzednich właścicieli pałacu.

– Z poprzednich?! – Jaromir przekroczył próg i wyłowiwszy wzrokiem spośród gości Pierre’a, wskazał na niego palcem. – Ten oszust ukradł to, co jest moje! Moje!

– Pałac należał do mojej rodziny! – Tourneur błyskawicznie odzyskał równowagę. – Mam na to odpowiednie dokumenty, które przedłożyłem władzom.

– Falsyfikaty! – Jaromir obrzucił go nienawistnym spojrzeniem. – Wszystko to kłamstwo. Nawet ten twój podrabiany francuski akcent! Zmówiliście się, żeby doprowadzić mnie do ruiny! Ale pomyliliście się! Kanalie! I nie zawaham się ani chwili, żeby... – zatoczył się i oparł o krzesło wyraźnie skamieniałej ze zdumienia Marii – ...powiedzieć światu, jakimi jesteście pieprzonymi hipokrytami... – przebiegł złym wzrokiem po Wellmanach – kanciarzami... – popatrzył na Kłosa – zwykłymi dziwkami... – posłał złośliwy uśmiech Gąssowskiej – degeneratami... – to słowo skierowane było do Zamirskiego – szantażystami... – skinął z pogardą na Klejnocką – krętaczami... – prychnął w przestrzeń między Jarosławowicz a Golden Girl – albo... – zamilkł i przyjrzał się uważnie Eugenii, która od kilku chwil patrzyła na niego z wyraźną ironią.

– Nie wysilaj się, młody człowieku – rzekła, zanim Jaromir zdołał cokolwiek z siebie wydusić na jej temat – bo musiałbyś powtarzać tę tyradę od początku, a już i tak nas wszystkich śmiertelnie znudziłeś.

– Kiedy ja... – Majcher wyraźnie został zbity z pantałyku.

– Wiemy, wiemy. – Eugenia machnęła lekceważąco ręką w jego kierunku. – Muszę zapalić – mruknęła. – Znamy twoją historię. Cała Polska ją zna. Latasz z nią po gazetach i jójczysz jak małe dziecko. Mój pałac, mój pałac... Bardziej

irytujący od ciebie był tylko Gollum we „Władcy Pierścieni”. Jeśli trochę poczekaś, to mój wnuk znudzi się tym miejscem jak wszystkim w życiu i odstąpi ci je za bezcen.

– Babciu... – Ignacy jęknął z wyrzutem.

– Taka prawda. – Eugenia wzruszyła ramionami. – Kocham cię i mnie bawisz, ale całe twoje życie to nieustanna gonitwa za podnietami. Fakt, że patrzę na ciebie z pobłażaniem, tym bardziej że odziedzyczyłeś charakter po mnie, nie oznacza, że nie umiem tego należycie ocenić. Tak więc, młodzieńcze – wróciła spojrzeniem do stojącego za jej krzesłem Jaromira – zamiast wykonywać tu jakieś szekspirowskie dramy, lepiej niech pan usiądzie przy stole, zanim się pan przewróci, i trochę się ogarnie. A przewracać się nie radzę, bo oceniając profesjonalizm dzisiejszej obsługi, zaraz ktoś pana zdepcze.

– Mamo... – Teraz do jęków syna przyłączyła się Maria. – Doprawdy...

– Ale że niby co? – zdziwiła się szczerze Eugenia.

– Zapraszać intruza, który w dodatku wtargnął tu bez... – zaczęła Maria, ale starsza pani nie pozwoliła jej dokończyć.

– Nie widzę w tym niczego zdrożnego – zapewniła ze złośliwym uśmiechem. – W końcu siedzimy tu przy kiepskim jedzeniu, trunkach, których wasza prababka hrabina wstydziłaby się podać nawet stajennym i od których na pewno wysiądą mi jelita, prowadzimy szeptem jakieś nudne pogawędki o dupie Maryni, więc nie rozumiem, w czym niby ten nieszczęsny pijaczyna mógłby nam przeszkodzić? Co pan tam ma? – Wskazała palcem na butelkę w rękach osłupiałego Jaromira, który wypowiedział nazwę znanego producenta alkoholi. – Aha, czyli coś o trzy razy lepszego niż to, przy czym kazał nam się dzisiaj bawić mój wnuk. Niech mi pan z łaski swojej naleje. – Podstawiła kieliszek.

– Ale... – wyszeptał nagle zawstydzony Majcher.

– Że pociągał pan już z tej butelczyny? – Eugenia uśmiechnęła się pogardliwie. – Gdyby pan wiedział, z kim przypalałam marychę i po kim piłam z butelki w latach osiemdziesiątych, to byłby pan zdziwiony, że wciąż jeszcze żyję. No już, niech pan nalewa, bo na trzeźwo dłużej tu nie wytrzymam...

– Myślisz, że mogę się jej oświadczyć? – szepnął Mario do Miśki, nie odrywając zafascynowanego wzroku od nestorki rodu. – Czuję, że znalazłem miłość swojego życia.

– No a teraz – rzekła Eugenia, kiedy wychyliła kieliszek trunku i natychmiast kazała Majchrowi dolać sobie na, jak to określiła, „drugą nereczkę” – może wreszcie zacniemy rozmawiać jak ludzie, a nie muminy... – Potoczyła spojrzeniem po gościach i widząc, że nikt się nie kwapi do spełnienia jej prośby, ciężko westchnęła: – No dobrze... To ja zacznę! Jakubie, jak się czujesz jako minister? To musi być dla ciebie bardzo ciężkie. Od murawy do biurka, od piłki

do papierków... I to wieczne użeranie się z innymi politykami. Choć akurat w tej kwestii powinienes być już uodporniony. Słyszałam, że zanim zaproponowano ci ten stołek, próbowałeś uczyć dzieci futbolu we własnej szkole. Kiedy czasami oglądam obrady sejm, odnoszę wrażenie, że większość posłów powinna repetować podstawówkę albo w ogóle zacząć zdobywać edukację od początku.

– Coś w tym jest... – potwierdził bez żenady Wellman. – Wydawałoby się, że przynajmniej tych czterystu sześćdziesięciu ludzi powinno być nieskazitelnych, skoro w teorii są reprezentacją naszego społeczeństwa, a tymczasem niektórzy z nich zachowują się gorzej niż bezdomni albo menele...

– Nie rozumiem, dlaczego z ludzi dotkniętych nieszczęściem bezdomności albo chorych na alkoholizm robi pan symbole gorszego sortu społeczeństwa – wtrącił z oburzeniem Manuel. – To właśnie przez osoby pana pokroju zamiast pomagać takim ludziom, spychamy ich na margines...

– Wydaje mi się, że alkoholicy spychają się tam na własną prośbę – zauważyła łagodnie Eugenia, patrząc na niego ze złośliwymi ognikami w oczach. – Ale to, swoją drogą, interesujący temat... Ty, mój kochany, często robisz z alkoholików bohaterów swoich powieści. Albo z osób, które może nie są jeszcze alkoholikami, ale nie wylewają za kołnierz, nieprawdaż?

– Zdarza się – mruknął Kłos. – Moje książki z założenia są realistyczne, a kto z nas nie lubi wypić?

– Ja – odparła Maria. – Nienawidzę samego smaku wódki. Z whiskey mam to samo. Z rumem, dżinem, piwem, jakimiś tam nalewkami i innymi wynalazkami też. Nawet szampana nie lubię. Kilka razy spróbowałam i potem bardzo bolała mnie głowa.

– A wino? – Eugenia popatrzyła na nią z lekkim przekąsem.

– Przecież wino to nie alkohol! – oburzyła się Maria.

– A co? – zdziwił się Ignacy.

– Trunek pobudzający trawienie – wyjaśniła Maria. – Bez mała lekarstwo. Nie pomnę już, od ilu lat nasz lekarz rodzinny powtarza mi w czasie każdej wizyty, żebym nie zapomniała wypić do kolacji kieliszka czerwonego wina. Na trawienie.

– Kieliszka, a nie butelki – westchnęła Eugenia.

– Mam problem z żołądkiem, więc czasami wypijam trochę więcej – przyznała Maria. – Ale to tylko dla zdrowia.

– Ostatnio przy gęsi obaliłaś potężną butlę – wypomniała jej Eugenia.

– No i?

– Może lepiej było zrezygnować z gęsi...

– Może. Ale była prosto z rusztu, z taką chrupiącą skórką...

– Jak ja wiem, że czegoś nie mogę jeść, to po prostu tego nie jem – rzekła starsza pani karcąco. – Na przykład pomarańczy. A nie wlewam w siebie

dotatkowy litr wina i potem chodzę po domu, jęcząc, że mi się flaki wywracają...

– Poczekajcie, drogie panie! – Ignacy zmarszczył brwi. – Gęś i ruszt... Hmm... Z czymś mi się to kojarzy... Tylko nie wiem z czym...

– Z masonami – mruknął niechętnie Manuel.

– No tak! – Ignacy popukał się w czoło.

– Jak to z masonami? – zdziwiła się Małgorzata. – Co oni mają do gęsi z rusztu?

– Masoneria, czy też raczej wolnomularstwo, powstała... – zaczął Manuel z wyraźnym wahaniem – tak dokładnie to nie wiadomo kiedy. Ale na pewno istniała już w szesnastym wieku. Wtedy pojawiają się pierwsze wzmianki o loży...

– Łoży? – przerwała pytająco Karina, po czym szybko dodała: – Przepraszam, nic nie wiem o masonach. Nazwa obijała mi się o uszy, ale nic więcej... To jakaś organizacja, tak?

– Owszem, jedna z najbardziej tajemniczych na świecie – odpowiedział Jakub. – Podobno masoni po kryjomu rządzą całym światem.

– A nie żydzi? – zapytała ironicznie Eugenia. – Albo ci... Zapomniałam słowa. Coś od światła...

– Iluminaci – podpowiedział uczynnie Mario. – Oni się wymieniają na tym stanowisku.

– Na jakim stanowisku? – Karina zmarszczyła brwi, wyraźnie nie nadążając za tokiem rozmowy.

– Rządzących światem – wyjaśnił cierpliwie, choć nie bez ironii, Mario. – Co parę lat. Masoni, żydzi, iluminaci i Kardashianki...

– Naprawdę? – Wyraz twarzy Kariny sprawił, że Kosek z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Nie słuchaj go. – Miśka nie wiedziała, czy nie powinna zwracać się do Mrozowskiej per „pani”, ale jakoś forma „ty” przyszła jej sama z siebie. – On ma dziwaczne poczucie humoru...

– Aha – zabrzmiał jedyny komentarz Kariny. – To co z tą lożą? To taka jak w teatrze? Albo na koncercie? Byliśmy ostatnio z moim kochaniem na show Beyoncé w Berlinie i mieliśmy tam miejsca właśnie w loży.

– Niezupełnie – odpowiedział Manuel, mierząc Karinę pogardliwym wzrokiem. – Na początku, to znaczy w czasach, kiedy masoni byli przede wszystkim rzemieślnikami zatrudnionymi przy budowach wielkich katedr, było to miejsce, w którym gromadzono się do pracy. Coś à la warsztat, tyle że zlokalizowany poza główną siedzibą cechu, na przykład na terenie stawianej świątyni. W tamtych czasach w takiej loży zajmowano się głównie problemami architektonicznymi. Dopiero po paru wiekach, kiedy wolnomularstwo zaczęło się

przekształcać w, nazwijmy to, stowarzyszenie czy też organizację służącą do wymiany myśli, idei i życiowych filozofii, lożą zaczęto nazywać każde miejsce spotkań jej członków. A nawet nie miejsce, tylko samo zgromadzenie. Spotykający się tam ludzie nie pracowali już fizycznie, lecz doskonalili się duchowo, czego podstawą, zapożyczoną ze starożytnej Grecji, była wymiana poglądów. Masoni uważali, że rozmowa, dyskusja, argumentacja to podstawy rozwoju naszej cywilizacji.

– I słusznie – skwitowała Eugenia. – Nic dziwnego, że teraz, kiedy zamiast rozmawiać ze sobą, głównie wysyłamy do siebie zdawkowe wiadomości przez smartfony, nasza cywilizacja powoli chyli się ku upadkowi...

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie fatalistka – zaśmiał się Ignacy.

– Realistka, mój kochany, realistka – skorygowała go stanowczo babcia, po czym machnęła zachęcająco ręką w stronę Manuela. – Kontynuuj, proszę. Bo ciągle nie doszliśmy do gęsi i nie wiem, o co chodzi w tych waszych skojarzeniach.

– Masoneria, taka, jaka istnieje po dziś dzień, powstała w tysiąc siedemset siedemnastym roku w Londynie, właśnie w tawernie „Gęś i Ruszt”. Wcześniej spotykano się w innej, „Pod Jabłonią”, ale tego dnia przeniesiono się do „Gęsi”. Tam z kilku małych loż powstała jedna wielka, znana jako Zjednoczona Wielka Loża Anglii, której nieoficjalnie patronuje mistrz Hiram Abiff.

– Pierwsze słyszę... – mruknęła Patrycja.

– Według Starego Testamentu był on budowniczym świątyni Salomona – wyjaśnił Manuel – i jako jedyny człowiek znał największy sekret świata, czyli Wielkie Kamieniarskie Słowo. Zgadnicie jakie?

– Nawet nie zamierzam próbować... – Wzruszył ramionami Mario.

– Ja wiem – zaśmiał się Ignacy. – Ale nie będę psuł ci zabawy.

– Przynajmniej ten jeden raz – westchnął Manuel. – Pomyślcie chwilę. Kto jest w historii świata zawsze i wszędzie znany pod różnymi nazwami, z których żadna jednak nie jest tak do końca jego imieniem, a jedynie określeniem jego roli...

– Jak widzę, lubisz torturować ludzi nie tylko w swoich książkach – zauważyła Eugenia.

– Albo swoimi książkami – podsunął ironicznie Ignacy.

– No... kto?! – ponagliła Patrycja. – Niech pan w końcu powie!

– Bóg – odpowiedział Manuel. – Owym słowem było imię Boga. Wierzono, że jest ono też kluczem do władzy nad Stwórcą, więc znając je, Hiram posiadał potężną moc. Kusząco potężną. I jak się domyślacie, wielu chciało z niego ów sekret wyciągnąć. W tym jego współpracownicy. Trzech z nich próbowało poznać tajemnicę Hiram przemocą, a kiedy okazało się, że ten nie jest skłonny się nią podzielić, po prostu go zabili. W świątyni, i to w dodatku jego własnym młotem,

którego używał do jej budowy. Ciało przenieśli na szczyt góry i tam pochowali, a grób oznaczyli gałęzią akacji. Wiadomość o śmierci budowniczego szybko dotarła do króla Salomona. Ten postanowił ożywić Abiffa choć na moment, aby zdradził mu swój sekret. Dwie pierwsze metody ożywienia, które król zlecił swoim kapłanom, nie przyniosły jednak efektu, bo zwłoki architekta były w takim stanie, że mięso oddzielało się już od kości.

– Cudowna opowieść przy obiedzie... – zachnęła się półgłosem Anna.

– Jaki obiad, takie atrakcje – odszepnął Mario.

– Trudno się nie zgodzić... – przyznała Karpowicz.

– Dopiero kiedy Salomon osobiście pofatygował się do grobu Abiffa, ten powrócił do życia, i to nie na chwilę, a na długie lata – kontynuował Kłos. – Z wdzięczności zdradził owo słowo Salomonowi, a ten swojemu następcy. Według wierzeń imię Boga przekazywane jest wielkim masońskim mistrzom po dzień dzisiejszy.

– Ale czym są masoni? – zapytała wciąż niezaspokojona tymi wyjaśnieniami Karina. – Sektą? Jak ci, co się wieszają na klamkach?

– Kto się wieszają na klamkach? – zdziwiła się Małgorzata.

– Jehowi – wyjaśnił lekceważąco Marcin. – Wieszają swoje ulotki. Karina zrobiła skrót myślowy...

– Nie, to nie żadna sekta – odpowiedział Manuel. – Masoneria to stowarzyszenie areligijne, filozoficzne. A loża to bardziej miejsce wymiany myśli, coś à la starogreckie forum filozofów niż kościół we współczesnym rozumieniu tego słowa.

– Podobno tutaj też znajdowała się loża masońska – wtrąciła Anna.

– Gdzie? – zdziwiła się Maria.

– W tym pałacu. Tak przynajmniej napisano w „Koktajlu”...

– Och, te brednie... – westchnęła Eugenia, bardziej z rezygnacją niż ze złością.

– Czytałam to... dzieło – nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu. – Dziennikarza nieźle poniosła fantazja. Albo też coś przyćpał...

– Mamo! – Maria przewróciła oczami.

– No co znowu?! – zezłościła się Eugenia. – Przecież wiadomo, że wśród artystów i dziennikarzy jest najwięcej ćpunów. Jak kiedyś poszłam do jednej redakcji, to miałam wrażenie, że trafiłam do kartelu narkotykowego i zamiast z naczelnym pisma spotkam się z Pablo Escobarem.

– Nie mam do ciebie siły...

– Tak, słyszałem o tych plotkach – przerwał im Ignacy. – Ale nie wiem, czy w nie wierzę. Co prawda pałac faktycznie posiada wiele symboli masońskich i może kiedyś miał coś z nimi wspólnego, ale teraz...

– A jakie są te symbole? – zaciekawiał się milczący do tej chwili Julian.

– Najbardziej znane to cyrkiel i węgielnica...

– Węgielnica? – Karina ponownie zrobiła wielkie oczy. – To ma coś wspólnego z kopalniami?

– Nie. Węgielnica to ekier – wyjaśnił Manuel.

– Ciastko?! – zdumiała się jeszcze bardziej Mrozowska. – Symbolem masonów jest cyrkiel i ciastko?! Zabawne.

Jeśli chciała swoimi pytaniami skupić na sobie uwagę, doskonale jej się udało.

– Czego ona uczyła się w podstawówce? – mruknął pod nosem Mario. – Robienia makijażu?

– Nie, kochanie – rzekła łagodnie Eugenia, bo wszystkich innych lekko zatkało.

– Nie ekler, tylko ekier. Czyli znana nam wszystkim ze szkoły ekierka.

– Dokładnie. – Kłós pokiwał głową, odyskując głos. – W murarstwie, z którego wywodzi się masoneria, węgielnica służy do wyznaczania i sprawdzania kątów prostych na powierzchni muru. Ekierka jest taką miniwęgielnicą. Zaś jej nazwa pochodzi nie od węgla, a od węgła, czyli narożnika budynku. W wolnomularstwie symbolizuje ona równowagę i szczerłość. Poza nią podstawowymi symbolami masonerii jest także Oko Opatrzności i litera „g”. Ale tak naprawdę jest ich o wiele, wiele więcej... Zaś co do loży, to owszem, mogła się tu znajdować. Bardzo często siedzibami masonów były właśnie pałace, a ten dodatkowo stworzony został na planie trójkąta, czyli kolejnego symbolu wolnomularstwa.

– To ich miejsca spotkań nie były jakieś tajne? – zaniepokoił się Marcin. – Coś à la podziemne sale, do których trzeba było dojść tajnymi korytarzami... Tak mi się zawsze kojarzyło.

– Niekoniecznie – wciąż cierpliwie tłumaczył Manuel. – Oczywiście, do odprawiania rytuałów i przyjmowania do łóż nowych członków, co dawniej odbywało się w dość dziwny sposób, używano specjalnie zainscenizowanych pomieszczeń położonych w miejscach, których lokalizacje faktycznie trzymano w sekrecie, ale potem wszystko się zmieniło. Na przykład Freemasons Hall w Londynie, która jest siedzibą Zjednoczonej Wielkiej Loży Anglii i miejscem spotkań wielu łóż masonskich z całego świata, znajduje się przy Great Queen Street, blisko Covent Garden, i przy odrobinie szczęścia można ją nawet zwiedzić.

– Zastanawia mnie, skąd pan to wszystko wie – zaniepokoiła się Lucyna.

– Napisałem dwie powieści, w których wykorzystałem wątki masonskie. W przeciwieństwie do niektórych moich kolegów, którzy piszą książki na kolanie, byle tylko szybciej, byle więcej, byle drożej, zrobiłem porządny research. Obejrzałem nawet kilka siedzib wolnomularskich, rozmawiałem z badaczami

i znawcami tematu, bo od samych masonów nie idzie się dużo dowiedzieć. Strzegą swoich tajemnic lepiej niż Cerber Hadesu...

– I w ten sposób wyszło na jaw, że nie czytujesz dzieł mojego zacnego przyjaciela – zaśmiał się Ignacy, puściwszy oczko do Lucyny. – Ale w tym akurat nie jesteś odosobniona. Konia z rzędem temu, kto przeczytał choć jedną... Czy jest wśród nas ktoś taki?

– Ja – przyznała się Miśka, spoglądając na Manuela. – Kilka. W tym te dwie o masonach, dlatego nie jestem zaskoczona pana wiedzą. A bardziej pamięcią. Słyszałam od jednego ze znajomych pisarzy, że przestaje pamiętać nawet imiona swoich bohaterów, gdy tylko postawi ostatnią kropkę w danej powieści.

– Dobrze, jeśli pamięta je w trakcie pisania – westchnął Kłos. – Rozmawiałem ostatnio z redaktorką książek, która stwierdziła, że coraz częściej ma wrażenie, że moi koledzy po klawiaturze cierpią na chroniczne zaburzenia koncentracji. Jeden z nich zrobił scenę pościgu. Jego bohaterowie, zabójca i policjant, wparowują do dwupiętrowej kamienicy, po czym ganiają się po czwartym piętrze. Nie mówiąc już o pisarce, której główna bohaterka odkrywa w Boże Narodzenie, że jest w ciąży. Po czym mija rok, znów nadchodzą święta, a ona jest dalej w tej samej ciąży. I żeby nie było, że tylko szkaluję innych, to sam też mam na sumieniu stworzenie bliźniaków, z których, nie wiem jakim cudem, w kolejnym tomie powieści jeden zrobił się dwa lata młodszy od drugiego.

– Uznajmy, że ten drugi się po prostu szybciej starzał – pocieszyła go Miśka.

Od strony fotela, na którym jakiś czas temu spoczął Jaromir, rozległo się chrapanie.

– Nie wiem, czy to był najlepszy pomysł, żeby on tutaj został – rzekła niespokojnie Maria.

– Trzeba go było jakoś uspokoić – wyjaśniła Eugenia. – Gdybyśmy go stąd usunęli, zrobiliby wszystko, żeby wrócić, a tak mamy go z głowy. Przynajmniej na jakiś czas.

– Szkoda, że nie ma pana ochroniarzy – zauważył Julian, zerkając na Wellmana. – Myślałem, że członkowie rządu zawsze mają asystę...

– Gdybym chciał, to mógłbym oczywiście skorzystać z ochrony SOP-u – wyjaśnił Jakub. – Ale nie wydawało mi się to konieczne.

– Oczywiście – parsknęła Małgorzata, odstawiając na stół trzymany do tej pory kieliszek. – Kto by chciał skrzywdzić narodowego pupila?!

– Słucham? – Patrycja spojrzała na prezenterkę wzrokiem bazyliuszka.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to znakomita pozycja być takim nieskazitelnym ideałem, kochanym przez wszystkich – wyjaśniła Jarosławowicz kąśliwym tonem – i że chylę czoła przed konsekwencją, z jaką zbudowaliście swój mit.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Patrycja.

– Dobrze wiesz!

– Nie wiem, ale bardzo chciałabym się dowiedzieć.

– Moje drogie! – zainterweniowała Sandra. – Dajcie spokój! To nie pora na takie przepychanki...

– A czemu nie? – zdziwiła się Eugenia. – Ja tam jestem ciekawa, do czego to doprowadzi...

– Do niczego – rzekł stanowczo Ignacy. – Przynajmniej nie przy tym stole. Pora na drugie danie! – Klasnął w dłonie, wrywając z marazmu zasłuchanych i zapatrzonych w jego gości kelnerów. – Kuchnia chyba jest już gotowa!

Dźwięk gongu przy drzwiach wejściowych sprawił, że prawie wszyscy zgodnie się wzdrygnęli. Jedynym niewzruszonym pozostał gospodarz.

– O! Moja niespodzianka! – zakrzyknął z radością, po czym skinął na kelnera. – Bądź uprzejmy otworzyć drzwi i wprowadzić mojego gościa specjalnego.

Na widok osoby, która kilka chwil potem stanęła w drzwiach, Miśka aż przetarła oczy ze zdumienia.

– Pozwólcie państwo, że przedstawię, o ile to w ogóle konieczne, bo mam wrażenie, że znamy go wszyscy, komisarza Krzysztofa Darskiego – rzekł Ignacy, wstając od stołu, podchodząc do policjanta i wyciągając do niego rękę na powitanie. – Bez żadnej przesady mogę go nazwać najpopularniejszym polskim funkcjonariuszem policji, a prywatnie jestem bardzo zaszczycony faktem, że od lat jesteśmy znajomymi.

– Ciekawy zwrot akcji – szepnął Mario w stronę przyjaciółki. – Jesteśmy my, Darski... Tylko czekać, aż pojawi się też jakiś trup.

– Weź się i przepluj! – poprosiła go spanikowana Miśka. – Jeszcze wykraczesz...

– Dlaczego mam się przepluwać? – Mario popatrzył na nią z ironiczną miną. – Przynajmniej spędzimy ciekawie czas. – A do Darskiego zawołał: – Witaj, Krzysiu! Dawno się nie widzieliśmy. Siedzisz obok nas. Interesujący zbieg okoliczności, prawda?

Rozdział VII

Choć obiecała sobie, że nawet tam nie spojrzy, to jednak wracając z kolacji i przechodząc obok wejścia do groty skalnej, Miśka poczuła pokusę sprawdzenia, jak wyglądają drzwi do owego tajemniczego pomieszczenia. Jeśli bowiem miała jakąś słabość, to z pewnością były to właśnie drzwi. Kiedy jechała do jakiegoś miasta, zawsze najpierw sprawdzała, czy znajdzie tam jakieś stare i oryginalne wrota. Podziwiała je, fotografowała, a potem robiła albumy z ich zdjęciami. Jednym słowem miała na tym punkcie fioła. Wiedzioną swoją manią zeszła teraz po kilku krętych schodkach, po czym zatrzymała się, słysząc czyjeś kroki. Ich odgłos dochodził od strony klatki schodowej, co oznaczało, że nie tylko ona postanowiła zakończyć już wieczór i udać się do pokoju.

– Poczekaj... – Usłyszała nieco przytłumiony męski głos.

– Daj mi święty spokój! – Te słowa z pewnością wypowiedziała Jarosławowicz. – Proszę!

– Czemu to zrobiłaś...?

Miśka przez chwilę jeszcze nie umiała zidentyfikować, do kogo należy mile brzmiący bas.

– Co zrobiłam?

– Przekazałaś jej to! Teraz ma nas w garści. I szantażuje! Każe nam się publicznie przyznać do problemów małżeńskich, a mnie do zdrady. W imię cholernej prawdy! Zaczęła pieprzyć jakieś idiotyczne moralistyczne dyrdymały. Jakby była na ambonie! A wszystko przez te materiały, które powinnaś była zniszczyć, gdy tylko dostały się w twoje ręce!

– Jakie materiały?

– Nie udawaj naiwnej!

Dopiero w chwili, kiedy zabrzmiał nieco głośniejszy, Miśka zorientowała się, że ów męski głos należy do ministra.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Wiem, że dostała je od ciebie, i tylko nie rozumiem dlaczego. Myślałem, że...

– Czemu sądzisz, że miałyby je dostać ode mnie?

– Bo tak nam powiedziała.

– Co?!

– Zapytaliśmy, w jaki sposób weszła w ich posiadanie i czy zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli okaże się on nielegalny, nie zawahamy się oddać sprawy do sądu. Na co ona się roześmiała i powiedziała, że dostała je od ciebie.

– Kłamie!

– Nie sędzę. Była pewna siebie. Poza tym wiem dobrze, kiedy ty mówisz mi nieprawdę. Nie pytam o to, czy to zrobiłaś, tylko dlaczego. Myślałem, że łączy nas coś wyjątkowego.

– Nic nas nie łączy! Miałaś z nią porozmawiać, ustalić, jak się rozstaniecie. Ufałam ci! Wierzyłam, że to zrobisz! A tymczasem mijają miesiące, a ty mnie tylko zwodzisz.

– To nie jest takie proste. Ona trzyma mnie w szachu. Chciałbym się od niej uwolnić, ale ona pociąga za wszystkie sznurki...

– Przede wszystkim za te, którymi steruje tobą! Pacynka! Oto kim jesteś! Zwykłą pacynką!

– I dlatego postanowiłaś się zemścić, rujnując naszą reputację i pozycję? Co to jest? Banalny rewanż odrzuconej kobiety?

– Ooooo, to teraz nagle jestem odrzucona?! Nie mogłeś mi tego powiedzieć dwa tygodnie temu, zanim pojechaliśmy do tego cholernego hotelu?

– Csiii... Ktoś idzie! Spotkajmy się...

Głosy oddaliły się, Miśka więc nie usłyszała już ostatnich słów. Machnąwszy ręką na drzwi do groty, wróciła na klatkę schodową. W duchu pomyślała, że Mario miał jednak rację, kiedy od czasu do czasu insynuował, że idylla Wellmanów to tylko pozór. No proszę, proszę... Romans na boku, jakieś tajne materiały, sąd... Kto by się spodziewał?

– Czemu wystaje ci pół kadłuba? – Głos za plecami sprawił, że serce Miśki nagle znalazło się w jej gardle.

Odwróciła się i zobaczyła za sobą zaciekawioną twarz przyjaciela.

– Nie strasz ludzi! – jęknęła z ulgą. – I jakie znowu pół kadłuba?

– Od mojej strony wygląda to tak, jakby ci połowa zewłoka wystawała bezpośrednio z posadzki – wyjaśnił Mario. – Dość dziwaczne wrażenie. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie poszedłem do wesołego miasteczka i tam była taka kobieta bez ciała. Sama głowa. Przepowiadała przyszłość. Nie masz aby jakichś wizji?

– Owszem, mam. – Miśka pokonała ostatnie stopnie i stanęła obok niego. – Ciebie na kozetce u psychiatry.

– Jak na kozetce, to u psychologa albo psychoterapeuty – sprostował Mario. – Spokojnie, jeszcze kilka morderstw, obsługa Róży, parę miesięcy pracy z Iwką i wyląduję tam na ochotnika.

– Jakim sposobem się tu dostałeś? Przecież nie wszedłeś po schodach... – Miśka wolała nie drążyć tematu zdrowia psychicznego współnika ani tym bardziej potencjalnego, choć niestety bardzo prawdopodobnego, wpływu ich ostatnich wyborów biznesowych na wzrost jego szaleństwa.

– Skąd wiesz?

– Bo... – zawahała się, czy przyznać się do wścibstwa, jednak tylko przez moment, bo i tak przecież nie miała przed Mario żadnych tajemnic – ... podsłuchiłam rozmowę, której nigdy bym się nie spodziewała. – Naprędcie streściła przyjacielowi, czego stała się mimowolnym świadkiem.

– Ja to jednak mam niezłą intuicję – podsumował z zadowoleniem Mario. – Ale powiem ci, że nigdy bym nie przypuszczał, że nasz drogi minister ma romans z kimś w swoim wieku. Zawsze wyglądał mi na takiego, który jeśli już, to rozgląda się za nastolatkami...

– Mnie bardziej ciekawi ta druga kwestia...

– Szantażu? – upewnił się Kosek. – No tak, to jest interesujące. Od początku mówię ci, że coś się tutaj święci niedobrego. Eugenia ma takie przeczucia i ja też...

– Przeszedłeś już z nią na ty? – zdumiała się Miśka.

– Oczywiście! – Mario wzruszył ramionami. – Przecież wiesz, że nie uznaję formy „pan”, „pani”. Zwłaszcza w stosunku do kogoś, kto sam tytułuje mnie mianem „złotka”.

– Wróćmy do tego, jak się tu dostałeś – przypomniało się Miśce. – Bo przecież zostałeś na dole, nie wszedłeś po schodach, a nagle pojawiłeś się za mną. Niby jak? Sfrunąłeś z dachu? Umarłeś i przełazisz przez ściany jak Patrick Swayze w tym filmie, w którym lepił garnki z Demi Moore?

– „Uwierz w ducha” – odpowiedział Kosek, po czym uśmiechnął się triumfalnie. – Otóż nie! Wyobraź sobie, iż Genia odkryła, że ten tajny korytarz, którym dostała się do naszego pokoju, ma jeszcze bardziej zakamuflowane schody, które łączą go z przedpokojem na parterze. Właśnie tamtędy przeszliśmy razem z Darskim i teraz pijemy parę rozchodniaczków. Wyszedłem, żeby cię znaleźć.

– Darski pije? – Miśka poczuła się zszokowana. – Myślałam, że jest mormonem.

– Yhm, nie ty jedna – przyznał Mario. – Ale, jak się okazuje, nasz dzielny komisarz bynajmniej nie wylewa za kołnierz. Poza tym ma chyba jakieś problemy...

– Służbowe?

– E-e. – Kosek pokręcił głową. – Prywatne. Coś w jego związku zaczyna trzeszczeć i się rozłazić...

– O nie! – Miśka, która od początku dzielnie sekundowała relacji komisarza i jego narzeczonej, poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu. – Za moment przestanę w ogóle wierzyć w jakikolwiek sens łączenia się w pary.

– A do tej pory wierzyłaś? – Mario popatrzył na nią ze szczerym niedowierzaniem. – Zawsze powtarzam, że najlepszy związek to ten z samym sobą. Przynajmniej nikt cię nigdy nie wyrokuje. Tak czy siak, wracamy do pokoju. Pocieszysz Krzysia, bo humor ma dzisiaj lekko klapnięty. Przydałaby się jakaś zbrodnia, żeby go rozerwać...

– Sugerujesz, że mam wystąpić jako jej zamiennik? – oburzyła się nieco Miśka.

– Tak jakby – potwierdził Mario. – No już, jazda do pokoju!

* * *

Słyszając ciche pukanie, Julian zerwał się z łóżka i w błyskawicznym tempie dopadł do drzwi.

– Wreszcie jesteś – rzekł, kiedy Marcin bezszelestnie wszedł do pokoju. – Myślałem już, że nie dasz rady...

– Ta cholera nie chciała iść spać – wyjaśnił Prusik, rozpinając mu koszulę. – Głędziła i głędziła, a potem nabrała ochoty na figle, a to trochę trwało...

– Hola, hola! – Julian powstrzymał rękę Marcina. – Chcesz mi powiedzieć, że spełniłeś jej życzenie?

– No tak – przyznał Prusik. – Inaczej by się nie położyła i nie zasnęła, a tak to śpi jak zabita!

Julian zrobił dwa kroki do tyłu i przyjrzał mu się z lekkim niedowierzaniem wypisanym na twarzy.

– Czyli odwaliłeś jedno bzykanko i przyleciałeś na drugie? – uściślił ironicznym tonem. – Jakże uroczo. Dasz w ogóle radę?!

– No, tak nie do końca. Ale pomyślałem, że może dla odmiany dzisiaj ty bzykniesz mnie...

– Oczywiście – rzekł Julian. – W te pędy! Zwariowałeś?! Wynoś się z mojego pokoju!

– Ale o co te nerwy, kochanie? – Niezrażony Marcin zaczął własny striptiz. – Nie mów, że tego nie chcesz?

– Widzę, że generalnie wszystko ci jedno, co robisz, bylebyś rozpiął jakąś koszulę – zauważył Julian. – Tak jak ci wszystko jedno, z kim się bzykasz...

– Chyba nie jesteś zazdrosny – zdumiał się szczerze Marcin. – Przecież wiesz, jaki mamy układ, i sam się na niego zgodziłeś...

– Tak było dawniej... – westchnął Zamirski. – Liczyłem na to, że kiedyś się to zmieni, a teraz...

– Kiedyś tak, ale to jeszcze nie jest dobry moment. – Marcin pozbył się koszuli i usiadł na łóżku. – Przecież świetnie zdajesz sobie sprawę z tego, że moja kariera dopiero co wystrzeliła. Daj mi zrobić ten serial dla Netfliksa, potem film dla Disneya i wtedy zobaczymy...

– Zobaczymy?! – oburzył się Julian, starając się nie zwracać uwagi na podniecający go niezmiennie od miesiący widok nagiego, perfekcyjnego torsu kochanka. – To są kolejne długie miesiące. Ile chcesz ciągnąć tę farsę?! Nawet ona się w końcu domyśli!

– Ona?! – prychnął pogardliwie Marcin. – Jej kurzy mózdzek nie przetwarza nawet podstawowych danych, a co dopiero tych bardziej skomplikowanych. Czasem mam wrażenie, że wszystkie kawały o blondynkach stworzył jakiś jej znajomy na podstawie obserwacji jej zachowania. Widziałeś ją dzisiaj w akcji podczas obiadu. Żenada.

– Skoro tak nią pogardzasz, to czemu z nią jesteś?

– Bo każda inna domyśliłaby się w sekundę, kogo naprawdę kocham? – Marcin wstał z łóżka, po czym podszedł do Juliana, po drodze pozbywając się spodni i butów. – I musielibyśmy skończyć to, czego nie chciałbym skończyć nigdy w życiu.

– Być może i tak będziemy do tego zmuszeni... – westchnął smutno Julian.

Marcin zatrzymał się tuż przed nim i obrzucił go niespokojnym spojrzeniem.

– Nie zgodziła się? – zapytał z wyraźnym niepokojem.

– Powiedziała, że się zastanowi. Ale po jej minie widziałem, że raczej nam nie odpuści. Błagałem ją, ale usłyszałem od niej tylko tyle, że obowiązuje ją kobieca solidarność i że nie powinniśmy nikogo aż tak oszukiwać. Oraz że dała nam szansę, a skoro jej nie wykorzystaliśmy, to nasza sprawa.

– Głupia kurwa! – Marcin podniósł głos. – Kto dał jej prawo wpięprzania się w cudze życie?!

– Obawiam się, że my sami. W chwili, gdy nas poniosło.

– Zabiję tę sukę! – Prusik zaczął nerwowo przemierzać szlak od okna do przeciwległej ściany. – Bez chwili wahania! Co za szmata!

Zamirski mimowolnie pomyślał, że tym ostatnim słowem jego przyjacieli zawsze określa osoby, które mają inne zdanie niż on, począwszy od reżyserów i komisji na castingach, a skończywszy na zatrudnionej niedawno sprzątacze, która śmiała przy odkurzaniu poprzestawiać nagrody przyznawane mu przez czytelnicki portali o gwiazdach. Każdy, kto miał pecha w jakikolwiek sposób mu się narazić lub uczynić coś wbrew woli królewicza Marcina, od razu spadał w jego hierarchii do kategorii szmat i suk.

– Myślę, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko ujawnić publicznie prawdę, zanim ona zrobi to za nas – rzekł Julian, mając w sercu nieśmiałą nadzieję, że usłyszy za moment, iż właśnie tak postąpią. – Albo spełnić jej życzenie i spróbować przekonać Karinę do tego, aby zgodziła się dalej cię kryć, tym razem już świadomie.

– Równie dobrze możesz spróbować namówić krowę na pastwisku, żeby zaczęła recytować poezję Tuwima – warknął Marcin, nie przestając nerwowo chodzić po pokoju. – Jest jeszcze jedna możliwość.

– Jaka? – Julian znał odpowiedź i na samo jej wspomnienie poczuł, że robi mu się niedobrze.

– To, co kazała nam zrobić, jeśli nie zdecydujemy się powiedzieć Karinie – odparł Marcin, zatrzymując się na środku pokoju. – Rozstać się.

Niedawno spożyty obiad zaczął w błyskawicznym tempie podchodzić Julianowi do gardła.

– Żartujesz? – zapytał cicho, starając się zapanować nad żołądkiem.

– Nie. – Ostry głos Marcia smagnął go niczym bicz. – Jeśli ta kurwa naprawdę nie da się przekonać, to tak trzeba będzie zrobić.

– Ale...

– Nie zamierzam rezygnować z kariery. – Prusik sięgnął po spodnie. – Ona jest dla mnie najważniejsza.

– Ważniejsza ode mnie? – wyszeptał z trudem Julian. – Od nas?

Marcin nie odpowiedział. Szybko wciągnął spodnie i zgarnął z łóżka koszulę. Julian dopadł do niego i przeszkodził mu w jej założeniu.

– Powiedz mi! – krzyknął histerycznie. – Czy twoja kariera jest ważniejsza ode mnie?!

Prusik zachnął się i odepchnął go gwałtownie. Julian stracił równowagę i klapnął siedzeniem na dywan.

– Tak. – Marcin nawet nie popatrzył w jego kierunku, tylko spokojnie się ubrał do końca. – Kariera jest dla mnie najważniejsza. Przepraszam cię bardzo, ale taka jest prawda.

Po chwili wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

I dopiero wtedy Julian wybuchnął płaczem, a potem zwymiotował.

* * *

Golden Girl rozejrzała się z uznaniem po pokoju Pierre'a. Choć był mniejszy od tego, jaki przydzielono jej samej, to zdecydowanie gustowniej urządzony i przytulniejszy. Miał nawet to, co uwielbiała i czego należałoby się spodziewać

po każdym pomieszczeniu w pałacu, a co w tutejszym było rzadkim wyjątkiem, czyli ozdobny kominek i to, o dziwo, sprawny i używany.

– Zanim sprzedałem pałac Ignacemu, to było moje ulubione pomieszczenie – wyjaśnił Tourneur, dorzucając drwa do paleniska. – Prawie wszystkie pozostałe ten cudaczny architekt przerobił na pseudonowoczesne i w związku z tym zaczęły wyglądać jak klon pokojów z Ibisa. Tego i jeszcze z dwóch, trzech nie zdążył wyremontować. Kiedy odzyskałem pałac, kazałem je tylko odświeżyć, ale bez większej ingerencji w to, jak wyglądają.

– Nie boisz się wracać tutaj po tym, co cię tu spotkało? – zapytała ostrożnie Golden Girl.

– Masz na myśli wypadek? – upewnił się Pierre, a kiedy jego rozmówczyni potaknęła, na chwilę się zamyślił. – Nie. Odkąd sprzedałem pałac, mam wrażenie, że już nic mi tu nie grozi.

– Ha! Czyli jednak uwierzyłeś w klątwę!

– A jeśli przytaknę, to uznasz mnie za wariata?

– Nie. – Golden Girl pokręciła głową, po czym podniosła kieliszek i popatrzyła przez niego na ogień płonący w kominku. – Sama wierzę w takie rzeczy. Prowadzę nawet warsztaty ezoteryczne. Sprzedaję specjalne kości mocy, które najpierw są zaklinane przez brazylijskich szamanów...

– Serio? – zdziwił się Pierre. – Działają?

– No co ty! – prychnęła Golden Girl. – Kupuję je u Chińczyków za grosze, a potem upycham jakimś bogatym frajerkom i frajerom za dziesięć razy więcej. Niestety, z ciężkim sercem muszę przyznać, że frajerek jest więcej.

– Kobieta biznesu pełną parą z ciebie – mruknął Tourneur z wyraźnym sarkazmem.

– Jakoś trzeba zarabiać, bo rachunki same się nie zapłacą. – Golden Girl nie wyglądała na jakoś specjalnie dotkniętą jego komentarzem. – Tym niemniej wierzę w takie rzeczy jak magia, numerologia, wróżby, klątwy...

– Zanim po raz pierwszy przyjechałem do tego pałacu, byłem co do tego mocno sceptyczny – wyznał Pierre, siadając na dywaniku przy kominku i wykonując zapraszający gest. – Tutaj jest cieplej i wygodniej.

Dziewczyna wstała z fotela i usadowiła się na poduszkach tuż przy Tourneurze.

– Potem zmieniłeś zdanie? – zapytała.

– Możesz się śmiać, ale kiedy już po załatwieniu wszystkich kwestii związanych z prawem własności przekroczyłem progi pałacu, miałem wrażenie, że nie jestem tu sam – wyznał Pierre niepewnie. – I że gdziekolwiek się nie ruszę, ktoś mnie obserwuje. To uczucie było tak mocne, że nawet tu nie zanocowałem. Uciekłem i spałem w hotelu, a następnego dnia zadzwoniłem do przyjaciela i ubłagałem go, żeby przyjechał i pobył tu ze mną kilka dni. Najzabawniejsze, że

on nie czuł tego, co ja. Kiedy opowiedziałem mu o swoich obawach, patrzył na mnie jak na świra.

– Ale to nie on był właścicielem tego miejsca... – zauważyła Golden Girl.

– No właśnie – potaknął Pierre. – Ciekawe, czy Ignacy czuje teraz to samo, co ja wtedy.

– Nie sędzę. – Influencerka pokręciła głową. – Wydaje się bardzo wyluzowany i radosny. Poza tym chyba nigdy nie przebywa w tym miejscu sam. Przyjechał tu z mamą i babcią.

– No tak... – westchnął Tourneur. – Szalona pani Eugenia. Jej żaden duch i klątwa niestraszne.

– Myślę, że to kwestia lat... – rzekła w zamyśleniu Golden Girl. – Kiedy dochodzi się do pewnego wieku, człowiek zaczyna myśleć inaczej i odmiennie traktować życie. Moja mama na przykład do czterdziestki nie wsiadła do samolotu, bo była pewna, że kiedy ona nim poleci, to na pewno zaraz nastąpi jakaś katastrofa. Kiedy zaś skończyła czterdziestkę i jakieś dziecko ustąpiło jej miejsca w autobusie, doszła do wniosku, że i tak wszystko, co najlepsze, już za nią, więc przemogła się i teraz częściej podróżuje samolotem niż tramwajem.

– W każdym razie... – Pierre poczuł, że nie za bardzo umie się ustosunkować do oryginalnego gustu podróżniczego mamy swojej rozmówczyni – ...przez cały czas, kiedy tu byłem, towarzyszyło mi uczucie zagrożenia. Aż w końcu wydarzył się ten wypadek. Do dzisiaj nie umiem tego zrozumieć. Ostatnie, co pamiętam, to że stałem na szczycie schodów i poprawiałem koszulę. Kolejna rzecz, którą pamiętam, to dopiero ten cholerny moment, kiedy obudziłem się z rurą w gardle i uczuciem, że się duszę oraz że nie jestem w stanie poruszyć nogami.

– Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak musiało to być bolesne i przerażające. – Golden Girl przysunęła się do niego i pogłaskała go po udzie. – Wróciłeś jednak do pełnej sprawności...

– Tak. Po pierwsze, trafiłem na genialnych chirurgów. Jak mi potem powiedziano, lekarz, który mnie operował, cieszy się opinią cudotwórcy. I oceniając po tym, co udało mu się zdziałać w moim przypadku, w pełni na nią zasługuje. Po drugie, bardzo długo się rehabilitowałem. Co ma też i dobrą stronę, że chyba nigdy w życiu nie miałem tak muskularnej sylwetki...

– Naprawdę? – Golden Girl zrobiła minę, o której wiedziała, że idealnie działa na płęć mniej piękną, i przesunęła rękę w górę uda Tourneura. – Założę się, że zawsze musiałeś być przystojny...

– Trudno oceniać samego siebie – odpowiedział Pierre, kładąc swoją dłoń na ramieniu dziewczyny. – Ale nigdy nie narzekałem na brak zainteresowania...

– No raczej... – Golden Girl odrzuciła włosy, po czym pochyliła się w stronę Pierre'a. – Ja też nie.

– Wcale się temu nie dziwię. – Twarz Tourneura rozjaśnił uśmiech. – No proszę, a byłem pewny, że to będzie nudny pobyt...

– Komu jak komu, ale nam z pewnością nuda nie grozi – szepnęła Golden Girl. I jak się szybko okazało, miała rację.

* * *

Lucyna wpatrywała się w lustro. Niby nie było w tym nic specjalnie dziwnego, zdaniem domowników spędzała bowiem przed różnymi zwierciadłami mniej więcej połowę życia, dzisiaj jednak nie studiowała swojego oblicza i nie szukała kolejnych mankamentów urody, aby potem nakazać je skorygować jednemu z zatrudnianych przez siebie fachowców od przerabiania ludzi w sztuczne ideały. Tym razem Gąssowska w ogóle nie zwracała uwagi na to, co ma przed oczami. Myślała, i to intensywnie. W efekcie tego procesu po kilku minutach sięgnęła po komórkę.

– Cześć, kochany – przywitała się z rozmówcą swoim najśłodszym głosem. – Mam nadzieję, że jeszcze nie spałeś. Nie? To dobrze. Mam do ciebie pytanie. Pamiętasz, kiedyś wspominałeś, że masz różne takie dziwne znajomości i oryginalnych kolegów? Co? Nie, nie chcę poznawać żadnej Hutniak! Chodzi mi o osoby z tak zwanego półświatka... O, właśnie! Rozumiem, że nie zerwałeś tych kontaktów? Znakomicie! W takim razie będę potrzebowała twojej pomocy. Już ci wszystko mówię...

* * *

Eugenia, nie pytając nikogo o zdanie, zapaliła kolejnego papierosa. Miśka, która właśnie skończyła opowiadać podsłuchaną rozmowę, ze zrezygnowaną miną otworzyła okno, dochodząc do wniosku, że z ewentualnego zapalenia płuc lekarze ją jakoś wyciągną, z raka płuc raczej nie.

– W ogóle mnie to nie szokuje – rzekła starsza pani, nakazując Darskiemu, aby nalał jej kolejny kieliszek wina. – Ona jest sztywna jak kij i nie ma za grosz seksapilu. Nic dziwnego, że poszukał sobie kogoś innego.

– Ale Jarosławowicz?! – westchnął Mario. – Przecież ona jest...

– Seksowna, pewna siebie, popularna i zamożna? – Eugenia popatrzyła na niego ironicznie poprzez kłęb dymu, który wypuściła z ust. – Czego chcesz więcej?

– Ale ma już swoje lata... – zauważył Kosek.

– No wiesz! – zachnęła się Miśka. – Po kim jak po kim, ale po tobie nie spodziewałam się ageizmu!

– To nie ma nic do rzeczy – prychnęła w tym samym momencie Eugenia. – Kiedy byłam w jej wieku, dwudziestolatki pchali mi się do łóżka stadami. Nigdy nie wiedziałam, obok którego się obudzę. A już spamiętać ich imiona!

Tym razem zakrztusił się Darski, który podobne teksty z ust starszej pani usłyszał po raz pierwszy. Klepiąca go po plecach Miśka tylko wzruszyła ramionami.

– Zastanawiam się, czy ona wie... – rozważał na głos Mario.

– Patrycja? – upewniła się Szustek. – Na pewno nie.

– Czyżby? – Eugenia rzuciła jej złośliwe spojrzenie. – Miałaś kiedyś męża, drogie dziecko?

Miśka pokręciła głową.

– No właśnie... Zdziwiłabyś się, jak dużą wiedzę żony z reguły ukrywają przed swoimi mężami. Moja matka przekazała mi to jako jedną z pierwszych dorosłych nauk do zapamiętania: przed mężczyznami zawsze udawaj głupszą, niż jesteś, a sporo na tym ugrasz. Oczywiście, współczesność wszystko w tym względzie wywróciła do góry nogami. Teraz kobiety koniecznie muszą się chwalić tym, że pozjadały wszystkie rozumy, a potem się dziwią, że faceci od nich uciekają. Czasem nawet do innych facetów. Tak jak co poniektórzy tutaj...

– Tutaj? – zdumiał się Mario, mimowolnie spoglądając na Darskiego.

– Aż tak źle, to jeszcze nie jest – mruknął komisarz.

– Nie mówię o was, ale ogólnie o gościach mojego wnuka – wyjaśniła Eugenia.

– Jak to? – Miśka zmarszczyła brwi.

– Ech, ludzie to czasami naprawdę są ślepi – westchnęła Krasucka, po czym upiła łyk alkoholu. – Zaczynam się przyzwyczajać do tego sikacza. Choć nadal bez mrugnięcia okiem kazałabym wybatożyć nieszczęśnika, który wpadł na pomysł, żeby nazwać to winem.

– No właśnie... – Mario postanowił wyjaśnić kwestię, która nurtowała go, odkąd tylko przekroczył progi pałacu. – Dlaczego wszystko tutaj jest takie...?

– Tanie? – podpowiedziała Eugenia, widząc, że Kosek waha się nad doborem właściwego słowa. – Nie musisz być poprawny politycznie.

– Chciałem powiedzieć mało ekskluzywne – wyjaśnił Mario. – Ale w sumie sprowadza się to do tego samego...

– Mój drogi – Krasucka popatrzyła mu prosto w oczy – przecież nietrudno się tego domyślić. Mój kochany wnuk jest goły i wesoły.

– Jak to?! – Kosek nie umiał ukryć zdumienia. – Przecież majątek jego ojca...

– Rzekomy majątek – wpadła mu w słowo Eugenia. – A tak naprawdę kupa długów i wierzycieli, którzy za moment pożrą go żywcem. Oczywiście, Ignas próbuje jakoś ich udobruchać, ale w świecie rekinów finansjery nie liczą się piękne słówka, ale konkrety i kasa, której nie mamy. To znaczy, inaczej... Dla wielu osób to, czym dysponujemy, byłoby majątkiem zapewniającym godziwe życie, ale dla nas są to nędzne ochłapy. Powiedźcie mojej szanownej córce, że ma zamieszkać w em trzy, a będziecie musieli z miejsca wzywać księdza, żeby jej udzielił ostatniego namaszczenia. Swoją drogą, powinna odpokutować za winy, bo to ona nie zauważyła, co się dzieje z jej mężem.

– A co się działo? – zaciekała się mimowolnie Miśka. – To znaczy, przepraszam, jeśli to jest zbyt osobiste pytanie...

– Hazard, moje dziecko, po prostu hazard. – Eugenia machnęła lekceważąco ręką na wścibstwo dziewczyny.

– Naprawdę można stracić w ten sposób aż tak wielki majątek? – Mario nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Zdziwiłbyś się... – mruknął pod nosem Darski, który kilka razy prowadził różne sprawy, w których hazard grał główną rolę, i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak poważnym jest on uzależnieniem.

– Mój niezbyt świętej pamięci zięć nie grywał w naszych lokalnych kasynach – wyjaśniła Eugenia. – Rozbijał się po tych w Monte Carlo, Las Vegas, Singapurze... Jego ulubionym kasynem było „The Venetian Macao” w Chinach.

– Chyba obilo mi o uszy... – Mario zmarszczył brwi. – Jest największe na świecie, prawda?

– Tego nie wiem. – Eugenia wzruszyła ramionami.

– Owszem – wtrącił Darski. – Czytałem o nim kiedyś i zapamiętałem, że ma powierzchnię równą siedmiu standardowym boiskom piłkarskim.

– A ile ma boisko? – zapytała Miśka.

– Siedem tysięcy metrów kwadratowych...

– Czyli siedem tysięcy razy siedem to czterdzieści dziewięć tysięcy metrów kwadratowych – szybko policzyła Miśka. – Czyli cztery koma dziewięć hektara. Tyle, ile ma posiadłość mojej ciotki...

– Której ciotki? – zaciekał się mimowolnie Mario.

– Tej, która mieszka na Mazurach i ma łąkę – wyjaśniła Miśka. – Tam, gdzie ubrałeś się jak torreador, a potem się dziwiłeś, że byki za tobą latają po tej łące...

– Aaaa... Już wiem – przypomniał sobie Mario. – Toż to kasyno musi być ogromne. Na łące twojej ciotki pasie się z milion krów!

Miśka przez chwilę wyglądała tak, jakby usiłowała sobie wyobrazić krowy grające w ruletkę i pokera.

– A w kasynach jest tyleż samo baranów – stwierdziła stanowczo Eugenia. – A wśród nich był też i mój zięć. Mało, że przepuszczał tam majątek rodzinny, w tym mój, to jeszcze brał pożyczki. Do tego doszły nietrafione inwestycje, fatalne decyzje biznesowe, no i kiedy wreszcie trafił go szlag, okazało się, że po fortunie zostało tylko mgliste wspomnienie. Żal mi Ignasia, ale przedsiębiorca z niego taki, jak z koziej dupy waltornia. Umie tylko ładnie wyglądać i nic więcej.

– W tych czasach nawet i na tym można zbić majątek – zauważył trzeźwo Darski.

– Owszem, i Ignas się stara – zgodziła się Krasucka. – Tyle że same kolorowe fatałaszki nie wystarczą. Choć muszę przyznać, że wygląda w nich bardzo efektownie. Zamiłowanie do koloru ma po mnie. Nienawidzę nudy. I czerni. Czerni kojarzy mi się tylko ze śmiercią. Nigdy w życiu nie kupiłam ani jednego czarnego ciucha. Tak więc Ignas gust ma prima sort, ale na szczęście w naszym kraju ciągle od facetów oczekuje się więcej niż tylko dobrego wyglądu.

– Zawsze mamy pod górkę – westchnął smętnie Mario.

– Już ty nie rób z siebie takiego męczennika. – Miśka popatrzyła na niego karcąco. – Komu jak komu, ale tobie akurat w życiu nie jest najgorzej...

– A tak swoją drogą... – Mario zignorował jej uwagę. – Odniosłem wrażenie przy obiedzie, że mało kto się tutaj lubi.

– Słusznie – przyznała Eugenia. – Kiedy zobaczyłam listę gości, wiedziałam, że to będzie katastrofa. Nawet zapytałam Ignasia, czy na pewno wie, co robi, ale odburknął, żebym się nie wtrącała. I sami popatrzcie. Ten młody aktor ze swoją narzeczoną, pospolitą idiotką... – Odnotowała trzy oburzone spojrzenia. – Darujcie mi, ale pochodzę z czasów, kiedy jeszcze nazywało się rzeczy po imieniu i nie owijało w bawełnę. Jak się obecnie nazywa idiotki?

– Inteligentne inaczej? – podsunął niepewnie Mario.

– Influencerki? – podpowiedział Darski.

– W ogóle się nie nazywa – stwierdziła stanowczo Miśka. – Nie wartościuje się teraz ludzi według ich przymiotów umysłowych.

– Bez sensu. – Skrzywiła się Krasucka. – No dobrze, ustalmy, że nie bucha ona nachalnym intelektem. Ani spostrzegawczością, skoro nie dostrzegła, że jej ukochanego i jego kolegę łączy coś więcej niż tylko zwykła przyjaźń.

– Byłem tego pewny... – mruknął Mario.

– Skąd pani wie? – spytała równocześnie Miśka. – Przecież za pani czasów...

– Nie mówiło się o takich rzeczach głośno – znów dokończyła starsza pani. – Owszem. Za moich nikt nie był homoseksualistą. Nawet mężczyzna, który sypiał z innymi mężczyznami, też nim nie był. Zabawne, że obecnie wszyscy muszą wiedzieć wszystko o wszystkich i każdy musi być ekshibicjonistą. Oczywiście, nie mam nic przeciw homoseksualizmowi, ale dziwi mnie ta ostentacja. Raz

w Rzymie spróbowałam, jak to jest z kobietą, ale jakoś nie uważałam za stosowne wywlekać ją od razu na Piazza Navona i całować się z nią publicznie między fontannami. Poza tym nie do końca mi się spodobało. Owszem, była milutka i gładka jak aksamit, ale stanowczo brakowało jej penisa.

Ponieważ słowa te padły w momencie, kiedy pozostała trójka raczyła się winem, tym razem zachłyśnięć było znacznie więcej niż przy poprzednich wyznaniach Eugenii.

– Z kolei ten pisarz... – niezrażona efektem, jaki wywołała, starsza pani perorowała dalej – przyjaciel mojego wnuka, mam wrażenie, że nie lubi nikogo. Mówiłam już, że gdy go poznałam, to pomyślałam, że musi być strasznym bufonem. A poza tym prawie nic nie mówił. Pisarze są z reguły potwornie zarozumiali i uważają, że pozjadali wszystkie rozumy. Brakuje im dystansu i poczucia humoru. Ot co! Wiem, że nie powinnam mieć nic przeciw ponurakom, ale strasznie mnie irytują. Trudno się po nich spodziewać jakichkolwiek przebłysków intelektu. Wyznacznikiem inteligencji jest według mnie poczucie humoru, a powaga jest tarczą głupców. Kto dalej? Ta młoda aktorka, wbrew moim nadziejom, też nie błysnęła niczym specjalnym. Biorę jednak pod uwagę, że to aktorka. Wydawała mi się błyskotliwa, ale może po prostu miała dobrze napisane scenariusze. A wracając do Kłosa, to ostatecznie byłam zaskoczona, jak bardzo się rozgadał przy kolacji. I nawet całkiem rozsądnie opowiadał. Nigdy bym się tego po nim nie spodziewała. Za to zadziwiła mnie ta baba Frankenstein...

– Która? – jęknęła Miśka, już nawet nie próbując liczyć, ile grup społecznych Krasucka obraziła w czasie ledwie kilku chwil.

– Ta cała lala od operacji plastycznych – wyjaśniła Eugenia. – Moja córka ją uwielbia, bo naciąga się i podciąga za półdarmo w jej klinikach. Jak jej tam...? Lucyna! Z reguły świzgocze tak, że ma się ochotę do niej podejść i ścisnąć jej usta klamerką do wieszania prania. A dzisiaj siedziała jakaś taka nadęta i smętna. Jak nie ona. Tak naprawdę całe to przyjęcie ratowała wasza radosna jak skowronek przyjaciółka...

– Nasza... co? – Mario popatrzył na nią pytająco.

– Pani Kasia. Miałam wrażenie, że się przyjaźnicie.

– Jaka pani Kasia? – zdumiał się Kosek.

– Golden Girl – wyjaśniła mu Miśka. – Ona ma na imię Katarzyna.

– Naprawdę? – Mario wyglądał na szczerze zaskoczonego. – Prawdę mówiąc, zapomniałem, że ona w ogóle ma jakieś imię. Dla mnie jest Golden Girl i już.

– I jak się do niej, dziecko, zwracasz? – zaciekawiała się Eugenia. – Pani Golden Girl?

– W ogóle się do niej nie zwracam – wyjaśnił Mario z zakłopotaniem. – Jakoś nam tak wychodzi, że nie używamy imion.

– Ona jedyna była dzisiaj w dobrym humorze – orzekła Eugenia. – I jestem pewna, że spędza cudowną noc z tym podrabianym Francuzem.

– Dlaczego podrabianym? – zdziwił się Darski.

– Kochany... – Krasucka spojrzała na niego pobłażliwie. – Jakbyś miał tyle doświadczeń z Francuzami, co ja, wiedziałbyś, jak rozpoznać prawdziwego. Owszem, przyznaję, język zna znakomicie, ale sprawdziłam go kilka razy i wsypałam się za każdym. Twierdzi, że urodził się w Paryżu, ale od piątego roku życia uczył się też polskiego. Założę się o jedno płuco, że było odwrotnie. Urodził się w Polsce, a potem zaczął się uczyć francuskiego. I to nie jak miał pięć lat, tylko znacznie później.

– To dlaczego udaje? – zapytał Darski, odkładając na bok kwestię tego, czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby przyjąć w wyniku wygranej w zakładzie płuco Eugenii.

Komisarz kiedyś oglądał wstrząsający reportaż o tym, jak prezentują się płuca palacza. W filmie tym przez kilka minut pokazywano coś, co przypominało zwęglony makaron spaghetti i jako takie nie prezentowało się ani trochę zachęcająco.

– Tego nie wiem – przyznała Eugenia. – To znaczy, jeszcze nie wiem. Ale może pan być pewny, że się dowiem. Zresztą już o tej mistyfikacji złożyłam zawiadomienie do tutejszej prokuratury. W końcu to przestępstwo kłamać w takiej kwestii.

Darski postanowił nie tłumaczyć starszej pani zawichości prawnych polskiej regulacji kradzieży tożsamości, która nie tylko nie była logiczna, ale, co więcej, właśnie została zmieniona.

– Podobnie jak zamierzam dowiedzieć się tego, dlaczego przyszła żona mojego wnuka uparła się dzisiaj popsuć wszystkim humory – kontynuowała Krasucka.

– Jak to? – zapytała Miśka.

– Wszyscy goście tuż po przyjeździe byli w miarę pogodni – wyjaśniła babcia Ignacego. – A potem spotykali się z Sandrą i tracili animusz oraz dobre samopoczucie. Bardzo jestem ciekawa dlaczego. I chcę od jutra rozpocząć swoje małe śledztwo w tej kwestii.

Darski z Mario wymienili się spojrzeniami.

– Zabrzmiało znajomo, prawda? – zapytał ów ostatni, kiedy za starszą panią zamknęły się drzwi.

– Niestety – westchnął komisarz. – Starsza wersja Róży Krull. Na szczęście tutaj mamy tylko jakieś rozgrywki miłosno-majątkowe, a nie zbrodnię...

– Nie mów hop! Wiem, że teoretycznie tylko nasza szanowna znajoma pisarka ma szczęście do truposzów, ale w tym pałacu panuje dziwna atmosfera i podobnie jak Genia mam przecucie, że zdarzy się tu coś złego.

– Miejmy nadzieję, że to przecucie jest warte tyle, ile to, które podpowiedziało ci, że należy zainwestować pieniądze w nową restaurację na Mokotowie – rzekła stanowczo Miśka. – A miesiąc później, gdy musieliśmy ją zamknąć, przez tydzień dojadaliśmy ryby do sushi. W życiu nie spojrzę więcej na łososia. Ale, ale! À propos złych rzeczy – popatrzyła badawczo na Darskiego – Mario wspominał mi, że masz jakiś problem prywatny. Coś poważnego?

– Obawiam się, że tak – odpowiedział Darski ponuro.

– A możesz coś więcej...? – zapytał wyjątkowo jak na niego nieśmiało Mario.

– No cóż... – Komisarz spuścił wzrok. – Obawiam się, że mam na koncie skok w bok. I teraz nie wiem, czy mam się przyznać do tego Betty, czy też próbować to zataić.

– Skok w bok?! – bez mała krzyknęła Miśka. – Ty?!

Darski nie odpowiedział, nadal wpatrując się w dywan tak intensywnie, jakby miał potem w czasie zeznań opisać jego detale.

– Z kim się bzyknałeś? – zaciekał się Kosek, którego natychmiast opuściła wcześniejsza nieśmiałość.

– Mario! – Miśka popatrzyła na niego z wyrzutem.

– No co?! – Kosek wzruszył ramionami. – Pytam o to, czy z kimś hot. Bo wiadomo, że jak się jest w związku, to nie wolno zdradzać, dopóki nie pojawi się ktoś naprawdę atrakcyjny.

– Skąd wytrzasnąłeś tę filozofię?! – zdumiała się Miśka.

– Z „Przyjaciół” – odpowiedział Mario. – I bardzo mi się ona podoba.

– To tłumaczy, dlaczego jeszcze nigdy nie byłeś w związku trwającym dłużej niż weekend. – Miśka machnęła na niego ręką i wróciła wzrokiem do Darskiego. – Jak mogłeś?

– Najgorsze jest to, że sam nie wiem, czy to zaszło, czy nie – rzekł komisarz.

– Teraz to już nic nie rozumiem – stwierdził niechętnie Mario.

– No po prostu zabalowałem trochę wtedy w Zakopanem i...

– Hola! Hola! – zakrzyknął Mario. – Chcesz powiedzieć, że zaszalałeś ze swoją eks? Z tą seksowną panią policjant, z którą prowadziłeś śledztwo w sprawie śmierci na naszym zabójczym kuligu?

Milczenie Darskiego było aż nadto wymowne.

– No, to grubsza sprawa – przyznał Kosek. – Wracaj mi tu natychmiast do pionu i opowiadaj wszystko po kolei...

* * *

Pozostawiony sam w jadalni Jaromir jeszcze przez chwilę pochrapywał, a następnie ostrożnie otworzył jedno oko. Kiedy upewnił się, że nikogo nie ma w pomieszczeniu, wstał z krzesła. Gdyby ktoś zobaczył go i godzinę wcześniej, i teraz, zdziwiłby się, jak duża zaszła w nim zmiana. Nie widać było ani śladu działania trunku. Żadnego zataczania się, żadnego błędnego wzroku. Majcher pewnym krokiem przeszedł przez salę do wiszącego w kącie pomieszczenia portretu w ogromnej złoczonej ramie. Sięgnął za nią i delikatnie nacisnął na coś pod tapetą. W odpowiedzi rozległo się ciche trzaśnięcie i mniej więcej trzy metry od niego otworzyły się drzwi, wcześniej wtopione w ścianę. Jaromir uśmiechnął się pod nosem, podszedł i uchylił je na tyle, aby wejść przez szparę do środka, a następnie starannie je zamknął z drugiej strony. Sięgnął po komórkę, którą oświetlił wąski korytarz. Ruszył nim, aby po paru metrach zejść po kilkunastu schodkach. Na dole użył kolejnego zakamuflowanego przycisku i po chwili znalazł się w pomieszczeniu wyglądającym jak niewielka jaskinia.

– Wreszcie! – prychnął z wyrzutem czekający tam na niego mężczyzna. – Trochę to potrwało. Zmarzłem!

– Przepraszam cię bardzo – sumitował się Majcher. – Myślałem, że po cyrku, który im urządziłem, wszyscy rozejdą się szybciej, ale niestety siedzieli i gędzili. I co? Znalazłeś?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Na pewno nie ma tego tutaj – oznajmił stanowczo. – To znaczy w tej grocie.

– Dziwne... – mruknął Jaromir. – Według zapisków powinno być...

– Miałeś sporo czasu, czemu więc sam tego nie sprawdziłeś?

– Bo wtedy jeszcze nie posiadałem tych dokumentów. Robiłem wszystko po omacku. Jasne, że w pierwszej kolejności przeszukałem tę niby-jaskinię, ale nic nie znalazłem, więc zacząłem sprawdzać w innych miejscach. Ten pałac to jakiś cholerny labirynt. Co i rusz wpadałem na coś nowego. Jednak potem ten żabojad przywiózł ze sobą papiery. Sam pewnie nie wiedział, co w nich jest.

– Wskazówki? – upewnił się mężczyzna.

– I to dość jednoznacznie odnoszące się do tego miejsca – potwierdził Jaromir.

– Kurde, coś obaj przeoczyliśmy. Najchętniej zacząłbym to wszystko rozwalać.

– Narobimy hałasu na cały pałac. – Jego rozmówca przestraszył się nieco.

– No przecież nie teraz! – Architekt popatrzył na niego z politowaniem.

– To kiedy?

– Jutro zawita tu tłum, plus na górze będzie rzępolić jakaś muzyka. W końcu czeka ich bal. Wtedy możemy...

– Tylko ja chyba będę musiał uczestniczyć w balu...

– Ty tak, ale ja już raczej nie.

– Ale przecież nie pozwolą ci tu zostać do jutra wieczora!

– Czemu nie? Ta stara raszpla mnie polubiła. Rano nagle stanę się aniołem i będę tak miły oraz przepraszający, że na pewno nie każą mi się od razu wynosić. Idę o każdy zakład.

– W porządku. – Mężczyzna pokiwał głową. – Niechaj będzie. Jak bardzo niesie się stąd dźwięk?

– Prawie w ogóle. Poprzedni właściciele zadbali o wyciszenie tego miejsca. Jasne, że w kompletnej ciszy ktoś mógłby coś usłyszeć, ale w chwili, kiedy na górze będzie gwarnie, i do tego z muzyką, to będę tu mógł robić, co zechcę...

– Jest tylko jeden problem... – przyznał niechętnie mężczyzna.

– Jaki? – Jaromir popatrzył na niego badawczo.

– Ta wścibska dziewczyna. Przyłapała mnie, jak tu wchodziłem.

– Teraz?

– Nie. Wcześniej.

– I co?

– Zaciekała się, skąd wziąłem klucze. Powiedziałem jej, że od Ignacego. Skwitowała to krótkim: „Aha”. Ignacego akurat wtedy nie było, potem zrobiło się zamieszanie i może jej to wyleciało z głowy. Ale niczego nie dam sobie za to uciąć. Ona jest wyjątkowo upierdliwa. Wszędzie łązi i zagląda.

– Co się dziwisz? Poczula się panią na włościach.

– Co z nią zrobimy? Jeśli zaczniesz zbyt dociekać, to sam wiesz, do czego może się dokopać...

– Wiem. – Jaromir przez chwilę rozmyślał. – No nic, jeśli okaże się, że będzie z nią problem, wtedy zastanowimy się, co zrobić. Na razie miejmy nadzieję, że o tobie zapomni. I że nie przypomni sobie, póki nie znajdziemy tego, czego szukamy.

– Oby – mruknął mężczyzna bez przekonania. – Najgorsze, na co można trafić, to wścibska baba.

– Nie! – Architekt pokręcił głową. – Najgorsi są wścibscy faceci. Na szczęście tutaj takich nie ma. Oczywiście poza nami...

* * *

– Tak bardzo cię kocham. – Sandra pocałowała Ignacego w policzek, po czym przesunęła rękę po jego torsie, przy okazji poprawiając mu wychodzącą spod marynarki i marszczącą się nieładnie koszulę. – Jestem dla ciebie w stanie zrobić wszystko. Dosłownie.

W głowie Bursztynowicza zaszumiało wypite tego wieczoru wino. Przyszła żona wydała mu się nagle całkiem seksowną i podniecającą kobietą.

– Jeśli tak mówisz... – Skinął głową na swój pokój. – To może jednak dasz się przekonać...

– Poczekajmy do nocy poślubnej, proszę. – Sandra popatrzyła na niego błagalnie. – Wiesz, że to dla mnie ważne.

– Wiem, wiem – rzekł Ignacy z rozczarowaniem. – Choć uważam, że te średniowieczne obyczaje to przeżytek...

– To jeszcze tylko kilka tygodni. – Sandra przytuliła się do niego. – A potem będę już twoja na zawsze. A ty mój! Nie zamierzam cię nigdy oddać żadnej innej.

„No to się jeszcze zobaczy”, pomyślał trzeźwo jak na swój stan Bursztynowicz, przejeżdżając dłońmi po jej plecach.

– Jak sobie życzysz... – wyszeptał namiętnie. – Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Nie zmienię – zapewniła Sandra, udaremniając jego próbę zjechania rękami poniżej jej talii. – Ale zapewniam cię, że warto czekać. Życie nauczyło mnie, że cierpliwość popłaca. Sam popatrz. Znamy się tyle lat. Tak długo na ciebie czekałam i teraz wreszcie jesteśmy razem.

– Czekałaś na mnie? – zdziwił się Ignacy.

– Oczywiście, głuptasie. – Sandra dała mu pieszczotliwego pstryczka w nos. – I wiedziałam, że wcześniej czy później będziesz mój. I tylko mój!

* * *

Anna przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Łóżko w jej pokoju było zdecydowanie jednym z najmniej komfortowych, w jakich kiedykolwiek przyszło jej spędzać noc. Przez ostatnich kilkadziesiąt minut przybierała w nim różne pozycje, niektóre wręcz podchodzące pod akrobatyczne, ale nic to nie dawało. Sen nadal nie chciał nadejść, w przeciwieństwie do bólu kręgosłupa. Z tym ostatnim aktorka, mimo iż dopiero trzydziestoletnia, była za pan brat od podstawówki, w której to psychopatka od wufu kazała jej kiedyś „choć spróbować” stanąć na rękach. Na próżno Anna tłumaczyła jej, że po pierwsze, nie jest chłopakiem, bo tylko dla nich było to wtedy ćwiczenie obowiązkowe, po drugie, że nie czuje takiej potrzeby, a po trzecie, że nie wyobraża sobie żadnej życiowej okazji, przy której musiałaby ową umiejętność w przyszłości wykorzystać. Nauczycielka niedorzecznie obstawała przy swoim. W efekcie Karpowicz spróbowała wykonać jej polecenie z asystą dwóch klasowych koleżanek, które miały za zadanie trzymać ją za nogi i nie puszczać, póki nie wróci do naturalnej pozycji. Wszystko szło w miarę dobrze aż do chwili, kiedy Annie udało się wreszcie obrócić o sto osiemdziesiąt stopni. Koleżanki nagle uznały, że

dalsza pomoc nie jest potrzebna, i puściły jej nogi dokładnie w tej chwili, kiedy Karpowicz nieco ugięła ręce. Rezultat tego był taki, że Anna poleciała prosto na głowę, a przy okazji coś jej chrupnęło w kręgosłupie szyjnym. Od tej chwili miała z głowy wykonywanie w zasadzie wszystkich ćwiczeń, bo nauczycielka bardzo się zdenerwowała. Co prawda nie tym, że mogła zrobić z niej kalekę, a słowami jej ojca, który po owym wypadku pofatygował się na spotkanie z wuefistką i przekazał jej tam komunikat treści: „Jeśli jeszcze raz zrobi pani krzywdę mojej Aneczce, to lutną panią w zęby”. Zważywszy na fakt, że ojciec Karpowicz miał masę tura i przez pół życia trenował boks, a nauczycielka tylko gimnastykę artystyczną, groźby się wystraszyła i przez kolejne lata traktowała Annę jak zgniłe jajko, na wszelki wypadek zabraniając jej wszystkiego, łącznie z udziałem w grze w dwa ognie, czego zresztą Karpowicz nie mogła sobie darować, bo akurat tę formę aktywności fizycznej bardzo lubiła.

Po owym chrupnięciu jej kręgosłup zachowywał się jednak kapryśnie. Czasem przez kilka miesięcy pozwalał o sobie zapomnieć, aby nagle uraczyć ją serią różnych przykrych niespodzianek, od zwykłego bólu począwszy, na zawrotach głowy i szumach w uszach skończywszy. Ogólnie Anna zaakceptowała fakt, że raz rozjuszony, nie da jej spokoju do końca życia, i nauczyła się przechodzić nad jego wybrykami do porządku dziennego. Teraz więc nawet nie jęknęła, kiedy poczuła, że draniowi pałacowe łóżce też nie przypadło do gustu. Kiedy poczuła mocniejsze ukłucie w okolicy lędźwi, wstała, aby wykonać kilka zaleconych jej przez ortopedę ćwiczeń. Kręgosłup je uwielbiał i czasem po ich wykonaniu dawał jej spokój.

Właśnie rozpoczęła gimnastykę, gdy nagle jej uwagę przykuło to, co się działo za jej oknem. Ponieważ w udziale przypadł jej pokój w narożniku od strony ogrodu, miała teraz widok na rabatki, żywopłot oraz kilka drzewek, jakby wytyczających granicę między terenami przypałacowymi a właściwym ogrodem. I to właśnie przy owych drzewkach rozgrywała się scena co najmniej niezrozumiała. Brały w niej udział dwie osoby. Jedna z nich, stojąca do pałacu plecami, miała na sobie czarną, długą pelerynę niepozwalającą rozstrzygnąć jednoznacznie nawet tego, czy kryje się pod nią mężczyzna, czy kobieta. Drugą była Maria Bursztynowicz. Nawet w panującym mroku, rozproszonym jedynie lichym światłem z wnętrza pałacu oraz niewielką latarnią zasilaną baterią słoneczną, widać było, że mama Ignacego jest bardzo wzburzona. Wymachiwała rękami i zdawała się mówić coś podniesionym tonem. Anna zbliżyła się do okna, po czym delikatnie je otworzyła. Zimno smagnęło ją po twarzy. Nadstawiła uszu, jednak znajdowała się zbyt daleko, aby rozróżnić słowa. Tym niemniej potwierdziła swoje podejrzenia, Bursztynowicz mówiła głośniejszym niż normalnie. Nagle stojąca przed nią osoba musiała powiedzieć albo zrobić coś, co wywołało

ostateczną furię Marii, ta bowiem – ku ogromnemu zdumieniu Anny – w odpowiedzi ją... spoliczkowała! Aktorka aż wzięła głębszy oddech. Osoba, która dostała w twarz, ani drgnęła. Za to Maria minęła ją i bez mała biegiem wróciła do pałacu, znikając z pola widzenia Karpowicz. Ta wróciła spojrzeniem do postaci w pelerynie, która jeszcze przez moment stała w bezruchu, potem naciągnęła kaptur, odwróciła się i ruszyła drogą, którą poprzednio przemierzyła Bursztynowicz. Choć Anna wysiliła wzrok, jak tylko mogła, nie udało jej się zidentyfikować, kim był ów ktoś, na kim wyżyła się Maria.

Po chwili aktorka wróciła do łóżka, jednak nie mogła zasnąć prawie do świtu. W sercu czuła niepokój. „Coś się tutaj wydarzy”, pomyślała na moment, zanim Morfeusz porwał ją w końcu w ramiona. I bynajmniej w tym przypadku intuicja jej nie zawiodła.

Rozdział VIII

– Morderstwo! – wychrypiała przerażonym głosem. – W altance! Zwłoki... Morder... – W połowie słowa runęła na posadzkę tuż u stóp swojego pracodawcy.

Miśka poczuła, że robi jej się w środku lodowato.

– Mówiłem ci, że to się źle skończy. – Usłyszała szept Mario, który nie wiadomo jakim sposobem znalazł się tuż obok niej. – I, jak zawsze, miałem rację!

– Naprawdę uważasz, że to idealny moment, żeby uprawiać autopromocję? – spytała Szustek z wyrzutem.

– Jestem tylko ciekawy jednego... – Przyjaciel zignorował jej uwagę.

– Czego? – zaciekawiła się mimowolnie Miśka.

– To chyba oczywiste. – Mario potoczył wzrokiem po sali. – Kto jest ofiarą?

Szustek rozejrzała się po sali, odliczając w duchu osoby, które też powinny się na niej znajdować. Ignacy stał razem z bladą jak ściana Lucyną. Obok nich z przerażonymi minami zastygli w bezruchu Marcin i Karina. Tuż za nimi skamienieli Wellmanowie. Bliżej Miśki znajdowali się Małgorzata z partnerującym jej na parkiecie Julianem oraz nierozłączni tego wieczoru, tak jak gdyby byli zrosnięci biodrami, Golden Girl i Pierre. Tuż przy Szustek stał rzecz jasna Mario, jego taneczna partnerka Anna oraz Eugenia i Maria, a vis-à-vis nich przy drzwiach, przez które kilka chwil temu wparowała Teresa, para dziennikarzy: Kinga Smuga i Miłosz Pluciński.

– Nie ma Manuela – zauważyła Eugenia, podobnie jak Miśka przebiegająca wzrokiem salę – i Jaromira.

– On tu został? – zdziwiła się Miśka.

– Tak – potwierdziła starsza pani. – Tak ładnie o to poprosił. Źle się czuł. No cóż... Nikt lepiej ode mnie nie rozumie, czym jest kac. Uznałam, że pozwolę mu odpocząć i zdrzemnąć się w dawnej służbówce. Mówił, że wyjedzie stąd po balu, ale może zebrał się wcześniej, bo faktycznie od jakiegoś czasu go nie widziałam. Czy nie pora oblać czymś tę biedaczkę, żeby nam ujawniła tożsamość ofiary?

– Chyba nie trzeba – mruknął Mario, widząc, jak komisarz Darski opuszcza salę. – Za moment wszystko będziemy wiedzieli.

– Ale i tak powinno się ją ocucić... – zastanawiała się niepewnie Miśka.

Najwyraźniej nie była w tym przekonaniu odosobniona, bo po minucie na twarzy zemdlonej Machnik wylądowała połowa karafki z wodą, którą wylała na nią kelnerka.

– Gdzie ja jestem...? – zapytała półprzytomnie wyrwana z nicości Teresa. – Co się stało?

– Raczej ty nam to powiedz – zażądał Tomasz. – Jakie zwłoki? Co ty mówisz?

Jego podwładna jeszcze przez chwilę wyglądała tak, jakby przed chwilą wysiadła z pojazdu kosmitów i trafiła na dożynki w Paradyżu.

– O matko... – jęknęła wreszcie, wracając do rzeczywistości. – Pani Sandra... W altance... Nie żyje...

– No, to mamy odpowiedź – mruknęła Eugenia, nie okazując żadnych emocji. – Grała ludziom na nerwach, grała, aż się doigrała.

Ignacy wyrwał rękę z uścisku Lucyny i dopadł Teresy.

– Jesteś pewna? – krzyknął. – Sandra?!

– Tak. – W oczach kobiety pojawiły się łzy. – Cała we krwi. Straszne, straszne...

Ignacy runął do drzwi tarasowych i gwałtownie je otworzył. Zimny wiatr wdarł się do środka pomieszczenia, a wraz z nim płatki śniegu. Bursztynowicz wybiegł w stronę ogrodu. Za nim podążył Pierre wraz z wciąż przyklejoną do niego Golden Girl.

– Jak wszyscy, to i ja też – rzekł Mario stanowczo, po czym zrobił kilka kroków w stronę tarasu, odwrócił się i popatrzył z wyrzutem na Miśkę. – I niby puścisz mnie tam samego?! – zapytał z wyraźnym wyrzutem.

– Jasne, że nie... – westchnęła ciężko jego przyjaciółka, ruszając za nim.

– Ja też idę – zadeklarowała stanowczo Eugenia. – Tylko raz w życiu widziałam zwłoki. Mojego trzeciego męża. Zabawne, bo nawet nie zauważyłam, że był martwy. Przez pół życia zachowywał się i wyglądał jak nieboszczyk, to niby po czym się miałam zorientować?

Nie zważając na dmący wiatr i zacinający śnieg wpadający im do ust, cała trójka przeszła ponad dwieście metrów dzielących pałac od ogrodowej altany. Widok, który tam zastali, był równie zaskakujący, co przerażający. Ubrana w balową suknię, na którą narzuciła białe, długie futro, Sandra siedziała w dziwnie nienaturalnej pozycji na jednym z wysokich metalowych krzeseł przy ogromnym okrągłym stole. Ręce miała rozpostarte na boki, a głowę odchyłoną do tyłu. Początkowo wydawało się, że jej szyja okręcona była czerwonym szalikiem, i dopiero po kilku sekundach stawało się jasne, że to nie materiał, a zastygła, czy też w tej chwili już zamrożona krew z jej podciętego gardła.

– ...ile? – Stojący nad nią Darski rozmawiał przez telefon. – Rozumiem, że są ciężkie warunki, ale mamy tutaj morderstwo... Słucham? Czy mogę rozmawiać

z pana przełożonym? Halo? Haaaa... – Odjął smartfon od ucha, popatrzył na niego z osłupieniem, po czym przeniósł wzrok na Mario.

– Co się stało? – zapytał Kosek.

– Ten debil powiedział, żebym się nie wygłupiał, i się rozłączył – poinformował najwyraźniej osłupiały Darski. – Czy ktoś z was mógłby...

– Jasne. – Pierre wyciągnął z kieszeni garnituru telefon. – Sto dwanaście, tak?

– Nie mogę na to patrzeć. – Golden Girl stanęła tyłem do zwłok, po czym lekko zmarszczyła brwi, zesłała po schodkach, pochyliła się i sięgnęła po coś. – Panie komisarzu! – Wróciła i podała Darskiemu swoje znalezisko, które okazało się dość dużym, złotym klipsem z masą perłową pośrodku. – Leżał na samym wierzchu. Śnieg nie zdążył go jeszcze dobrze przykryć...

– Zgłoszenie przyjęte – zaraportował Pierre. – Czy myśli pan, że powinniśmy tu zostać?

– Ja na pewno – odparł Darski.

– Pójdę po twoją kurtkę – zaoferowała się Miśka. – Przecież zanim ktokolwiek tu przyjedzie przy tej pogodzie, zamarzniesz na śmi...

– Yhm – mruknął Mario pod nosem. – A to niby o mnie wszyscy mówią, że nie grzeszę taktem...

Miśka popatrzyła na niego z wyrzutem, po czym już miała podążyć do pałacu po kurtkę komisarza, kiedy doszły ją słowa Eugenii.

– Zadziwiające... – stwierdziła stojąca przed altanką Krasucka, przyglądając się uważnie zwłokom Sandry.

– Co takiego? – zainteresował się Darski.

– Niech pan stanie obok mnie – poprosiła starsza pani. – To sam pan zobaczy...

Darski spełnił jej prośbę.

– Nie za bardzo wiem, o co pani chodzi – przyznał po chwili.

– Och, wy młodzi. – Eugenia pokręciła głową z dezaprobatą, po czym ujęła dłoń Krzysztofa i zaczęła nią wodzić w powietrzu. Komisarz początkowo miał zbaraniałą minę, ale po chwili wyraz jego twarzy się zmienił.

– Ma pani rację – szepnął z wyraźnym oszołomieniem.

– Mogę wiedzieć, co to za tajemne misteria odprawiacie? – zaciekawiał się Mario, stając przy nich i przyglądając się makabrycznemu widokowi w altance.

W przeciwieństwie do Darskiego błyskawicznie zrozumiał, co zadziwiło Krasucką. Rozrzucone na boki ręce Sandry łączyły się z obramowaniem altanki, tworząc trójkąt, a odchylona głowa nieboszczki w połączeniu z jej rozstawionymi nogami i linią desek na altance tworzyła drugi trójkąt, jakby wpisany w ten pierwszy.

– Myślę, że spokojnie możemy przyjąć, że ktoś zrobił to specjalnie – rzekła Eugenia. – Dwa trójkąty w masonskim pałacu. Hmm... Trudno o lepsze nakierowanie na trop. To jest tak nachalne, że z góry pachnie mistyfikacją. Na razie jednak chyba nie to jest najważniejsze. Zdaje się, że za chwilę będziemy tu mieli kolejnych ciekawskich. A jestem pewna, że skoro znalazł się tutaj klips, to raczej nie chciałby pan, żeby zdeptano lub zniszczono inne potencjalne dowody.

Darski potaknął.

– Czy mógłby pan – poprosił Tourneura – wyjaśnić pozostałym gościom, jak wygląda sytuacja, i poprosić ich, aby zostali wewnątrz pałacu?

– Oczywiście. – Pierre kiwnął głową.

– Pomogę ci – zaproponowała Golden Girl, wsuwając rękę pod jego pachę.

– Ja w końcu przyniosę ci tę kurtkę – stwierdziła Miśka. – A właściwie dwie, bo Mario też zaraz zamieni się w sopol.

– We mnie płynie gorąca krew – zapewnił Kosek. – Za to Genia i Ignacy...

– Ja wracam do pałacu – oznajmiła Eugenia. – Muszę zapalić...

– Nie potrzebuję niczego – szepnął Ignacy, wpatrzony zaszklonymi oczami w zwłoki swojej narzeczonej.

– Owszem, mój drogi. – Eugenia podeszła do wnuka i pogłaskała go po głowie. – Potrzebujesz. I to nie tylko kurtki...

– Kto mógł to zrobić? – Ignacy ukrył twarz w dłoniach.

– Zapewne jakiś psychopata – podsunął cicho Mario.

– Nie sądzę. – Eugenia pokręciła głową. – Raczej ktoś, kto najbardziej na tym skorzysta. To akurat wydaje mi się dość oczywiste. Za to odpowiedź, kim jest ten ktoś, zapewne nie będzie już taka prosta...

* * *

Jaromir odsunął kolejny kamień. Za nim zgodnie z jego oczekiwaniami znajdowała się już tylko ściana.

– Cholera jasna... – mruknął pod nosem i wsunął kamień z powrotem na miejsce.

Dobiegająca do niego z oddali muzyka nagle umilkła. Majcher, który już zabierał się do demontażu kolejnej części pseudogroty, zatrzymał się w pół w ruchu, oczekując na kolejne dźwięki, aby całkowicie zagłuszyły jego w sumie niezbyt głośną robotę. Nie wiedzieć czemu, albo ktoś zbudował tę, pozał się Panie, grootę niezbyt starannie, albo też przez lata wszystko w niej uległo erozji i teraz nie trzeba się było wiele wysilać, żeby ją zdemontować.

Czas mijał, jednak na górze nadal panowała cisza. Było to dziwne. Jaromir wyciągnął z kieszeni telefon i sprawdził, czy ma zasięg. Pięć kreseczek na wyświetlaczu upewniło go, że bez trudu może się połączyć ze współnikiem. Napisał wiadomość. Czekał, aż pojawi się napis „dostarczona”, ale nic takiego nie nastąpiło. Sytuacja nie zmieniała się też, gdy kliknął zmianę formy połączenia z czatu na SMS.

„Ki czort?”, pomyślał Jaromir i po chwili wahania puknął w ikonkę „połącz”.

– Nie ma takiego numeru – poinformował go miły kobiecy głos.

Majcher ponowił próbę połączenia. W odpowiedzi doczekał się identycznego co poprzednio komunikatu. Już miał podjąć kolejną próbę, kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi. Skierował na nie światło latarki.

– Ach, to ty – rzekł z ulgą na widok człowieka, który wszedł do groty. – Co tam się dzieje? Dlaczego nie grają?

– Nie wiem – odpowiedział stojący przed nim mężczyzna. – Chyba jedzą.

– To kolacja nie była przed balem? – zdziwił się Jaromir.

– Teraz podali tort czy coś w tym stylu – wyjaśnił jego rozmówca, po czym wyciągnął zza pazuchy butelkę i podał ją Majchrowi. – Skombinowałem ci piwo. Pomyślałem, że może będziesz spragniony.

– Żebyś wiedział. – Jaromir popatrzył na niego z wdzięcznością, po czym od razu wychylił spory łyk. – U tej starej wiedźmy były tylko mocne alkohole. Dziwię się, że jej jeszcze nie wysiadły wnętrzności. Namówiła mnie na łyceczek koniaczku i powiem ci, ziom, że nawet bimber, który piłem kiedyś na wsi, mniej mi przeżarł przewód pokarmowy niż jej poczęstunek. A ja mam kiepską wątrobę i w zasadzie w ogóle nie powinienem brać alkoholu do ust.

– Piwa też nie?

– Piwo to coś innego. To prawie nie alkohol! Kiedyś pojono nim nawet dzieci, bo uważano je za lekarstwo. A co to właściwie jest? Całkiem niezłe, tylko ma jakąś taką dziwną goryczkę...

– Czy to ważne? – Jego rozmówca wzruszył ramionami. – Piwo to piwo i tyle. Bardziej mnie ciekawi, czy już na coś wpadłeś.

– Poza odkryciem, że zanim ktoś oszalał i przerobił to na jakąś niedźwiedzią norę, był tu kiedyś regularny pokój, ale to niestety na nic – przyznał Majcher z wyraźnym żalem. – Ani śladu tego, czego szukamy.

– Dlatego uważam, że tego tu nie ma – westchnął mężczyzna. – Szkoda, że nie przywiozłeś ze sobą kopii tych dokumentów. Znam o wiele lepiej francuski od ciebie.

– Za to ja znam lepiej topografię pałacu – zauważył Jaromir.

– Może i masz rację. – Jego rozmówca rozejrzał się po grocie. – Dużo ci zostało?

– W zasadzie już skończyłem. Muszę jeszcze tylko odsłonić tamten róg. – Machnął dłonią, choć przyszło mu to z wyraźnym trudem. – Chyba się lekko przeforsowałem.

– Po czym to wnosisz?

– Bo... – Majcher poczuł, że ma problem z poruszaniem nie tylko ręką. – Jakoś średnio panuję nad swoim ciałem.

Mężczyzna milczał, patrząc na niego uważnie. Jaromir wyczytał w jego oczach coś, co sprawiło, że z niepokojem spojrzął na trzymaną w dłoni butelkę.

– Czy ty...? – zaczął z trudem, odnotowując, że powoli posłuszeństwa odmawia mu też aparat mowy. – Coś ty zrobił...? – Architekt bezwładnie osunął się na podłogę.

– Mój drogi, na górze odkryto właśnie zwłoki Sandry Klejnockiej. Tej samej, która przyłapała mnie wczoraj na wchodzeniu do tego pomieszczenia. Widzisz... Rozmawiałem z nią dzisiaj. I miałaś rację, po tym, kiedy cię tu zobaczyła, powzięła pewne podejrzenia dotyczące i mnie, i ciebie. I zaczęła sprawdzać różne fakty. Na szczęście udało mi się przeciwdziałać skutkom jej ewentualnej nadmiernej ciekawości.

– Za... bi... łoś ją? – Jaromir wypowiadał kolejne sylaby z coraz większym trudem.

– Nie – zaprzeczył jego rozmówca. – Ktoś mnie w tym wyręczył.

– A ja... dla... cze... go...?

– Bo przez swoją ślamazarność i nieostrożność zacząłeś być takim samym zagrożeniem jak ona. Miałeś tyle czasu i niczego nie osiągnąłeś. Mało tego! Straciłeś ten obiekt, a sam wiesz, jak jest on dla nas cenny. Poza tym zdecydowanie za dużo wiesz. Dlatego... No cóż... Pora się pożegnać.

Jaromir nie mógł wydobyć z siebie już żadnego dźwięku ani uczynić najmniejszego gestu. Mężczyzna poczekał przy nim jeszcze kilka minut, po czym, upewniwszy się, że Majchra nie ma już wśród żywych, zabrał jego telefon, a zwłoki przesunął na sam środek groty. Następnie podszedł do ściany, wyjął z niej jeden z kamieni, włożył dłoń w powstałą w ten sposób szparę i pociągnął w dół znajdującą się tam dźwignię, uruchamiając zapadnię pod ciałem Jaromira. Potem przesunął dźwignię z powrotem do góry i podłoga wróciła do swojej zwykłej pozycji. Mężczyzna rozejrzał się z zadowoleniem, schował smartfon Jaromira do kieszeni i pospiesznie opuścił groty.

* * *

– Co o tym myślisz? – zapytał Mario, kiedy Ignacy i Eugenia wrócili do pałacu, a on został sam z Darskim.

– Na razie jeszcze nic – odpowiedział komisarz. – Poza tym, że przynajmniej jedną osobę można spokojnie wykluczyć z grona podejrzanych...

– Już prowadzisz śledztwo?! – zdumiał się Kosek.

– To u mnie działa na zasadzie odruchu – wyjaśnił Darski, wzruszając obojętnie ramionami. – Widzę zbrodnię i od razu zaczynam analizować, kto mógł ją popełnić.

– I kogo wyeliminowałeś?

– Bursztynowicza.

– A to nie działa tak – Mario przyjrzał mu się podejrzliwie – że partner ofiary powinien z automatu stać się głównym podejrzanym?

– Partner tak – przyznał Darski. – Ale tu mamy partnera niedoszłego. W dodatku przypomnij sobie, co mówiła jego babcia. Bez ślubu z nieboszczką Bursztynowicz będzie musiał ogłosić bankructwo.

– Ślub z nieboszczką brzmi jak tytuł filmu Tima Burtona – zauważył Kosek. – Przepraszam, ale w chwilach grozy włącza mi się koślawe poczucie humoru.

– Znam cię przecież nie od dziś, więc dobrze o tym wiem – zapewnił go Darski, skupiając spojrzenie na scenie zbrodni. – Zastanawia mnie ułożenie zwłok. Że też komuś się chciało...

– I że miał na to czas. – Mario się zamyślił.

– Nad czym dumasz?

– Zastanawiam się, kiedy widziałem nieboszczkę po raz ostatni. To znaczy żywą.

– I co ci wychodzi?

– Była na obiedzie, to na pewno. Docinała Manuelowi. Biedak nie za bardzo umiał jej na cokolwiek odpowiedzieć. Doprawdy, po pisarzu spodziewać by się można nieco większej lotności. Boszzzzz... Brzmie jak Genia. Nieważne. Potem nieboszczka na pewno tańczyła pierwszy taniec z Ignacym. Następnie widziałem ją, jak rozmawiała z dziennikarką „Koktajlu”, i chyba jeszcze była obecna, gdy Ignacy mówił o tym, jakie organizacje charytatywne zamierza wspierać. Tak, na pewno stała wtedy przy nim. Towarzyszyła mu też, kiedy wszyscy żegnali miejscowych notabli. To była jakaś dwudziesta pierwsza... Może kilka minut po. I chyba wtedy widziałem ją po raz ostatni. Która jest teraz?

Darski zerknął na swojego smartfona.

– Dwudziesta druga dziesiątka. Czyli mamy pi razy oko godzinę, od kiedy widziałeś ją po raz ostatni do czasu znalezienia jej zwłok przez Teresę Machnik.

– Swoją drogą to też podejrzane, że chciało jej się wychodzić z pałacu i latać po ogrodzie w czasie śnieżycy. Nie wierzę, że zrobiła to, nie mając żadnego

ważnego powodu...

– Ja też nie – zapewnił Darski. – I to właśnie sprawdzę w pierwszej kolejności.

– Kto mógł ją w tym czasie zabić? – Mario zastanawiał się przez moment. – Właściwie każdy... Choć chwila... Jednak nie. Weźmy na przykład mnie. Odkąd burmistrz i inni oficjele opuścili pałac, nie ruszyłem się z sali balowej nawet na moment. Ha! Eugenia też. Gdy nie tańczyliśmy, to rozmawialiśmy o jej podróżach i ekscesach...

– Jakich znowu ekscesach? – zdziwił się komisarz.

– Erotycznych – odparł Mario z dwuznacznym uśmiechem. – Jakbyś tego posłuchał, zbierałbyś szczękę z pałacowej posadzki. Messalina przy niej to bez mała dziewica.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć! – zastrzegł się stanowczo Darski. – Rozumiem jednak, że ciebie, Eugenię i Miśkę mogę wykreślić z grona podejrzanych...

– Miśkę nie – przyznał z żalem Mario. – To znaczy, nie sądzę, żeby znienacka zwariowała i zaczęła na stare lata mordować ludzi, ale nie była obecna na sali przez cały czas, więc nie za bardzo mogę dać jej alibi...

– Powtórzę jej tę część o starych latach – obiecał złośliwie Darski. – Metodą eliminacji odpadam też i ja, bo przez ostatnią godzinę również nie wyszedłem z sali balowej, podobnie jak Pierre i ta wasza przyjaciółka, jak jej tam...

– Golden Girl – przypomniał Mario. – Też ich widziałem. Moim zdaniem oboje są czymś sklejeni. Od rana nie sposób ich od siebie oderwać. Czekał, jeszcze Karina nigdzie nie wychodziła, wisiała na swoim narzeczonym, a jak ten nagle się ulotnił, to molestowała dziennikarzy. No, to sześć osób mamy z głowy. Z Miśką siedem. Nadal jednak zostaje ich sporo.

– Plus jeszcze niezliczona liczba ludzi z zewnątrz...

– Myślisz, że ktoś by się tu specjalnie w tym celu wdzierał? Przełaził przez ogrodzenie? Zresztą... – Mario rozejrzył się wokół, po czym wstał, włączył latarkę w telefonie i dokładnie obszedł całą altanę, oświetlając teren dokoła. – Czysto. Żadnych śladów. Jedyne, jakie widać, wiodą w stronę pałacu.

– Zaraz zbadamy to dokładnie... – Darski zerknął na zegarek. – Czy miejscowa policja robi sobie żarty?

Jakby w odpowiedzi na jego uwagę gdzieś w oddali zamigotały niebieskie światła. Warmińska policja może i nie była rychliwa, ale za to najwyraźniej lubiła zajeżdżać z pompą. W dodatku licznie. Mniej więcej kwadrans później na klepaczowickich włościach rozpoczęło się istne mundurowe pandemonium...

Rozdział IX

Jakieś piętnaście minut przed przyjazdem policji Jakub ostrożnie wszedł do pokoju Sandry. Mając ciągle w uszach wściekły syk swojej żony: „No już, idź, fujaro!” oraz w pamięci jej wcześniejsze słowa: „Jeśli zawartość tego pendrive’a ujrzy światło dzienne, to pamiętaj, że natychmiast złożę pozew rozwodowy i zniszczę cię w mediach tak, że nie zatrudnią cię nawet jako trenera drużyny podwórkowej w Pcimiu Dolnym!”, rozejrzał się teraz po pokoju Klejnockiej. Niewiele mu to dało, bo w pomieszczeniu było ciemno jak w rybach wąpiach. Jakub wyciągnął smartfon i już miał użyć znajdującej się w nim latarki, kiedy usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi, które chwilę temu sam za sobą zamykał. Poczul, jak serce mu staje w gardle, po czym, jako że wciąż nie zatracił rewelacyjnej zwinności, z jakiej słynął przez lata swojej sportowej kariery, wykonał godny mistrza akrobatyki upadek, a następnie wsunął się pod łóżko Sandry. Drzwi otworzyły się i w blasku światła dochodzącego z korytarza Wellman zobaczył łydki i czerwone, błyszczące szpilki. Błyskawicznie zrozumiał, kto wszedł do pokoju. Może nie miał skłonności do zbyt wielu fetyszy, ale pewne rodzaje kobiecego obuwia zawsze wywoływały w nim podniecenie. Na czele znajdowały się właśnie czerwone szpilki. Jakub doskonale pamiętał, kto miał takie dzisiaj na sobie. Pytanie tylko, co osoba ta robiła teraz w pokoju nieboszczki.

Właścicielka szpilek zamknęła drzwi i, najwyraźniej wiedziona tą samą myślą, co wcześniej minister, włączyła telefoniczną latarkę. Następnie skierowała się w stronę, gdzie kilka sekund wcześniej Wellmanowi zamajaczył kształt biurka. Oceniając po hałasach, najpierw sprawdziła zawartość dwóch jego szuflad, po czym zaczęła grzebać w leżących na blacie papierach. Jakub przez moment wsłuchiwał się w szelest kartek. Nagle złapał się na myśli, że chce mu się kichać. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na fakt, że pod łóżkiem znajdowała się mniej więcej tona kurzu, w którą w dodatku zarył nosem, kiedy się tam wsuwał. Nieco przerażony był piłkarz ostrożnie przesunął rękę w stronę twarzy i zaczął grzebać sobie palcem w nosie, aby usunąć z niego odrobiny pyłu, jednocześnie starając się wymazać sprzed oczu wizję roztoczy, które przy tej okazji też niewątpliwie dostały się do jego organizmu i pewnie już zaczęły rujnować mu zdrowie. Po kilku sekundach odetchnął z ulgą, bo udało mu się zwalczyć ochotę na

kichnięcie. Odjął rękę od nosa i położył ją na podłodze. I w tym samym momencie poczuł, że ta się rusza. Właściwie nie tyle ona, ile coś znajdującego się między nią a jego dłonią. Poderwał rękę i w padającym akurat w tej chwili pod łóżko strumieniu światła zobaczył pająka. Przy jego arachnofobii niewielki w sumie pajęczak od razu zamienił się w tarantulę czerwono-nogą, o ile nie w ptasznika olbrzymiego. Jakub wydał z siebie histeryczny okrzyk i błyskawicznie wyskoczył spod łóżka.

– Można wiedzieć, co pan tu robi? – Lucyna patrzyła na niego z niebotycznym zaskoczeniem wypisanym na twarzy. – I czemu pan piszczy?

– Nie łązi po mnie? – Jakub otrząpywał się z obrzydzeniem. – Nie wlaź mi na głowę?

– Kto? – Gąssowska wciąż nic nie rozumiała.

– Ten skurczybyk. – Wellman nadal skupiony był na otrząpywaniu swoich ubrań. – Monstrum! Gigant!

– Ale o czym pan mówi?!

– O pająku...

– Pająku? – Lucyna wciąż miała na twarzy wyraz niedowierzania.

– Mam arachnofobię – wytłumaczył Jakub, ciesząc się z panujących ciemności, niepozwalających dostrzec rumieńca zawstydzienia, który niewątpliwie pojawił się na jego policzkach. – Nic na to nie poradzę.

– Właśnie widzę – skomentowała Gąssowska z przekąsem. – I słyszę. Nadal jednak nie rozumiem, co pan tu robi...

– Pewnie to samo co pani – zauważył wyjątkowo trzeźwo Jakub, na wszelki wypadek przejeżdżając jeszcze ręką po włosach. – Szukam czegoś, zanim przyjedzie policja.

– No tak. – Lucyna pokiwała głową. – Czego?

– Pendrive'a. Srebrnego z czarnym paskiem pośrodku. A pani?

– Raportu... To znaczy dokumentów, w których kłamliwie mnie opisano. To stek bzdur, ale policja jeszcze gotowa w nie uwierzyć. Najgorsze, że nie wiem, czy ta małpa go ze sobą tutaj przywiozła. Jeśli nie, to klops i leżę. À propos pendrive'a, to gdy przeszukiwałam biurko, nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.

– Na wszelki wypadek zerknę jeszcze raz. – Jakub włączył swoją komórkę i oświetlił biurko.

Przez chwilę oboje zajęli się poszukiwaniami.

– Chyba powinniśmy wracać do sali balowej – zauważyła w końcu Lucyna, zniechęcona bezskutecznością swoich działań. – Zanim ktoś się zorientuje, że tak długo nas nie ma.

– Niestety... – niechętnie zgodził się Jakub. – Gdzie ona mogła go ukryć?

– Moment... – Lucyna, która już zmierzała w stronę drzwi, nagle się zatrzymała. – To jest pałac, prawda?

Jakub nie wiedział, czy ma potwierdzać tak oczywistą kwestię, ale Gąssowska nie czekała na jego odpowiedź.

– Arystokraci chowali swoje kosztowności i wartościowe papiery w sejfach... – kontynuowała w zamyśleniu.

– W sejfach? – zdziwił się Wellman. – To nie jest wynalazek naszych czasów?

– Ależ skąd! – prychnęła Gąssowska. – Znano je już w szesnastym wieku, a tutejszy pałac powstał o wiele później. W dodatku ten pokój wygląda, jakby nie zdążono go odnowić. Założę się, że jest tu jakiś tajny schowek. Niech pan sprawdzi pod obrazami.

Choć Jakubowi jej pomysł wydawał się dość dziwaczny, to lata spędzone u boku żony nauczyły go, aby nie protestować przeciw kobiecym zachciankom. Posłusznie podszedł do pierwszego z wiszących w pokoju Sandry wielkich obrazów, złapał za dolną krawędź ramy i delikatnie odsunął ją od ściany.

– Nic – zaraportował.

Lucyna powtórzyła tę samą czynność przy drugim z obrazów. Z podobnym rezultatem.

– Został nam jeszcze tylko ten – rzekł Wellman, podchodząc do największego z malowideł wiszących w pomieszczeniu. – Raz kozie śmierć... – Z większym niż poprzednio wysiłkiem odchylił ramę, po czym oświetlił ścianę i cicho gwizdnął: – No i proszę! Bingo! Jak by tu się do niego...?

W tym samym momencie za oknem pokoju pojawiły się niebieskie poblaski. Oboje wyjrzeli na zewnątrz, gdzie przez śnieżycę przebijały się policyjne samochody.

– Cholera by to wzięła... – mruknęła niezadowolona Lucyna. – No nic, miejmy nadzieję, że uda nam się tu jeszcze wrócić.

– Patrycja mnie zabije – westchnął Jakub. – Bez pendrive'a nie mam co się jej pokazywać na oczy...

– Zabije? – Lucyna spojrzała na niego ironicznie. – Byłaby do tego zdolna?

– Oczywiście... – zaczął Wellman, ale uświadomiwszy sobie, w jakich okolicznościach wypowiada to słowo, dokończył inaczej, niż planował: – ...ście, że nie!

– Jasssne... – Gąssowska cicho się zaśmiała. – Powiedzmy, że panu wierzę. No już, wychodzimy!

* * *

Prokurator Dariusz Bartnicki sporo słyszał o komisarzu Darskim, tudzież wiele razy oglądał go na stronach rozmaitych portali, niekoniecznie tematycznie związanych z pracą policji. Teraz więc obserwował go z ogromną ciekawością, którą dałoby się przyrównać jedynie do początkującego piosenkarza patrzącego na próby Stinga.

– I co pan sądzi? – zapytał, kiedy zapoznał się już z miejscem zbrodni i okolicznościami, w jakich do niej doszło. – Jakie są pana pierwsze wnioski?

– Wydaje mi się, że ktoś chciał, żebyśmy powiązali to morderstwo z masonerią. – Darski rozpoczął od tego, na co zwróciła mu uwagę Eugenia. – Ja jednak uważam, że to podpucha i że pójdzie tą drogą nie doprowadzi nas do niczego.

– Tym niemniej jest to oryginalny wątek i sugerowałbym choć pobieżne rozważanie, czy jednak na coś nie wskazuje – rzekł Bartnicki, w duchu rozkoszując się tym, że oto on, prowincjonalny prokurator, w dodatku z krótkim stażem, może współpracować, a nawet poniekąd zarządzać taką sławą jak Darski, znający Roberta Lewandowskiego czy Krystynę Jandę, o mniej ważnych postaciach, takich jak kilku ministrów i jeden były prezydent, już nawet nie wspominając. – W końcu, żeby zrobić coś takiego, najpierw trzeba mieć rozeznanie, jakie są symbole masonów, czyli znać ich historię. Nie każdy ma taką wiedzę.

– Obawiam się, że z osób, które tutaj przebywają, niestety każdy – odrzekł smętnie komisarz, po czym streścił przebieg poprzedniego wieczoru i wykład Kłosa. – Jak sam pan prokurator widzi, wszyscy obecni wczoraj dowiedzieli się, kim są masoni i jaka jest symbolika ich organizacji.

– I ktoś od razu to wykorzystał... – mruknął Bartnicki. – Szybko.

Rozmowę prowadzili na tarasie łączącym pałac z ogrodem. Dokoła nich krzatali się inni policjanci, technicy i ekipa z zakładu pogrzebowego.

– Ile osób było w pałacu w trakcie popełnienia zbrodni?

– Dwadzieścia dziewięć – odpowiedział Darski. – Troje domowników, po dwoje kucharzy, kelnerów, organizatorów imprezy i dziennikarzy, kwartet muzyków grających na balu oraz czternaścioro gości, włączając w to mnie i ofiarę. Wcześniej tego wieczoru było jeszcze dodatkowo dwanaście osób, miejscowych urzędników i władz, ale po kolacji opuścili pałac.

– I mówi pan, że kilkoro z nich ma pewne alibi?

– Jeśli przyjąć, że Klejnocka została zabita między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą, to tak. – Darski pokiwał głową. – Z szybkich i na razie nieoficjalnych rozmów, które odbyłem ze wszystkimi, wynika, że możemy śmiało wykluczyć kucharzy. Pracowali non stop, a w tym czasie zajęci byli przygotowaniem słodczy, które miały towarzyszyć podaniu tortu. Coś tam im

się wysypało i musieli na cito dorabiać jakieś ciasteczka. O tym, że nie wyrzeli z kuchni przez całą tę godzinę, zaświadczą i organizatorzy imprezy, i kelnerzy. Tych ostatnich chyba też można wykluczyć, bo krążyli nieustannie między kuchnią a salą balową albo przebywali na samej sali. Nie mieli aż tak długiej przerwy, żeby zdążyli wyjść na zewnątrz.

– A organizatorzy balu?

– Nie, ci nie mają alibi. – Komisarz pokręcił głową. – Co jakiś czas znikali z sali balowej. Ale za to przebywali tam bez przerwy muzycy oraz kilkoro gości. Pan Kosek, pani Krasucka, pani Mrozowska, pan Tourneur, pani Marusik, no i ja.

– Duże to dla pana szczęście – zauważył prokurator. – Inaczej nie mógłby się pan nawet nieoficjalnie zajmować tą sprawą. A tak to z miłą chęcią skorzystam z pana ogromnego doświadczenia w zakresie śledztw, w których biorą udział celebryci. Bo zdaje się, że głównie ich tu mamy, prawda?

– Nie da się ukryć – odpowiedział Darski bez entuzjazmu. – Co pan proponuje? Wzywać ich wszystkich jutro na komendę?

– Myślę, że zacząłbym jeszcze dzisiaj – zastanawiał się Bartnicki. – Może nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, ale rozum podpowiada mi, że czasem pierwsze wrażenia są najbardziej istotne.

– W pełni się z panem zgadzam – przytaknął komisarz. – Czyli co? Przed nami bardzo długa noc?

– Na to wygląda – potwierdził prokurator. – To kogo bierzemy na pierwszy ogień? Może pana specjalistę od masonerii?

Zaproszony do niewykorzystywanego dotąd gabinetu na parterze, naprędce zamienionego w pokój przesłuchań, Manuel wydawał się nieludzko wręcz spokojny. Na pytanie, gdzie był w czasie balu, odpowiedział nieco znudzonym tonem, że cała ta „niedorzeczna maskarada” wydawała mu się tak „żenującym błazeństwem”, że postanowił spędzić ten czas w swoim pokoju na robieniu researchu do swojej nowej powieści.

– A o czym pan teraz pisze? – zaciekawiał się niby bez związku Bartnicki.

– Wczorajsza rozmowa przy kolacji uświadomiła mi, jak mało wszyscy wiemy o masonach, i postanowiłem, że poświęcę im jeszcze jedną książkę – odpowiedział z wyjątkowym dla niego przejęciem Kłos. – Znalazłem online bardzo ciekawe opracowanie, „Tajemnice Masonerii i Masonów” Stanisława Antoniego Wotowskiego. Książkę tę wydano przed drugą wojną światową. Fascynująca lektura. Wotowski szczegółowo opowiada tam między innymi o tym, w jaki sposób wyglądał rytuał przyjmowania nowych członków do loży masońskiej. Z każdego możliwego źródła internetowego można się dowiedzieć, że była to ogromna tajemnica i nikt dokładnie nie wiedział, jak to się odbywało, tymczasem tutaj wszystko wyłożone jest kawa na ławę. Czy wiecie, że w starej

masonerii polskiej, która właśnie się kształtowała w chwili, kiedy budowano ten pałac, każdy, kto chciał się stać członkiem tej organizacji, najpierw trafiał pod opiekę tak zwanych „braci śledzicieli”? Ich misją było badanie życia takiego delikwenta. Dopiero kiedy okazywało się, że nie ma on nic na sumieniu, a przynajmniej nic takiego, co masoni uznawali za niegodne ich stowarzyszenia, ten ktoś był dopuszczany do prób inicjacyjnych. Odbywały się one w sali, gdzie zasiadali członkowie loży, a rytuałowi przewodził jej mistrz. Obrzędy przyjęcia, z których dzisiaj większość masonów robi sobie już tylko żarty, w tamtych czasach traktowane były ze śmiertelną powagą, choć w istocie rzeczy niczym nie różniły się od tych towarzyszących choćby wstąpieniu do rozmaitych bractw studenckich. Ale wtedy te teatralne ceremonie działały na wszystkich niczym magnes. Dzień przyjęcia kandydata, zwanego profanem, zaczynał się od tego, że zamykano go na kilka godzin w osobnym pomieszczeniu, czyli tak zwanej izbie pokutnej. Wieczorem przybywał do niego jeden z braci i zabierał mu wszystkie przedmioty metalowe, złote i srebrne. Obnażał mu też lewą pierś oraz lewą nogę po kolano i zawiązywał oczy. Naga pierś wyrażać miała szczerość, kolano pokorę, a fakt, że profan musiał też zdjąć buty, szacunek dla loży.

– Zdejmowanie obuwia kojarzy mi się bardziej z islamem – mruknął Darski, przypominając sobie zawstydzającą scenę, kiedy okazało się, że po zdjęciu obuwia przed wejściem do zabytkowego meczetu w Egipcie świeci dziurą w skarpecie. Nikt nie chciał mu uwierzyć, że zrobił ją nieco wcześniej wystający element podeszwy. Historia poszła w świat i potem komisarz dostawał skarpety w prezencie przy wszystkich możliwych okazjach, łącznie z walentynkami, za co zresztą sfochował się na swoją narzeczoną na całe półtora dnia.

– Owszem, ale wolnomularstwo łączy wpływy różnych filozofii i religii – wyjaśnił Manuel. – Z kolei zasłonięcie oczu symbolizować miało mrok, w jakim człowiek przebywa, dopóki nie pozna istoty prawdy, czyli właśnie filozofii masonów. Tak przygotowanego profana wprowadzano do pomieszczenia, gdzie czekali pozostali członkowie loży. Mistrz pytał go, czy pragnie poddać się próbom. Jeśli odpowiedź była twierdząca, zaczynało się coś, co masoni nazywali podróżami. Na przykład, kazano mu chodzić po ruchomej podłodze, która sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się zapaść. Albo miał wdrapywać się na wysokie, kołyszące się drabiny, a całej tej akcji towarzyszyły iście piekielne odgłosy symulujące uderzenia gromu lub dęcie wiatru. Dalej nakazywano profanowi przejść przez „ogień oczyszczenia”, do którego używano tak zwanej „lampe a lycopode”, czyli metalowej rurki zakończonej spirytusową lampką, otoczoną siatką. Tę napełniano proszkiem „lycopodium”, który był nieszkodliwy, ale wybuchając, sprawiał wrażenie silnego płomienia. Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy już profan przeszedł przez te etapy, następowała najgorsza dla

jego psychiki próba. Dostawał bowiem pytanie, czy oddałby całą swoją krew za masonerię i czy w związku z tym zgadza się, aby otworzyć mu żyły. Jeśli się zgodził, mistrz polecał lekarzowi, aby zbadał delikwenta i stwierdził, czy można puścić mu krew. Rzecz jasna diagnoza w każdym przypadku była pozytywna. Przewiązywano więc nieszczęsnemu profanowi rękę i robiono minimalne nakłucie. Z boku stał jeden z członków loży z dużą szklaną banią o długiej wąskiej szyjce, napełnioną ciepłą wodą. Jego zadaniem było jej wylanie ciurkiem na rękę kandydata od miejsca jej przewiązania. Gdy strumień z wielkim szumem spadał do podstawionej miednicy, profan mógł myśleć, że faktycznie utacza mu się całą krew. Dopiero kiedy wszystko to przetrwał, prowadzono go z powrotem przed tron mistrza, który zdejmował mu z oczu opaskę, a następnie odbierał przysięgę wierności oraz wręczał dwie pary białych rękawiczek. Jedną męską na znak czystości, drugą damską z zadaniem, by podarował je kobiecie, którą uważa za najbardziej godną szacunku oraz przyjęcia do organizacji.

– Kobiety mogły być masonkami? – zdumiał się Darski.

– Tak mniej więcej od drugiej połowy osiemnastego wieku – potwierdził Manuel. – I co najciekawsze, to właśnie nasz kraj miał największy wpływ na ową rewolucję. Polskie arystokratki były jednymi z pierwszych, które dopuszczono do członkostwa w lożach. Dopiero za nimi swoje prawa wywalczyły też Francuzki, a potem Angielki. To zresztą spowodowało rozłam w organizacji. Niezadowolona z obecności kobiet część masonerii utworzyła tak zwany Zakon Węża. Jego cele były znacznie mniej humanistyczne niż wolnomularstwa. O ile masoni dążą do zmiany siebie, a co za tym idzie całego świata w sposób pokojowy i filozoficzny, o tyle Zakon Węża szybko stał się związkiem, który we współczesnych czasach nazwalibyśmy terrorystycznym. Ale podobnie jak masoneria działa w takim ukryciu i jest tak tajemniczy, że trudno go rozpracować nawet profesjonalnym służbom wywiadowczym. I to tak sprawnym jak CIA czy Mosad. Podobno rytuał przyjęcia do Zakonu jest mniej teatralny, za to bardziej okrutny. W zależności od stopnia wtajemniczenia, ktoś, kto chciał zostać członkiem tej... nazwijmy to... sekty, musiał wyrządzić realną krzywdę komuś, kto jej podpadł. Czasami było to wypalenie znaku węża na ciele, czasami okaleczenie, a czasami nawet morderstwo.

– Brzmi jak bajeczka z powieści Dana Browna – mruknął z niedowierzaniem Bartnicki.

– Być może, ale kiedy wejdzie pan do darknetu, okaże się, że za wiele zaginięć, teoretycznych wypadków, niewytłumaczonych zabójstw, tajemniczych pożarów czy choćby nigdy niewyjaśnionych zamachów odpowiedzialnością obarcza się właśnie Zakon Węża. Oczywiście, może pan to wszystko potraktować jako mit i legendę, ale niech pan przejdzie się choćby po tym pałacu, a zobaczy, że

znaki masońskie mieszają się tutaj z symboliką węża. Znajdzie go pan na obrazach, na ornamentach, ozdobach.

– Sugeruje pan, że organizacja, o której przyznam, że słyszę pierwszy raz w życiu... – Bartnicki popatrzył wymownie na Darskiego, ale ten też tylko wzruszył ramionami, dając znać prokuratorowi, że i jego wiedza o Zakonie Węża jest zerowa – ...działa w Klepaczowicach?

– Nie byłoby w tym nic dziwnego, zważywszy na fakt, że Polacy byli w gronie jej założycieli. Bo to co prawda nasze kobiety jako pierwsze wywalczyły sobie prawo do bycia masonkami, ale za to też i nasi panowie jako pierwsi się przeciw temu zbuntowali. Zdaje się, że historia o prawach kobiet i próbach ograniczania ich przez mężczyzn jest powracającym motywem w naszym kraju...

– Fascynujące – rzekł Bartnicki, średnio maskując fakt, że uważa całą opowieść pisarza za nudziarstwo. – Mnie jednak bardziej interesuje, czy w czasie czytania o tych wszystkich dziwactwach nie spojrzął pan ani razu w okno.

– Skąd to pytanie? – zdziwił się Kłós.

– Bo tak się składa, że te w pańskim pokoju wychodzą akurat na ogród i altanę. Więc miał pan najlepszą możliwość, żeby zobaczyć zbrodnię.

– Bardzo mi przykro. – Manuel pokręcił głową. – Spędzałem czas, głównie leżąc w łóżku, a stamtąd nie widać, co się dzieje na zewnątrz.

– Rozumiem. – Bartnicki kiwnął głową. – Czytał pan na komputerze czy w komórce?

Pisarz zmarszczył brwi.

– A co to ma do rzeczy?

– Bo nie wiem, o okazanie którego z tych urzędzeń mam pana poprosić...

– W związku z czym?

– Skoro twierdzi pan, że przez tę godzinę robił pan research do książki i tak pięknie pan nam opowiedział o tym, co wyczytał w uczonych księgach, to myślę, że znajdziemy potwierdzenie tego w historii ostatnio otwieranych stron w internecie, prawda?

Darski, doceniając zmysł śledczy prokuratora, zbyt rzadki w jego mniemaniu wśród przedstawicieli tego zawodu, z lekkim zdziwieniem odnotował przebłysk strachu w oczach Kłosa.

– Czy nie musi pan mieć zgody sądu na to, żeby grzebać w moim komputerze? – zapytał po chwili milczenia Manuel.

– Nie muszę, to nie Ameryka. Zresztą na razie tylko grzecznie o to proszę. – Bartnicki się uśmiechnął z nieskrywaną ironią. – I zostawiam panu decyzję, czy pan spełni dobrowolnie tę prośbę, czy też nie. Ale dawałoby to panu natychmiast niepodważalne alibi.

– Oczywiście. – Manuel kiwnął głową. – Jeśli pan pozwoli, to przemyślę tę kwestię.

– Nie ma problemu – zapewnił niby spokojnym tonem Bartnicki, Darski nie miał jednak żadnych wątpliwości, że niezależnie od stanowiska pisarza, jego komputer i komórka jeszcze tej nocy zostaną przeszukane, a jeśli pisarz zechce coś z nich usunąć, oddane do biegłego celem odzyskania wszystkich utraconych danych.

Kolejne dwie przesłuchiwane osoby, kelnerzy, niewiele wniosły do sprawy. Potwierdzili jedynie to, że faktycznie za każdym razem, kiedy wchodził na salę balową, Mario i Eugenia albo tańczyli, albo siedzieli obok siebie pogrążeni w konwersacji. Joanna dodatkowo zaznaczyła, że ów „chudy pan” w czasie tych rozmów sprawiał takie wrażenie, jakby był „bardzo zawstydzony”, za to Marek stwierdził, że Kosek to był raczej „mocno napalony”, co go wcale nie dziwi, bo ma w rodzinie kuzyna, który podnieca się za każdym razem, gdy w telewizji pokazują Joan Collins, ma więc pełną tolerancję dla gerontofilii, w końcu starszym paniom też się coś od życia należy.

Nieco bardziej zastanawiająca okazała się dla przedstawicieli prawa rozmowa z Małgorzatą.

– Oczywiście, że wychodziłam z sali balowej, i to kilka razy – powiedziała już na samym początku przesłuchania. – Pomijając kwestie fizjologiczne, musiałam też poprawić makijaż. Tutejszy burmistrz przystawiał się do mnie przez całą kolację. Wstrętny erotoman. Miałam ochotę dać mu po twarzy, ale politycy z Wiejskiej tak mnie uodpornili na chamstwo i końskie zaloty, że jedynie się tępo uśmiechałam. A ten cap przyjął to najwyraźniej za jakieś awanse i na koniec przy pożegnaniu miał czelność mnie wyczałować. Przy okazji rozmazał mi makijaż, co zauważyłam dopiero po dziesięciu minutach, gdy przechodziłam koło lustra. Wyglądałam jak arlekin! Poszłam do pokoju, żeby się poprawić, i dlatego nie było mnie na balu przez kilkanaście minut. Zapewniam, że nikogo w tym czasie nie mordowałam.

– To miłe z pani strony. – Tym razem pałeczkę prowadzącego przesłuchanie przejął Darski. – Która mogła być wtedy godzina?

– Wydaje mi się, że około dwudziestej pierwszej dwadzieścia.

– Czy znała pani Sandrę Klejnocką?

– Od jej dzieciństwa – odparła bez chwili wahania dziennikarka. – Jej ojciec był jednym z pierwszych gości w moim programie...

– To było pod koniec lat dziewięćdziesiątych, tak? – dopytał prokurator.

Jarosławowicz zmierzyła go takim wzrokiem, że gdyby tylko miał odrobinę więcej przyzwoitości, powinien z miejsca zapaść się pod ziemię.

– Byłam wtedy świeżo po studiach – wyjaśniła z godnością. – W ciągu kilku miesięcy sprawiłam, że program, który moja ówczesna szefowa określała jako „zapchajdziurę na potrzeby Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji”, stał się jednym z najpopularniejszych w Polsce. Zresztą w dużej mierze właśnie dzięki tacie Sandry. Staś był genialnym erudytą, obdarzonym niezwykłym poczuciem humoru, a przy okazji bardzo atrakcyjnym mężczyzną, nawet kiedy zaczął się starzeć. Szybko się zaprzyjaźniliśmy, oczywiście czysto platonicznie. Bywałam w jego domu, pomagałam, kiedy zmarła mu żona. Wiadomość, że zachorował na raka, była najgorszą, jaka na mnie w tym roku spadła.

– Skoro znała pani tak dobrze Sandrę, to może wiadomo pani cokolwiek o tym, czy miała jakichś wrogów? – spytał Darski.

– Z tego, co mi wiadomo, nie – odpowiedziała ostrożnie Jarosławowicz. – Ale w przypadku tak bogatych ludzi, jak Klejnoccy, nigdy nie wiadomo, gdzie i jakich wrogów się ma. Staś co prawda starał się dorabiać majątku, nie krzywdząc nikogo po drodze, ale wie pan, jacy są ludzie. Czasem nienawidzą cię tylko dlatego, że według nich masz trochę lepiej od nich. Jesteś zamożniejszy, bardziej znany czy ładniejszy.

– No tak, zawiść leży w naturze ludzkiej – przyznał Darski. – A czy w czasie, kiedy wchodziła pani do swojego pokoju albo z niego wychodziła, kogoś pani spotkała po drodze?

– Kiedy szłam do siebie, to nie. – Dziennikarka pokręciła głową. – Ale kiedy wracałam, wpadłam na tego młodego aktora, Marcina Prusika, i jego przyjaciela. Sprawiali wrażenie nieco zziajanych...

– Zziajanych? – powtórzył zdziwiony Bartnicki.

– Tak jakby wcześniej biegli albo wykonywali jakikolwiek inny spory wysiłek fizyczny – starała się wytłumaczyć Małgorzata.

– Rozumiem... – Prokurator wyglądał na zamyślonego. – Bardzo pani dziękujemy, a przy okazji chciałbym pogratulować jubileuszu pani programu. Często go wraz z żoną oglądamy.

– Jesteście państwo fanami disco polo? – zdumiała się Jarosławowicz.

– Słucham? – Dariusz zrobił wielkie oczy. – A, nie – zaprzeczył energicznie. – Gdy się zaczynają te występy, przełączamy na inny kanał.

– Zupełnie tak jak ja – rzekła z godnością Małgorzata i już chciała wstać z krzesła, ale Darski powstrzymał ją stanowczym ruchem ręki.

– Jeszcze jedno... Z tego, co nam wiadomo, miała pani romans z ministrem Wellmanem.

– Słucham?! – Prezenterka wytrzeszczyła na niego oczy, świetnie udając oburzenie. – Jak pan śmie?!

– Zdaje się, że jest pani równie dobrą aktorką, co dziennikarką – przyznał z podziwem komisarz. – Tym niemniej wydaje mi się, że powinna pani przemyśleć, czy woli nam pani powiedzieć coś teraz, czy też być zmuszona zeznać to przed sądem w blasku fleszy. Teraz wszystko jeszcze możemy załatwić w miarę dyskretnie. Rzecz jasna, o ile nie będzie to miało nic wspólnego z morderstwem.

Jarosławowicz przez chwilę wodziła wzrokiem między nim a prokuratorem.

– Nie wiem, jakim cudem się o tym dowiedzieliście, ale tak – wysyczała wreszcie wściekłym głosem. – To prawda. Mieliśmy romans.

– I...?

– I nic.

– Wydaje mi się, że jednak niekoniecznie... Ktoś się o tym dowiedział, prawda? I próbował was szantażować?

– Skąd pan to wie?! – Małgorzata zmierzyła go takim wzrokiem, jakby był duchem albo przybyszem z innej planety. – Ma pan atak jasnowidzenia czy jak?

– Nieistotne. Ważne, czy jest to prawda, czy też nie.

– Właściwie najrozsądniej byłoby, gdybym odmówiła zeznań do czasu, kiedy skontaktuję się z moim prawnikiem – oświadczyła powoli Jarosławowicz.

– Ma pani do tego oczywiście prawo – przyznał Bartnicki. – Tak jak ja mam prawo zatrzymać panią na określony czas w areszcie.

– To groźba? – zachnęła się Małgorzata.

– Nie. Po prostu mówimy sobie o tym, jakie mamy możliwości. Popełniono zbrodnię. Pani jako jedna z nielicznych nie ma na ten czas alibi. A wydaje się, że może posiadać motyw. Mogę panią zatrzymać. Jutro z tego sensacja, przy obecnej pani pozycji w telewi...

– Już dobrze, dobrze! – Małgorzata gwałtownie zamachała obiema rękami, jakby nakazując prokuratorowi, by zamilkł, co zresztą grzecznie uczynił. – Mam... A raczej miałam romans z Jakubem! Bardzo intensywny i namiętny. Pieprzyliśmy się, gdzie popadło, i pewnego razu to, co robiliśmy, nagrało się na kamerze.

– Jakim cudem?! – Darski widział w swoim zawodowym życiu wiele głupoty ludzkiej, jednak to przekraczało jego wyobrażenie.

– Robiliśmy to w studiu, po godzinach. – Małgorzata wzruszyła ramionami. – To było zapasowe studio, nie w naszej głównej siedzibie. Byłam pewna, że nikogo tam nie ma, miałam je już zamykać. Skąd mogłam wiedzieć, że debil od internetu zostawi włączoną kamerkę, na której nagrywamy materiały do podcastów? Zaczął mnie tym szantażować, ale Staś uratował mi wtedy tyłek. Zapłacił mu i dostał jedyną kopię, którą mi przekazał. Niestety, przed śmiercią wyjawiał różne kwestie Sandrze. A ona... No cóż? Postanowiła zrobić z nich użytek. Wiedziała coś, czego ujawnienie mogło mi grozić kompromitacją

i wykluczyć na zawsze z tego zawodu. Nigdy się nie przyznam do tego, co to było. W zamian za milczenie zażądała pendrive'a z tym nagraniem.

– Bo Klejnocka z kolei chciała zaszantażować Wellmana? – dopytał prokurator.

– Widzicie... Kiedy była młodsza, Sandra przeżyła, jak to się mówi, zawód miłosny. Miała chłopaka, w którym była... – Prezenterka zawiesiła na moment głos. – Zakochana. Chciałam powiedzieć „na zabój”, ale w takiej chwili chyba nie wypada używać takich słów. W każdym razie była w nim mocno zakochana. Rozstali się po tym, kiedy wyszło na jaw, że ją zdradzał. Sandra bardzo to przeżyła. Musiała nawet skorzystać z psychoterapii. Ostatecznie wyłądownała w jakiejś grupie oazowej. Mówiła, że uratowała ją religia. W dawniejszych czasach pewnie powiedziano by, że popadła w dewocję. Tyle że w tych naszych jakoś mniej się to rzuca w oczy. Od tamtej chwili zaczęła też być wyczulona na kwestię uczciwości. Powiedziała, że oszczędza mnie tylko przez wzgląd na swojego ojca, który zawsze miał do mnie słabość.

– Mówi pani, że zażądała pendrive'a? Czemu go pani nie zniszczyła?

– Sama nie wiem. – Małgorzata rozłożyła ręce. – To wszystko zdarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Moja wpadka, interwencja Stasia, jego śmierć. Wykupienie pendrive'a od tego skurwiela było jedną z ostatnich rzeczy, które zrobił w życiu. A ja...? Cóż, wiem, że powinnam była pozbyć się tego gówna, ale... Tylko się nie śmieJCie... Od jakiegoś czasu zdawałam sobie sprawę, że wbrew obietnicom Kuba nigdy nie porzuci żony. Za dużo ich łączyło. Biznesów, bo przecież nie miłości. I chciałam mieć pamiątkę. Choćby taką...

– Nie mogła pani powiedzieć Sandrze, że pozbyła się pendrive'a?

– Nie. Zauważyła go, kiedy odwiedziła mnie w domu po pogrzebie ojca. I od razu postawiła sprawę jasno...

– Szykuje nam się ciekawa rozmowa z panem ideałem – zauważył złośliwie Bartnicki, kiedy Jarosławowicz wyszła z tymczasowego pokoju przesłuchań.

– I z jego czarującą żoną... – westchnął Darski, który miał już okazję wcześniej poznać Patrycję. – Dajmy sobie przed tym trochę oddechu. Kto teraz?

Golden Girl zeznawała krótko, bo też nie miała wiele do powiedzenia, poza tym, że towarzyszący jej – jak go określiła – „cudowny Francuz” nie odstępował jej przez całą kluczową godzinę ani na sekundę. Temat Tourneura przewijał się w jej wypowiedziach tak często, a sam Pierre odmalowany został w takich superlatywach, że kiedy wszedł do pokoju zaraz po swojej poprzedniczce, protokołująca przesłuchania policjantka poczuła się mocno rozczarowana. Zamiast bowiem najprzystojniejszego herosa galaktyki pojawił się może i sympatyczny, ale nieco zabiedzony młody człowiek z gatunku tych, których jej babcia nazywała „zamorkami” i z miejsca chciałaby odkarmić.

– To prawda – potwierdził zeznania Golden Girl. – Nie rozstaliśmy się w czasie balu ani na chwilę.

– A kogo pana zdaniem nie było w tym czasie najdłużej na sali balowej? – zapytał Darski.

Pierre przez chwilę się zastanawiał.

– Wydaje mi się, że tych dwóch przyjaciół, aktora i jego kolegi. Narzeczona tego pierwszego najpierw rozmawiała z nami, potem z dziennikarzami. Ale to akurat nic dziwnego, bo jak się z nami rozstawała, to powiedziała, że przyszła pora, by się polansować. Zdradziła nam, że stara się o ponowne zatrudnienie w „Tańcu z Gwiazdami”, więc przyda jej się odrobina dobrego PR-u.

– To jak długo mogło ich nie być? – usiłował sprecyzować komisarz.

– Dwadzieścia minut? Może nawet więcej... – Pierre zmierzwił trochę swoją fryzurę i tak znajdującą się w mocnym nieładzie, co do którego Darski miał pewność, że musi stanowić najnowszy trend fryzjerski, bo w stolicy coś takiego obnosił po ulicach co drugi niełysy zamożniejszy mężczyzna w okolicach trzydziestki. – Długo też nie było tej prezenterki z telewizji i chyba tego gościa, który to wszystko organizował.

– Pana Bursztynowicza? – dopytał Bartnicki.

– Nie. – Pierre pokręcił głową. – Tego, którego Ignacy zatrudnił, żeby się wszystkim zajął. Pana Tomka, menadżera. Aaaaaaa, i jeszcze pani Maria wyszła zaraz po tym, jak się pożegnała z burmistrzem i jego ludźmi. Syn nawet jej szukał, bo miał do niej jakąś sprawę. To chyba wszyscy...

– Niech mi pan powie. – Bartnicki pochylił się nad stołem, za którym siedzieli wraz z Darskim, i popatrzył Tourneurowi uważnie w oczy. – Czy jest pan pewny, że ten pałac należał kiedyś do pana rodziny?

– Słucham?!

– Wie pan... Tu na Warmii, a już zwłaszcza w tych okolicach, wszyscy się znamy – wyjaśnił prokurator. – I kiedy okazało się, że zgłosił się pan jako spadkobierca pierwszych właścicieli, a właściwie to wręcz budowniczego tego obiektu, natychmiast pojawiło się mnóstwo plotek i różnego rodzaju spekulacji. Zaciekawilem się i co nieco sobie sprawdziłem. Oczywiście nie mam żadnego dowodu, to znaczy, jeszcze nie mam, ale wydaje mi się, że papiery, które miały potwierdzać pana prawa do pałacu, są...

– Autentyczne! – krzyknął Pierre, którego twarz w czasie wypowiedzi prokuratora najpierw poczerwieniała, a potem wręcz spurpurowiała. – Mam na to ekspertyzy! Od najlepszych specjalistów!

– Owszem, wiem o tym i nie zamierzam ich kwestionować. – Bartnicki pokiwał głową. – Natomiast chcę pana poinformować, że na moją prośbę francuska policja poszukuje w tej chwili innych przedstawicieli rodziny

Tourneurów, którzy mogliby zaświadczyć, że faktycznie jest pan tym, za kogo się podaje, i że jest pan uprawniony do posługiwania się dokumentami, które okazuje pan polskim władzom...

Darski zaniepokoił się, że za moment do Francuza trzeba będzie wezwać pogotowie. Wyglądał bowiem tak, jakby na miejscu miała go trafić apopleksja.

– Jak pan sądzi, co się stanie, kiedy moi koledzy znad Sekwany dotrą do pańskich krewnych? – zapytał Bartnicki, czyniąc w powietrzu znak cudzysłowu przy ostatnim wyrazie. – Myślę, że być może już nawet do nich dotarli. Jest pan pewny, że rozpoznają pana na zdjęciach? Ja jeszcze tego nie wiem, choć mam swoje przypuszczenia.

Pierre milczał.

– No cóż... Skoro nie chce pan mówić, nie mogę pana do tego zmuszać. Sądzę jednak, że rozsądniej by było, gdyby jednak spróbował pan cokolwiek wyjaśnić...

Tourneur jeszcze przez moment się wahał.

– Trudno – rzekł wreszcie. – Ma pan rację i jednocześnie jej nie ma. Owszem, krewni, do których dotrze policja, rozpoznają mnie, ale nie jako Pierre'a, a jego najlepszego kumpla. Poznaliśmy się siedem lat temu na Erazmusie w Budapeszcie. I wtedy też z różnych przyczyn, o których nie chcę tu opowiadać, wyrobiliśmy sobie lipne dokumenty. On na moje nazwisko, ja na jego. Pierre ma babcię, z pochodzenia Polkę, jakąś tam hrabinę, i któregoś wieczoru zaczęła ona opowiadać o swoich przodkach. Różne historie, z których wynikało, że ci przodkowie nie mieli zbyt tęgich głów, bo nie walczyli o coś, co im się słusznie należało i na co nawet mają papiery. Zapytałem Pierre'a, dlaczego on o to nie powalczy, skoro teraz w Polsce zmieniło się prawo i istnieje szansa na odzyskanie dawnego majątku albo choć odszkodowania za jego utratę, ale tylko popatrzył na mnie jak na wariata i zapytał, komu by się chciało użerać o coś takiego. Rozumiecie, on pochodzi z bardzo bogatej rodziny. I tak niedługo odziedziczył po przodkach jakąś masę nieruchomości rozsianych po całej Europie Zachodniej. Na cholerę mu jeszcze ruina w kraju, którego nigdy nie widział nawet na oczy. Zgarnąłem więc te babcine papiery, przyjechałem tutaj i posługując się moimi lipnymi dokumentami tożsamości, wywalczyłem to, co prawdziwemu Pierre'owi się słusznie należało.

– No tak... – podsumował karcącym tonem Bartnicki. – I przy okazji wpakował się pan w niezłą kabałę. A jak się pan naprawdę nazywa?

– Tadeusz Kiejno.

– Panie Tadeuszu, zastanawia mnie więc, dlaczego pan tu został po sprzedaży pałacu. Przecież powinien pan zgarnąć kasę i zwiewać na drugi kraniec świata.

– To proste – parsknął Kiejno. – Bo jeszcze nic za niego nie dostałem. Ani grosza!

– Jak to? – wyraził na głos zdumienie obu przesłuchujących Darski.

– Tak to... – Tadeusz wyraźnie sposepniał. – Ignacy miał mi przelać pierwszą część pieniędzy w chwili, kiedy podpisywałem akt notarialny sprzedaży mu tego obiektu. Jednak w dniu, w którym miało to nastąpić, z rana odwiedziła mnie jego wtedy jeszcze przyszła narzeczona.

– Sandra? – upewnił się Bartnicki.

Mężczyzna skinął głową.

– Oznajmiła mi, że ma podejrzenia, że nie jestem tym, za kogo się podaję, i dała mi alternatywę, że albo zacznie to sprawdzać, albo zgodzę się obniżyć kwotę, za którą jej przyszły mąż kupi pałac, a do tego poczekam cierpliwie na przelew. W zamian zaoferowała mi pomoc w rehabilitacji i gościnę w pałacu do czasu, kiedy otrzymam należne mi pieniądze. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na jej warunki.

– Nie powiedziała panu, skąd wzięły jej się takie podejrzenia? – dopytał Darski.

– Nie. – Pierre pokręcił głową. – Może zagrała va banque, nie wiem. Jasne było dla mnie tylko to, że nie mogę z nią zadzierać i muszę się zadowolić tym, co raczy mi dać.

– Dziwne, że chciała panu dać cokolwiek... – mruknął Darski.

– Chodziło o to, że beze mnie jako Pierre'a w ogóle Bursztynowicz tego pałacu by nie dostał. Bo gdyby wyszła na jaw moja mistyfikacja, prawo własności wróciłoby do Majchra, a on nie chciał się tej posiadłości pozbywać. Więc w sumie Sandrze było na rękę, by mnie nie demaskować, ale tego domyśliłem się dopiero, gdy wczoraj wieczorem Jaromir zrobił tę scenę w czasie kolacji.

Kiedy za Tadeuszem zamknęły się drzwi, Darski spojrzął z zaciekawieniem na prokuratora.

– Proszę mi powiedzieć, naprawdę wysłał pan zapytanie do francuskiej policji?

– Owszem – potwierdził Bartnicki. – Akurat na mnie szef zadekretował sprawę z zawiadomienia pani Krasuckiej, w którym sugerowała, że warto by było, abym sprawdził rzekomego spadkobiercę pałacu. Jej pismo było bardzo przekonujące, a że ja jestem tutejszy, osobiście interesują mnie kwestie związane z dziedziczeniem lokalnych zabytków.

– No tak, skleroza – mruknął Darski. – Wspominała o tym... W sumie gdyby nie fakt, że ten cały Tourneur... To znaczy Kiejno... Gdyby nie to, że ma alibi, byłby pierwszym podejrzanym.

– Zawsze mógł mieć współnika – zauważył Bartnicki. – Albo współniczkę...

– Niby tak, acz patrząc na listę gości, trudno mi sobie kogokolwiek z nich wyobrazić w tej roli. – Darski nie był przekonany. – Kogo mamy na tapecie jako

następnego?

Wezwani na przesłuchanie kucharze nie wnieśli do sprawy nic, bo też faktycznie przez cały bal nie wychylili nosa z pomieszczeń kuchennych. Anna Karpowicz zaciekawiała za to stróżów prawa opowieścią o tym, czego była świadkiem poprzedniej nocy.

– Naprawdę nie byłaby pani w stanie rozpoznać tej osoby?

– Tej spoliczkowanej? – upewniwszy się, pokręciła głową. – Niestety nie. Odnoszę wrażenie, że była to kobieta, ale nawet nie wiem, skąd mi się to wrażenie wzięło, bo równie dobrze mógłby to być niezbyt wysoki mężczyzna. Zresztą to chyba wydaje się bardziej prawdopodobne, że kobieta prędzej policzkuje faceta niż inną kobietę...

– Między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą wychodziła pani z sali balowej, prawda? – Bartnicki skrętnie ominął temat policzkowania, bo przypomniało mu się, że sam oberwał po twarzy tylko jeden raz w życiu, od własnej żony, kiedy to na pytanie, czy nie wygląda zbyt tęgo w sukni wieczorowej, którą zamierzała założyć na sylwestra, odruchowo odpowiedział, że powinna się martwić o to mniej więcej pięćdziesiąt pączków wcześniej.

– Tak – przyznała niechętnie Anna. – Dostałam SMS-a od mojego agenta, że chce ze mną rozmawiać producent, poszukałam więc cichego miejsca.

– Naszło go na rozmowy po dwudziestej pierwszej? – zdumiał się prokurator.

– To producent ze Stanów – wyjaśniła Karpowicz. – U nich było dopiero wczesne popołudnie. Staram się o rolę w amerykańskim serialu i producent chciał mi zadać kilka dodatkowych pytań, zanim mnie zaprosi na zdjęcia próbne.

– Dokąd się pani udała, żeby z nim porozmawiać?

– Do łazienki na pierwszym piętrze.

– Nie będzie dla pani kłopotem, jeśli zapytam, o której godzinie miała miejsce ta rozmowa?

– Żadnym. – Anna wyjęła z małej, złotej torebki smartfon i chwilę przesuwała palcem po jego ekranie. – Zaczęliśmy o dwudziestej pierwszej osiem, skończyliśmy dwanaście minut później...

– Ciekawe. – Bartnicki zmarszczył brwi. – Potem, jak rozumiem, wyszła pani z łazienki i wróciła na dół.

Karpowicz potaknęła.

– Nikogo pani po drodze nie spotkała?

– Nie. – Odpowiedź Anny wypowiedziana została pewnym tonem. – Absolutnie nikogo.

Jako następny w pokoju przesłuchań pojawił się Tomasz Garliński. Za nim do pomieszczenia wparował szybkim krokiem policjant, który podszedł do

Bartnickiego i pokazał mu coś w telefonie. Prokurator z kamienną twarzą pokiwał głową.

– Dziękuję. To może być przydatne. Grzebcie dalej – rzekł do funkcjonariusza, który kiwnął głową i błyskawicznie opuścił pokój. – Zapraszam!

Garliński, do którego skierowane były te słowa, posłusznie usiadł na krześle.

– Jak to się stało – zaczął prokurator – że to właśnie pańska firma eventowa została zatrudniona przez pana Bursztynowicza do organizacji jego kameralnej imprezy? Z tego, co zdążyliśmy sprawdzić, wynika, że zajmuje się pan raczej wydarzeniami o większej skali. Targi, konferencje, zamknięte meetingi integracyjne dla korporacji... Co pana tu sprowadziło?

– Owszem, z reguły organizujemy wydarzenia masowe – przyznał Tomasz. – Istnieją jednak osoby, którym się nie odmawia. Przez lata współpracowaliśmy z ojcem Ignacego i choćby przez wzgląd na tamte czasy zgodziliśmy się teraz pomóc.

– Pomóc? – Bartnicki uśmiechnął się kpiąco. – Ładna pomoc za pieniądze...

– Tu się pan myli – zaprotestował Garliński. – Zrobiliśmy to po kosztach, więc fraza „za pieniądze” wydaje mi się lekkim nadużyciem. Nie zarobiliśmy na tym ani grosza. Między innymi dlatego bierzemy w tym udział sami, to znaczy ja i moja prawa ręka, a nie nasi pracownicy, bo im musielibyśmy zapłacić i w sumie dołożylibyśmy do interesu.

– Pana prawa ręka... – mruknął prokurator.

– No, może czasem lewa.

– Czy pani Machnik często reaguje nadpobudliwie?

– Tereska? – prychnął lekceważąco Garliński. – Jest totalną histeryczką! Sam pan widział – popatrzył na Darskiego – jak zareagowała w czasie balu...

– No, to akurat było w pełni usprawiedliwione – zaoponował komisarz. – Trudno oczekiwać spokoju i opanowania, kiedy znajduje się zwłoki, i to jeszcze w tak przerażającym stanie...

– Może – mruknął Garliński bez przekonania. – Ale te okrzyki, omdlenie... Wszystko to było jakieś takie za bardzo teatralne.

– Akurat pan powinien patrzeć na to z pobłażaniem – wtrącił Bartnicki. – W końcu jest pan członkiem organizacji, która jak chyba żadna inna oparła swoją działalność właśnie na teatralnych przedstawieniach i kuglarskich sztuczkach...

– Słucham? – Tomasz popatrzył na niego z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

– Należy pan do loży masonskiej, nieprawdaż?

Darski z trudem powstrzymał się, by nie okazać zaskoczenia.

– Loży – kontynuował Bartnicki – która od dłuższego czasu ubiegała się o zakup pałacu, w którym się teraz znajdujemy. Jak widać, znalazł pan sposób, aby tu trafić...

Garliński milczał.

– Powtórzę więc jeszcze raz moje pytanie. – Prokurator był konsekwentny. – Co pana tutaj sprowadziło? Przy okazji, ustaliłem, że członkiem loży, do której pan należy, jest też jeden z poprzednich właścicieli tego pałacu. Jaromir Majcher.

– Zналиście się panowie wcześniej? – zdziwił się Darski. – Odniosłem wrażenie w czasie wczorajszej kolacji, że widzicie się pierwszy raz w życiu...

Odpowiedzią nadal była jedynie cisza.

– Nie sądzi pan, że jednak przydałyby się jakieś wyjaśnienia? – zapytał cicho Bartnicki.

– Co mam panom powiedzieć? – Tomasz wzruszył ramionami. – Wydaje się, że wolnomularstwo nie jest zakazane w naszym kraju i nie muszę się tłumaczyć, w jakich organizacjach dotąd działałem.

– Owszem, to prawda – potaknął prokurator. – Z tego nie musi się pan tłumaczyć, ale przypominam, że zeznaje pan jako świadek w sprawie o morderstwo.

– Ja jej nie zamordowałem – zaprotestował Tomasz. – Poza tym masonem też już nie jestem...

Teraz wyraz zdziwienia pojawił się na twarzy prokuratora.

– Jak to?

– Dysponuje pan nieaktualnymi danymi. Zerwałem moje kontakty z masonerią już jakiś czas temu.

– Jednak był pan w gronie osób, które starały się o odkupienie pałacu.

– Owszem, ale to było dawno temu. I jako organizacji stanowczo nam odmówiono.

– Dlatego wystawiliście pana Majchra?

– Tego nie wiem. – Garliński wzruszył ramionami. – Kiedy Jaromir zaczął ubiegać się o kupno pałacu, nie należałem już do organizacji.

– Jeszcze do tego wrócimy – zapowiedział prokurator. – Kolejna kwestia. Według świadków długo nie było pana na sali balowej w okresie między dwudziestą pierwszą, kiedy ostatni raz widziano panią Klejnocką, a dwudziestą drugą, kiedy pana współpracownica odkryła jej zwłoki. Czy mógłby pan nam powiedzieć, gdzie pan wtedy przebywał i co robił?

– Nadzorowałem, czy wszystko idzie zgodnie z ustaleniami – odpowiedział bez chwili namysłu zapytany. – Mieliśmy pewien problem w kuchni. Poza tym ten bal to nie jest jedyne moje zajęcie. Sam pan powiedział, że stoję na czele dużej firmy. Pracuję zawsze, kiedy nie śpię...

Dalsze zeznania Tomasza dały tylko taki efekt, że Darski z końca listy podejrzanych przeniósł go do ścisłej czołówki. Bo co prawda trudno było na razie

znaleźć powiązania między nim a ofiarą, ale unikanie jakichkolwiek jasnych odpowiedzi świadczyło o Garlińskim jak najgorzej.

Następną przesłuchiwaną była jego współpracownica.

– To było straszne! – oświadczyła na samym początku histerycznie, co już zapowiadało, że w jej przypadku trudno będzie oczekiwać jakiegokolwiek rzeczowości. – Wyszłam i kiedy ją zobaczyłam, myślałam, że też na miejscu padnę trupem.

– Po co pani wyszła? – zapytał prokurator.

– Skąd? – nie zrozumiała Teresa.

– Z pałacu.

– Kiedy?

Darski w duchu zmówił krótką modlitwę do patrona cierpliwości, trochę przy tym żałując, że nie może wybrać numeru do gosposi Róży Krull, Cecylii, która znała wszystkich świętych na pamięć, bo nijak nie umiał sobie na poczekaniu przypomnieć, kto w Królestwie Niebieskim odpowiada akurat za tę cnotę.

– Zanim odkryła pani ciało pani Klejnockiej – wyjaśnił cierpliwie Bartnicki.

– Ja wyszłam? – Teresa popatrzyła na niego półprzytomnie. – No tak, racja... Musiałam wyjść... Tylko po co?

– Właśnie o to pytam. – Prokurator nadal stanowił wzorzec spokoju i łagodności.

– Co to było...? – Teresa przez moment dumiała, po czym nagle się rozpogodziła. – Już wiem! Wyszłam do samochodu. Skończyły mi się proszki od bólu głowy i przypomniałam sobie, że mam zapas w apteczce w samochodzie. Jak się pracuje z kimś takim jak Tomasz, człowiek musi łykać przynajmniej jedną tabletkę ibupromu dziennie.

– Przecież pani samochód stoi przed pałacem, a zwłoki pani Klejnockiej znajdowały się w ogrodzie za nim. – Głos Bartnickiego nadal ociekał tylko słodyczą.

– Nie skorzystałam z drzwi frontowych, tylko tych z jadalni, wiodących wprost na taras, bo pomyślałam, że tamtędy będzie szybciej i mniej zmarzną...

Darski przypomniał sobie w duchu topografię terenu i przyznał jej rację. Parking rzeczywiście znajdował się w miejscu, do którego najszybciej dało się dostać przez taras.

– A dlaczego nie wróciła pani tą samą drogą? – zaciekawił się uprzejmiem Bartnicki.

– Kiedy wyszłam na taras, rzuciłam okiem na altanę. Tam świeci się tylko jedna mała latarnia i niewiele widać, ale mimo to zobaczyłam, że ktoś tam siedzi. Zdziwiłam się, bo wszyscy powinni być na balu, poza tym było bardzo zimno. Nie widziałam tej postaci zbyt wyraźnie. Zdaje się, że coś do niej krzyknęłam. Na

zasadzie: „Czy nie za chłodno, żeby tak siedzieć?!” albo coś w tym rodzaju. Ponieważ nie dostałam żadnej odpowiedzi, zaniepokoiłam się i zaczęłam iść w tamtym kierunku. Po kilku metrach... O Boże... O Boże... – Teresa ukryła twarz w dłoniach i przez moment głośno oddychała. Kiedy odjęła ręce, z jej oczu płynęły łzy. – Nigdy nie zapomnę tego widoku. To było jak w horrorze! Nogi się pode mną ugięły. A potem pomyślałam, że ten, kto to zrobił, ciągle może tam być. Rozumiecie?! Psychopata, wariat... Nie umiem sobie przypomnieć, co zrobiłam. Chciałam tylko stamtąd uciec! Ostatnie, co pamiętam, to to, że biegłam, jak szybko byłam w stanie. Byleby tylko znaleźć się między ludźmi. Wbiegłam do sali balowej. A potem zobaczyłam nad sobą przerażone twarze. Tomasza, pana Ignacego, pani Lucyny...

– Kiedy zbliżała się pani do altanki, nie zauważyła pani nikogo w pobliżu?

– Chyba pan żartuje?! – Teresa popatrzyła na prokuratora ze zgrozą. – Jakbym kogoś tam zobaczyła, tobym dostała zawału!

– Rozumiem. – Bartnicki pokiwał współczująco głową. – Przebywała pani w tej posiadłości przez trzy ostatnie dni, prawda?

– Tak.

– Co nam może pani powiedzieć o gospodarzach i gościach?

– Czy ja wiem... – Teresa z wyraźnym trudem oderwała się od przeżywania wydarzeń tego wieczoru. – Pan Ignacy jest bardzo miły. Jego mama też. Za to babcia to kobieta z piekła rodem. Pierwszego dnia wypytała mnie o wszystko. Przemaglowała mnie jak policjant. To znaczy, przepraszam... – Popatrzyła z przestraszeniem na Darskiego.

– Nie ma za co – zapewnił komisarz.

– Co do gości... – Machnik zamyśliła się przez chwilę. – Są różni. Najgorsze wrażenie zrobił na mnie ten pisarz. Strasznie zarozumiały. Nie polubiłam też żony pana ministra. Wiecznie na niego pohukiwała i traktowała go, jakby był jej niewolnikiem. Przynieś, wynieś, pozamiataj, a na końcu mnie powachluj. Nie wiem, jak on dał sobie tak wejść na głowę. Przecież to chłop jak się patrzy i w dodatku minister. Kto tam jeszcze? Resztę polubiłam, choć nie miałam specjalnie czasu, żeby ich dobrze poznać. Zawsze było tu coś do roboty i wiecznie coś się sypało... Naprawdę nie wiem. Mam kompletny mętlik w głowie!

* * *

Eugenia rozproszyła dłonią wypuszczony przez siebie chwilę wcześniej kłęb dymu i popatrzyła z niesmakiem na wnuka.

– Mógłbyś choć poudawać, że jesteś pogrążony w żalu – rzekła ironicznie. – Nie każę ci rozdzierać szat i szlochać histerycznie, ale choć zmaż z twarzy ten wyraz zadowolenia. W końcu dziewczyna nie żyje i odeszła z tego świata w paskudny sposób.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Ignacy beztroskim tonem. – Ale przynajmniej nie muszę się z nią żenić. Jak tak ją poobserwowałem przez tych parę dni, to powiem ci, że pomyślałem, iż muszę jak najszybciej kupić sobie viagrę, żeby wypełnić swój obowiązek małżeński w noc poślubną. Tylko raz wydała mi się podniecająca, ale to kwestia wina. Zawsze jak przegnę z chlaniem, to ląduję w wyrze z jakimiś pomyłkami natury.

– Jesteś... – Eugenia szukała w głowie odpowiedniego słowa. – Już nawet nie chce mi się myśleć jaki. Przypominasz mi swojego pradziadka, a mojego szanownego ojca, który tak się przejął śmiercią mojej mamy, że poszedł prosto do burdelu.

– Tej opowieści akurat nie znam... – zaciekawiał się Ignacy. – To nie było tak, że pradziadek tak się przejął śmiercią żony, że umarł z żalu niedługo po niej?

– Umarł, bo się w tym burdelu zaraził syfilisem – wyjaśniła Eugenia. – Zanim się spostrzegł, już mu wszystko w środku gniło. Może zresztą miał ten syfilis wcześniej. Kto to może wiedzieć? Twój pradziadek nie lubił, żeby mu plemniki zbyt długo zalegały w jądrach.

– Jedno jest pewne – Ignacy zmierzył ją rozbawionym wzrokiem – nikt na świecie nie ma takiej babci jak ja. Jesteś niepowtarzalna!

– Ty też. – Eugenia poczuła się mile polectana tym komplementem. – Rozumiem, że się cieszysz, że nie musisz spać z kimś, kto cię nie jara...

– Jesteś jedyną znaną mi osiemdziesięciolatką, która używa tego słowa...

– A chcesz, żebyśmy koincydencyjnie poparzyła cię papierosem? – zapytała zirytowana Eugenia. – Osiemnaście razy? No właśnie... Więc ustalmy, że jestem w kwiecie wieku. Wracając do tematu, rozumiem niechęć do maszkarona... Przy okazji, nie spaliście jeszcze ze sobą?

– Nie.

– Czemu? Przecież nawet gdy kupujesz samochód, z reguły odbywasz jazdę próbną...

– Po pierwsze, nawet gdyby jazda próbna wypadła w tym przypadku beznadziejnie, to i tak bym kupił ten samochód, bo przecież brałem go za sowitą dopłatą. Po drugie, ona nie chciała. Wiesz, że cierpiała na manię religijną. A nauki kościelne głoszą, że z czymś tak odrażającym jak seks należy się wstrzymać do nocy poślubnej...

– Ale przecież ty masz podejście do tych spraw po mnie – zdziwiła się Eugenia. – Wstrzymujesz się co najwyżej do drugiego drinka. Aż tak cię to

biedactwo nie podniecało?

– Akurat w tym przypadku nie miałem żadnego interesu, żeby nalegać na zmianę jej przekonań religijnych. Poza tym, wiesz... Wartości chrześcijańskie należy szanować.

– Bardzo je szanowałeś, gdy cię przyłapałam w łóżku z tymi dwoma blond lalami. Jak im tam było? Koka i Kokota?

– Kama i Kamila – poprawił Ignacy. – Nie żebyś nie miała wtedy ochoty przymierzać ich bielizny, prawda?

– Bo walała się taka porzucona po podłodze. Posprzątałam, a przy tym zdziwiłam się, czego to teraz nie wymyślą. Za moich czasów nie dodawało się pupy do majtek... Poczekaj, bo to wszystko nieważne. Dążę do tego, czy nie martwi cię strata majątku?

– O to akurat nie ma się co martwić... – Ignacy zbył jej obawy z lekceważeniem.

– Jak to?

– Może i nie doszło do ślubu, ale Sandra zdążyła zmienić testament – poinformował ją wnuk triumfalnie. – Tuż przed przyjazdem do Klepaczowic! Zgadnij, kto jest jej głównym spadkobiercą?

– Zapewne ten, kto za chwilę będzie głównym podejrzanym – skonstatowała trzeźwo Eugenia, nie okazując ani cienia entuzjazmu, po czym przez chwilę się zastanawiała. – Masz alibi?

– Alibi? – zdziwił się szczerze Ignacy. – Myślisz, że miałem coś wspólnego z zabójstwem Sandry?

– Ja nie, ale policja...

– Wydaje mi się, że chyba od momentu, kiedy razem pożegnaliśmy burmistrza, do chwili, kiedy ta kobieta wpadła z wieścią, że odkryła zwłoki Sandry, byłem na sali balowej...

– Niekoniecznie. – Eugenia popatrzyła na niego uważnie. – Mniej więcej o dwudziestą pierwszą dziesięć wyszedłeś i nie było cię ponad dziesięć minut...

– Skąd wiesz? – Ignacy nie podejrzewał swojej babci o taką spostrzegawczość ani tym bardziej o świadomość czasu.

– Bo mam oczy. I jeszcze całkiem nieźle mi służą.

– Przecież byłaś pochłonięta rozmową z tym chudym cudakiem z agencji...

– Owszem, ale nie na tyle, aby nie zauważyć, że rozglądasz się dyskretnie, czy nikt tego nie widzi, a potem wymykasz ostrożnie. Natomiast kiedy już wróciłeś, narobiłeś takiego zamieszania, żeby wszyscy zapamiętali twoją obecność... Co robiłeś przez ten czas, gdy cię nie było? Zanim odpowiesz, pamiętaj, że znam cię od dziecka i nie jestem taką idiotką jak twoja matka.

Ignacy spuścił wzrok. Wydawało się też, że w ciągu jednej chwili uleciał z niego cały entuzjazm.

– Jeśli zrobiłeś coś głupiego – Eugenia starała się zachować spokój, mimo iż nagle poczuła, jak jej serce lodowacieje – to najlepiej, żebyś mi to szybko wyznał. Wiesz, że zrobię wszystko, aby cię ochronić.

– Wiem – przyznał Bursztynowicz. – I dlatego właśnie wszystko ci opowiem...

* * *

Kolejną osobą, która zasiadła przed Darskim i Bartnickim, była Karina, która najwyraźniej szybko przyszła do siebie i teraz rozkoszowała się tym, że przez przypadek trafiła w samo centrum sensacyjnych wydarzeń.

– Ciekawe, jak szybko dotrą tu paparazzi – rzekła, zanim jeszcze Bartnicki zdołał jej zadać pierwsze pytanie.

– Zważywszy na aurę, wydaje mi się, że nie należy się ich spodziewać zbyt prędko – odparł prokurator. – O ile w ogóle się tu pojawią...

– Oby! – wykrzyknęła entuzjastycznie Mrozowska. – Nawet pan nie wie, jaka to będzie afera! I ile darmowej promocji wszędzie! W końcu ta dziewczyna to był ktoś znany, prawda? A takim media nie odpuszczają! Nawet po śmierci! I to zwłaszcza takiej! Mam nadzieję, że Kinga i Miłosz już puścili pierwsze relacje. Jak tylko skończymy, muszę im udzielić wywiadu o tym przesłuchaniu. – Karina przyjęła pozycję na krześle, jakby pozowała do zdjęcia.

Darski, błogosławiąc w duchu własną przezorność, że akurat tej dwójce dziennikarzy kazał od razu zabrać wszystkie urządzenia elektroniczne, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Sandra Klejnocka, dając się zamordować, sprawiła Mrozowskiej największy możliwy prezent. W duchu zobaczył nawet Karinę wręczającą bukiet kwiatów mordercy w jego drodze na ścięcie.

– Wróćmy może do tego, co działo się tego wieczoru – zaproponował, przypominając sobie, że w Polsce nie ma kary śmierci, a poza tym prawie nigdzie nie ścina się już skazańców. – Z tego, co zeznali inni, wiemy, że nie opuszczała pani sali balowej przez całą godzinę, która jest dla nas najważniejsza.

– Całe szczęście, czyż nie?! Przecież gdybym była podejrzana o popełnienie morderstwa, to pewnie nie zatrudniliby mnie w „Tańcu z Gwiazdami”. Choć... – Zamyśliła się na moment. – z drugiej strony, podniosłoby im to oglądalność, prawda? Mogłabym zatańczyć w parze z Michałem Wiśniewskim! Jego też ostatnio za coś skazali... Już nie pamiętam za co... A teraz sambę zatańczy para skazańców. W finale wystąpilibyśmy w pasiakach. To by było fajne!

Darski popatrzył na zafascynowanego Kariną Bartnickiego, którego najwyraźniej lekko zamurowało i w związku z tym nie palił się do zadania kolejnego pytania. On sam był na tyle uodporniony na idiotyzm celebrytów, że takie wystąpienia nie robiły już na nim żadnego wrażenia. W końcu swego czasu przetrwał przesłuchanie Klaudii Hutniak, która przez pół godziny opowiadała mu, że dostała przekaz od swoich opiekunów z bliźniaczej w stosunku do naszej galaktyki, aby połączyła się z „pierwotną energią powtarzających się cykli życiowych” i w związku z tym koniecznie zaczęła przeżuwać liście kakaowca. Skoro po czymś takim nie wylądował na kozetce u psychoanalityka, to tym bardziej Karina nie mogła go niczym wyprowadzić z równowagi.

– Pani narzeczonego nie było za to na sali dość długo, prawda? – Darski kontynuował przesłuchanie, pozwalając prokuratorowi spokojnie ochłonać.

– Po pierwszym tańcu rozbolał go bardzo bark – wyjaśniła Mrozowska, odrywając się z trudem od kuszącej wizji występów na parkiecie u boku lidera zespołu Ich Troje. – Julek zaproponował, że mu go rozmasuje. Bardzo chciałam zatańczyć walca, a w takim stanie misiaczek nie dałby rady. Miłosz obiecał mi, że to nagra i umieści u siebie na socjalach... On ma bardzo duże zasięgi. Zwłaszcza odkąd wystąpił w „Love Island”, porobił się i puścił pawia. Trudno o lepszy viral. Na TikToku obejrzało to już ponad sto milionów ludzi!

– Miłosz to, przepraszam, kto? – zapytał z pewnym wysiłkiem Bartnicki.

– Dziennikarz Tele-Polu. – Karina popatrzyła na niego ze szczerym zdziwieniem. – Miłosz Pluciński. Wszyscy go znają.

– Jakoś nie obito mi się o uszy – zlekceważył ważność tej medialnej postaci prokurator.

– Dziwne... – W głosie Mrozowskiej słychać było dezaprobatę. – W każdym razie misiaczek i Julek poszli do naszego pokoju, a ja rozmawiałam z Miłozsem i Kingą z „Koktajlu”.

– Nie zauważyła pani nic podejrzanego?

– Niestety nie – przyznała z żalem Karina. – Bardzo tego żałuję.

– My też...

– Chociaż... Była jedna rzecz... – Tancerka przez chwilę rozkoszowała się zainteresowaniem obu rozmówców. – Robiłam sobie makijaż przed balem w łazience, bo tam było najlepsze światło, i nagle usłyszałam jakieś głosy. Zdziwiłam się, ale po chwili pomyślałam, że to stary budynek i pewnie już się rozpada. Wszędzie są szpary i wszystko daje się podsłuchać.

– Rozpoznała pani te głosy?

– Tak. To byli Wellmanowie. Kłócili się! Uwierzylibyście?! Ona krzyczała coś o jakiejś wywłoce i o tym, że nie da się szantażować, a on ją uspokajał i mówił, że postara się jakoś to załatwić. Na co ona powiedziała, że sama to zrobi, bo

zawsze wszystko musi brać na swoje barki, i że bez niej to on nie umie skorzystać nawet z papieru toaletowego. Trochę to obrzydliwe, nie sądzicie?

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy założyć, że kłótnia ministra i jego żony dotyczyła Małgorzaty Jarosławowicz – podsumował Bartnicki, kiedy rozszczebiotana i upajająca się sensacją Karina opuściła pokój. – Zero nowości. Bardziej interesuje mnie, co robił ten jej misiaczek...

– Podejrzewam, że znam odpowiedź na to pytanie... – mruknął pod nosem komisarz.

W czasie swoich zeznań Marcin wił się niczym przypiekany piskorz, ale do końca upierał się przy wersji z nadszarpniętym barkiem. Za to Julian już na początku powiedział dokładnie to, czego Darski spodziewał się usłyszeć od jego poprzednika.

– Poszliśmy na górę, żeby się pieprzyć – przyznał obojętnym tonem, po czym lekko się zreflektował. – To znaczy, przepraszam, uprawiać seks. Poprzedniego dnia pokłóciliśmy się, ale potem w trakcie balu wyjaśniliśmy sobie wszystko i poszliśmy to uczcić.

Darski popatrzył na niego uważnie i po chwili zrozumiał, skąd bierze się u niego ta zaskakująca szczerość. Zamirski czuł dumę z tego, co mówił, i najwyraźniej był bardzo zadowolony, że okoliczności zmuszają go do ujawnienia czegoś, co normalnie pewnie zmuszony byłby trzymać w tajemnicy.

– Pokłóciliście się... O co?

– O przyszłość naszego związku.

– Związku...? – zdziwił się Bartnicki. – O ile mi wiadomo, pan Prusik jest w związku z panią Mrozowską...

– A tam! – Na twarzy Juliana pojawił się pogardliwy uśmiezek. – To tylko przykrywka.

– Po co? – zapytał Darski. – Przecież we współczesnym show-biznesie...

– Wolne żarty! – prychnął Zamirski. – Nie w naszym! W naszym wszyscy muszą mieć żony, dzieci, pieski, kotki, rybki i ładnie wychodzić na świątecznej sesji w „Koktajlu”. A Marcin to tchórz. Boi się własnego cienia, a co dopiero skandalu.

– I o to się pokłóciliście?

– Tak.

– Dlaczego tutaj? – zapytał Darski, nie spuszczać wzroku z chłopaka.

– Słucham? – nie rozumiał Zamirski.

– Co takiego się wydarzyło, że doszło między panami do konfliktu akurat teraz? – doprecyzował komisarz. – Jak podejrzewam, mieliście wiele okazji, aby przegadać tę kwestię, a do Klepaczowic pan Prusik przyjechał ze swoją, jak to pan uprzejmie nazywa, przykrywką, i raczej chyba nie oczekiwał pan, że będziecie tutaj romansowali na jej oczach...

– Zaszły pewne okoliczności... – Julian stracił na animuszu. – Wydarzyło się coś...

– Co? – Głos Darskiego zabrzmiał ostrzej niż poprzednio.

– Staliśmy się obiektami szantażu – przyznał Zamirski niechętnie, jakby dopiero teraz orientując się, że w swojej szczerości posunął się ciut za daleko.

– Ze strony...?

Chłopak przez moment milczał, ale potem najwyraźniej doszedł do wniosku, że skoro powiedziało się „a”, trzeba też powiedzieć „b”.

– Sandry Klejnockiej.

– Jak to? – Bartnicki nie umiał powstrzymać emocji.

– To było mniej więcej dwa tygodnie temu. Sandra, którą już wtedy znaliśmy i mieliśmy od niej zaproszenie na ten bal, przysłała do klubu, w którym się bawiliśmy. Była z jakimiś swoimi przyjaciółkami. Ona zachowuje się przez cały czas jak mniszka, więc kiedy jej znajome się porobiły i zaczęły lambadziarzyć, odłączyła się od nich i szwendała bez sensu po klubie. No i przyłapała nas w dość jednoznacznej sytuacji. Zauważyliśmy, że nas widzi, pobiegliśmy za nią, chcieliśmy przekonać, żeby trzymała język za zębami. Nie dała się przekonać. Postawiła nam ultimatum: albo powiemy wszystko Karinie, albo się rozstaniemy. Jeśli nie, ona uświadomi ją za nas. Mnie to w ogóle nie przeszkadzało, żeby się ujawnić, ale Marcin wpadł w panikę. Zbyt się bał, że Karina wszystko rozgłosi w mediach. Tutaj mieliśmy drugą szansę, żeby Sandrę przekonać do zmiany zdania, ale się znowu nie udało. Choć próbowałem...

– I to stało się zarzewiem kłótni między panami?

– Owszem. Marcin powiedział, że powinniśmy się rozstać i że kariera jest dla niego najważniejsza. – Julian skrzętnie pominął wszystkie groźby pod adresem Klejnockiej, jakie tamtego wieczoru usłyszał od swojego kochanka.

– Ale, jak pan wspomniał, dziś udało się wam dojść do porozumienia...

– Tak. Jak zwykle to ja musiałem ustąpić. Ustaliliśmy, że przestaniemy się widywać na kilka miesięcy, w czasie których Marcin wywiąże się ze swoich kontraktów. A potem zobaczymy, co dalej...

– Nie za bardzo rozumiem... – wyznał Bartnicki. – Przecież mogliście powiedzieć Sandrze, że zerwaliście, i nadal się spotykać. Skoro i tak robiliście to do tej pory w tajemnicy, to by się nie zorientowała.

– Chyba pan żartuje! – Zamirski popatrzył na niego bez mała ze zgrozą. – Przecież częścią konsorcjum, które Sandra odziedziczyła po ojcu, jest najlepsza w naszym kraju agencja detektywistyczna. Jestem pewny, że od kiedy nas tylko przyłapała, natychmiast kazała nas śledzić. Dlatego od tego czasu w ogóle się nie spotykaliśmy, aż do przyjazdu tutaj. Nawet i bez tego miałem wieczne wrażenie, że ktoś za mną łązi...

– Myśli pan? – zapytał z powątpiewaniem Darski.

– Nigdy pana nie zastanowiło, dlaczego Klejnockiemu tak dużo rzeczy się w życiu udawało? – prychnął gniewnie Julian. – Ten, kto ma wiedzę, ten ma władzę i pieniądze. A ojciec Sandry wiedział wszystko o wszystkich. I przed śmiercią przekazał tę wiedzę córce. Ogromną wiedzę!

Jeśli Bartnicki i Darski uważaliby, że Julian nieco wyolbrzymia wszechwiedzę Klejnockich, to zeznająca jako kolejna Lucyna natychmiast potwierdziła słowa swojego poprzednika.

– Nikt, kto w tym kraju dorobił się jakiegokolwiek pozycji i majątku, nie uniknął infiltracji przez agencję Stanisława – oznajmiła stanowczo. – Tam pracują nie tylko detektywi, ale też prawnicy od szemranych spraw i hakerzy, których nazywają eufemistycznie specjalistami od IT. Tydzień po tym, jak założyłam pierwszą swoją klinikę, Klejnocki wiedział o niej wszystko. Tudzież o mnie. Nie żebym się czegoś w życiu wstydziła, ale każdy ma ciemne karty, o których niekoniecznie chce, aby wiedział zaraz cały świat.

– A co to jest w pani przypadku? – zapytał wprost Bartnicki, absolutnie nie wierząc w zapewnienie Gąssowskiej, że nie ma się czego wstydzić.

Darski pogratulował mu intuicji, bo Lucyna zachnęła się gniewnie.

– Oczywiście, może pani nie odpowiadać – zapewnił obłudnie prokurator. – Choć zapewne i tak w trakcie śledztwa się do tego dogrzebiemy, więc...

– Nie wiem, czy dalibyście radę – odparowała ze złością. – Ale proszę bardzo, pracowałam w młodości jako... dama do towarzystwa. Przez kilka lat. Zbierałam środki na założenie firmy i kiedy tylko oszczędziłam odpowiednią kwotę, natychmiast rzuciłam to zajęcie. Potem zrobiłam wszystko, aby nikt nigdy nie dowiedział się o tym, w jaki sposób zdobyłam fundusze na rozkręcenie biznesu. Jednak oczywiście Klejnocki się tego dogrzebał. W czasie pandemii bardzo mi spadły dochody. Wiecie panowie, jak nie wolno było wychodzić z domu, to tym bardziej nikt nie odwiedzał salonów piękności. Żeby utrzymać firmę, musiałam zaciągnąć długi. Stanisław sam mi zaproponował pożyczkę, żebym nie płaciła odsetek w bankach. Tak przynajmniej mówił na początku. Z wdzięcznością przyjął jego propozycję. Gdy doszło do podpisywania umowy, okazało się jednak, że brzmi ona zupełnie inaczej, niż ustalaliśmy, ma wysokie odsetki i krótkie terminy spłat, a nawet zawyżoną kwotę pożyczki. Gdy oburzona odmówiłam jej podpisania, Klejnocki zagroził ujawnieniem mojej przeszłości. Nie miałam wyjścia. Zresztą ze Stanisławem dawało się jakoś dogadać. Był, jak to się mówi, starej daty. Bezwzględny w interesach, nawet tych szemranych, ale jednocześnie szarmancki i kulturalny. Jeśli się z nim dobrze żyło, to niczego człowiekowi nie brakowało do szczęścia. Zresztą w ostatnich latach

znacznie złagodniał. Nadal lubił wszystko wiedzieć, ale rzadko to już wykorzystywał, a swoje wierzytelności egzekwował bez zbędnego nacisku...

– I całą tę wiedzę po ojcu odziedziczyła jego córka... – bardziej stwierdził, niż zapytał Darski, nie spuszczać oka z Gąssowskiej.

– Tak – potwierdziła Lucyna. – Choć dopiero się pewnie w tym rozeznawała. Biedactwo.

– Nie sądzi pani, że ktoś mógł się poczuć zagrożony zmianą warty na stanowisku, nazwijmy to, strażnika tajemnic...?

– Co ma pan na myśli?

– Sama pani wspomniała o tym, że w ostatnich czasach Klejnocki znacznie złagodniał i nie korzystał z zebranych informacji. Jego córka niekoniecznie musiała kontynuować tę strategię...

– Nigdy się tego już nie dowiemy, prawda? – Lucyna popatrzyła na niego wymownie. – Ktoś się o to skutecznie postarał.

– No właśnie. Między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą kilkakrotnie opuszczała pani salę balową. – Darski gwałtownie zmienił temat. – Mógłbym zapytać, w jakim celu?

– Dręczyły mnie spore problemy natury fizjologicznej – wytłumaczyła z godnością Gąssowska. – Prawdopodobnie przeziębiam sobie pęcherz. Mam nadzieję, że nie muszę przed panami rozwijać tego tematu...

O ile zeznania Mario i Miśki nie wzbogaciły wiedzy, przynajmniej tej Darskiego, o żadne specjalne nowości, o tyle przebieg rozmowy z Wellmanem zaskoczył ich obu. Jakub nie tylko bowiem odmówił składania jakichkolwiek zeznań, ale jeszcze w dość mało zawoalowany sposób dał do zrozumienia, że choć drobna próba zmuszenia go do zmiany zdania w tym względzie sprawi, że odwoła się on do swojego „bliskiego przyjaciela”, czyli ministra sprawiedliwości. Patrycja poszła w ślady męża, tyle że bez formułowania żadnych gróźb.

– Dziwne – mruknął Bartnicki. – Aż mnie coś kusiło, żeby jednak trochę ich ponaciskać.

– Na pana miejscu nie narażałbym się aż tak – ostrzegł Darski. – Chyba chce pan w spokoju rozwiązać tę sprawę, a nie marnować czas na własnych dyscyplinarkach. Trudno. Takie życie. Jak się nie ma, co się lubi... – Zawiesił głos. – To co? Bierzemy się za rodzinę Bursztynowiczów? Bo zostali nam oni, dziennikarze i Jaromir Majcher. Choć... Szczerze mówiąc, nie widziałem go przez cały wieczór. Może wyjechał stąd przed balem. Trzeba byłoby zapytać pani Eugenii, bo to ona go tutaj zatrzymała.

– Trzecia trzydzieści – zauważył Bartnicki, ziewając. – Ja mam dosyć. Myślę, że pojedę chwilę się przespać i jutro tak od południa możemy kontynuować...

– Ja bym zaspokoił ciekawość jeszcze tylko co do jednego faktu. – Darski spojrział na niego prosząco. – Bo mnie to męczy. Kogo spoliczkowała Maria Bursztynowicz?

– To możemy zrobić – zgodził się Bartnicki, po czym skinął na policjanta doprowadzającego do pokoju kolejnych świadków. – Proście ją.

Maria nawet nie próbowała ukrywać zdenerwowania.

– Wszystko to jakiś koszmar... – wyjęczała, kiedy komisarz zapytał ją, na kim poprzedniej nocy wyładowała swój gniew. – Przygotowania, to, co się wydarzyło...

– Rozumiem – przerwał jej łagodnie Darski. – Jednak chciałbym wiedzieć...

– Moja matka... – Maria zdawała się przebywać we własnym świecie. – Tylu ludzi uważa ją za cudowną, ale dla mnie zawsze była kimś obcym... Nigdy się mną nie zajmowała, a potem miała pretensje o wszystko, co według niej źle zrobiłam. Ale skąd miałam wiedzieć, co jest dobre, a co złe, skoro mi tego nie pokazała, nie nauczyła...

– Pani Mario... – Darski ponownie wpadł jej w słowo. – Zadaliśmy pani pytanie...

– Wszyscy mnie tu irytują. – Bursztynowicz potoczyła błędnym wzrokiem po pokoju. – Jeszcze ten pałac... Jest w nim coś przerażającego... I moja matka, która umie się tylko czepiać... Nawet teraz, kiedy obie jesteśmy stare, nadal potrafi doprowadzić mnie do furii... To nie moja wina... Nie chciałam...

– Osobą, którą pani spoliczkowała, była pani mama?! – zapytał z niedowierzaniem Darski.

– Tak, to chyba oczywiste... – Maria popatrzyła na niego półprzytomnie. – Nie śmiałabym uderzyć nikogo innego. Tylko ona doprowadza mnie do stanu, kiedy tracę nad sobą panowanie. Nawet nie żałuję... Zasługiwała... Prosiłam, błagałam, żeby się uciszyła. Ale ona nie chciała... Miałam białą mgłę przed oczami. Nie wiedziałam, co robię...

– O co paniom poszło? – usiłował doprecyzować prokurator.

– Czy to ważne? – Maria przyłożyła sobie dłoń do skroni. – Czuję, że zaraz nadejdzie migrena... Sprawy rodzinne... Już nawet nie pamiętam... Zapytajcie ją, ma lepszą pamięć... Ja... Naprawdę już dzisiaj nie mogę... Proszę!

– W sumie to ja w pełni podzielam jej odczucia – westchnął Bartnicki, zamykając chwilę później drzwi za Bursztynowicz. – Ja też już nie mogę.

– Myślę, że wszystkim nam się przyda choć chwila odpoczynku – zgodził się Darski. – Od rana czeka nas bardzo intensywny dzień.

Rozdział X

Darski od dawien dawna najlepiej porządkował w głowie informacje wtedy, kiedy komuś o swoich śledztwach opowiadał, nawet bez identyfikacji ich bohaterów. Z reguły była to jego mama, która te synowskie opowieści uwielbiała i uważała za o wiele lepsze od nawet najciekawszych książek kryminalnych. W końcu tam miała do czynienia z fikcją, tu zaś z tym, co zdarzyło się naprawdę. Drugą osobą, z którą komisarz często omawiał swoje sprawy, była jego narzeczona. Teraz jednak była prawie czwarta nad ranem, więc obie najważniejsze kobiety w jego życiu spały, a dodatkowo ta druga była na niego z różnych przyczyn sfochowana. Obudzenie ich nie wchodziło w rachubę. Jednak Darski, po pierwsze, nie czuł się senny, a po drugie, miał wielką potrzebę przegadania tego, czego słuchał przez ostatnie godziny. Dlatego bez mała krzyknął z radości, kiedy zauważył światło pod drzwiami pokoju Mario. Zapukał, po czym słysząc zachętę, wszedł do środka.

– Mogę wam przeszkodzić? – zapytał nieśmiało. – Czy chcecie już spać?

– Przeszkadzaj – łaskawie zezwolił mu Mario. – Naprodukowaliśmy tyle adrenaliny, że prawdopodobnie zaśniemy za jakieś dwa, trzy dni...

– W zasadzie nie muszę o to pytać po tym wszystkim, co razem dotąd przeżyliśmy – zaczął ostrożnie komisarz. – Ale czy jeśli teraz złamię przepisy i co nieco z wami przegadam, to...

– ...nie doniesiemy na ciebie do przełożonych? – wpadła mu w słowo Miśka. – Oczywiście, że nie!

– Nie o to mi chodziło – rzekł Darski. – Tego to akurat jestem pewny. Chodzi mi o to, czy nie powiecie o tym nigdy Róży. Jeśli się dowie, że robię coś nieregulaminowego, to przy następnej okazji wyłupi mi tym oczy i uzna za świetny pretekst do wejścia mi na głowę...

– Wtedy raczej daleko nie zajdziecie – parsknął Mario.

– Nie rozumiem?

– Jeśli Róża ci wejdzie na głowę, a ty będziesz miał wyłupione oczy, to rozwalicie się na pierwszym zakręcie...

– Bardzo zabawne. – Darski popatrzył na niego z politowaniem. – Słuchajcie, bo jestem po prawie wszystkich przesłuchaniach, poza kilkoma wyjątkami, i mam

wrażenie, że coś mi umyka. Coś ważnego i sam nie wiem co. Może dlatego, że jest już późno.

– To opowiadaj – zachęciła go Miśka. – Nawet mogę ci zrobić herbatę, żeby ci w gardle nie zaschło...

– Herbata wysusza gardło – pouczył ją Mario. – Zaparz mu rumianku...

– Macie rumianek? – zdziwił się Darski. – W takim razie poproszę...

– Mamy, bo przecież odkąd maestro dowiedział się, że dobrze działa na włosy i paznokcie, to wozimy go w ilości hurtowej – wyjaśniła zjadliwym tonem Miśka. – Poprzednim szaleństwem był jakiś tam gnojnik...

– Gojnik! – poprawił Mario.

– Ale zaległy się w nim mole i zjadły mu Mc-Queena – dokończyła Miśka.

– Zjadły... co? – zdumiał się jeszcze bardziej Darski.

– Nie co, tylko kogo – oburzył się Mario. – A właściwie to co i od kogo. Marynarkę od Alexandra McQueena, dokładnie taką, jaką miał Timothée Chalamet na premierze „Diuny”.

– Za którą zapłaciłeś piętnaście tysięcy – wypomniała mu Miśka.

– Ile?! – Darski zrobił wielkie oczy.

– Piętnaście tysięcy – powtórzyła Szustek. – Euro!

– Serio? – zdziwił się Mario. – To dlatego przez pół roku miałem taki koszmarny debet na koncie. A ja myślałem, że pani z infolinii banku tak polubiła mój głos, że codziennie do mnie wydzwania, kiedy coś tam spłacę. Jakieś tam odsetki od odsetek innych odsetek... Kto by się w tym wszystkim połapał?!

– Komornik, który przyjdzie cię zlicytować za te garnitury zjedzone przez gnojnikowe mole – westchnęła Miśka. – Dawaj, Krzysiu, opowiadaj, a ja ci zrobię ten rumianek...

Darski wyjątkowo rozsądnie i rzeczowo, zwłaszcza zważywszy na porę, streścił przebieg przesłuchań. Miśka, nie tracąc ani słowa z jego opowieści, przygotowała trzy napary rumianku, błogosławiąc w duchu własną przezorność, że do bagażu wrzuciła nie tylko ulubioną herbatkę przyjaciela, ale także dwa kubki, dzięki czemu miała jak przygotować napitek dla trzech osób.

– Jesteście pewni, że morderstwa nie dokonał nikt z zewnątrz? – zapytała, stawiając kubki i filiżankę na szafce nocnej stojącej przy łóżku Mario, na którym przysiadł Darski.

– Funkcjonariusz, który oglądał nagrania z monitoringu, twierdzi, że nie. Ale kamery są tylko z przodu pałacu. Od ogrodu ich nie ma. Tyle że aby dostać się na teren posiadłości od tamtej strony i nie uruchomić alarmu, trzeba byłoby przefrunąć nad murem. A i wtedy pewnie też alarm by zawył, bo on działa na fotokomórkę. Sprawdziliśmy, był włączony przez cały wieczór. Można z prawie

stuprocentową pewnością założyć, że morderca znajdował się tego wieczoru w pałacu.

– No to... – przerwał Mario, pociągając nosem. – Jakoś dziwnie dzisiaj pachnie ten rumianek... Czego do niego naprawdę dosypałaś? Przyznaj się. Canabisu czy melisy?

Miśka popukała się w czoło i pokazała przyjacielowi pudełko po herbatce, na którym wielkimi literami było napisane, że zawiera również lawendę.

– Przypominam, że sam ją nabyłeś i zachwalałeś mi pół dnia walory tego trunku.

– Spróbujmy zobaczyć, kto ma alibi, a kto nie. – Kosek gładko pominął własną sklerozę i przeszedł do meritum. – Zaczęliśmy to rozkminiać już sami. Miśka, włączaj komórkę i notuj. Na pewno alibi nie ma Kłos, bo go w ogóle nie było na sali. Licho wie, po co w ogóle tu przyjeżdżał. Dziwak. Poza nim, nie mają go też Jarosławowicz, Garliński, Machnik, ci dwaj kochankowie spod ciemnej gwiazdy, Prusik i Zamirski, Gąssowska i Karpowicz. No i Wellmanowie.

– Serio? – zapytała Miśka. – Wydawało mi się, że tańczyli ze sobą przez całą tę godzinę.

– Guzik prawda. – Mario pokręcił głową i znowu pociągnął nosem. – W pewnym momencie zeszło nam z Genią na politykę. Czegoś tam nie mogliśmy sobie przypomnieć i chcieliśmy ministra zapytać, ale go nie było. Jego żony zresztą też nie.

– OK, wpisuję oboje na listę osób bez alibi – zgodziła się Miśka, po czym podejrzliwie popatrzyła na Mario, który wstał z łóżka i ze zmarszczonymi brwiami zaczął iść w stronę wnęki. – Można wiedzieć, co ty wyprawiasz?

Kosek położył palec na ustach, nakazując jej milczenie. Sam na palcach przeszedł do ściany i lekko ją pchnął.

– Byłem pewny! – zakrzyknął na widok osoby stojącej w tajnych drzwiach. – Idzie cię wyczuć na kilometr... A ta mi usiłowała wcisnąć, że to lawenda!

– Wiedziałam, że powinnam była się powstrzymać. – Eugenia nawet nie próbowała udawać zawstydzenia. – Ale nałogi zawsze brały nade mną górę. Mogę wejść...?

– Skoro pani musi. – Darski z dezaprobatą pokręcił głową. – To zapraszam. Rozumiem, że i tak wszystko pani podsłuchała.

– Większość – przyznała Krasucka bez cienia zażenowania. – Kochanie – zwróciła się do Miśki – dla mnie też rumianeczek, jeśli będziesz taka uprzejma. – Starsza pani usiadła na jedynym fotelu. – No, proszę, proszę! Nie przeszkadzajcie sobie. Całkiem nieźle wam idzie.

– Ja nie wiem, czy mogę... – zaczął niepewnie Darski, ale Eugenia nie pozwoliła mu dokończyć.

– Po prostu udawaj, że mnie tu nie ma – zaproponowała z figlarnym uśmiechem. – W końcu według średniej statystycznej powinnam umrzeć jakoś na dniach, więc to tak, jakby mnie już tu nie było. Poza tym przypominam, że za sprawą Mariuszka mam murowane alibi, więc ma pan pewność, że nie zdradza niczego morderczyni. Nie mówiąc już o tym, że jestem z was wszystkich najbardziej doświadczona i, jeśli się nie oburzycie, powiem wprost, że najinteligentniejsza.

– Oraz najskromniejsza – mruknął Mario.

– Och, kochany! – Eugenia rzuciła mu pobłażliwe spojrzenie. – Skromność jest z reguły cechą na pokaz osób o rozdętym ego, takich, które lubią słyszeć, jak inni je chwala, i się tym w skrytości ducha upajają. Ja zawsze uważałam ją za zbyt przecenianą. Trzeba znać swoją wartość i się zgodnie z nią cenić. Proszę, kontynuujcie. Ja tylko ułatwię wam zadanie i powiem, że Wellmanów nie było na sali przez dwanaście minut. Ona wyszła jako pierwsza, on mniej więcej dwie minuty później. Wrócili razem. Poza tym nie bierzcie czegoś pod uwagę. Bardzo istotnego.

– Czego? – zapytał Darski.

– Śniegu – odparła Eugenia. – Padało, a ciało niedoszej żony mojego wnuka znaleziono na zewnątrz. Co oznacza, że na kogokolwiek, kto ją tam umieścił, musiał napadać śnieg. Szukacie więc osoby, która wróciła na bal z wilgotnymi włosami albo uczesaniem zmienionym przez nakrycie głowy. Oczywiście w przypadku niektórych fryzur kaptur dużo nie zmienia, ale czasem daje się zauważyć różnicę...

– I pani ją zauważyła? – zaciekawiał się komisarz.

– Owszem, w kilku przypadkach rzucała się w oczy. – Eugenia pokiwała głową. – Na przykład ci dwaj młodzieńcy, którzy mają się ku sobie. Jeden z nich, kiedy wychodził, miał z tyłu gładko przyczesane włosy, a wrócił z istnym kołtunem. Drugi z kolei rzucił mi się w oczy, bo miał takie fikuśne, opadające na czoło loczki. Ale kiedy ponownie go ujrzałam na sali balowej, miał je przylizane do tyłu. Ale jak rozumiem, oni akurat nie mordowali Sandry, tylko siebie nawzajem...

– No to się jeszcze okaże – mruknął Darski. – Ktoś jeszcze?

– Madame Frankenstein – odpowiedziała Eugenia.

– Gąssowska – wyjaśnił szybko Mario, widząc minę komisarza. – To taka ksywka, którą jej nadaliśmy, bo...

– Kiedy po powrocie na salę przechodziła obok nas, miała wilgotną grzywkę – przerwała mu Krasucka. – Tylko grzywkę, reszta była sucha. A to oznacza, że albo myła twarz i chlapnęła sobie na nią wodą, albo miała nie do końca nasuniętą

kaptur i kilka płatków śniegu spadło jej na włosy. Nie chcę tu ferować jednoznacznych wyroków.

– Poczekajcie, złożmy to do kupy – poprosiła Miśka, podając starszej pani filiżankę z rumiankiem. – Bo mnie się wydaje, że zanim jeszcze wzejdzie słońce, dojdziemy do tego, kto jest mordercą. Na razie dokończmy listę osób bez alibi. – Otworzyła notatnik w komórce. – Przypominam: Kłos, Jarosławowicz, Garliński, Machnik, Prusik, Zamirski, Gąssowska, Karpowicz, Wellmanowie...

– Ty – przypomniał Mario.

– Zgoda. Jeśli mamy być fair, to musimy wpisać do tego zestawienia też i mnie – zgodziła się Szustek.

– Nie wygłupiaj się – poprosił Darski. – Przecież wiem, że ty jesteś poza podejrzeniami...

– Serio? – Miśka popatrzyła na niego z przekornym błyskiem w oczach. – A skąd wiesz, czy na przykład nie wprosiłam się na bal tylko po to, aby dostać się do pałacu i móc go spokojnie obszukać? Może znajduje się tu coś o ogromnej wartości, o czym wiem jedynie ja i co chciałam zdobyć, a Sandra mnie na tym przyłapała? A może...

– Wiesz, co jest w tym najgorsze? – przerwał jej komisarz. – Że mam wrażenie, iż to, co wymyślasz na poczekaniu, wydaje mi się bardzo prawdopodobnym powodem do morderstwa...

– Serio? – zdziwiła się Miśka.

Komisarz pokiwał głową.

– No proszę – stwierdziła Szustek z dumą w głosie. – Zawsze wierzyłam w to, że jestem wielce mądra...

– Tylko mi tu nie pęknij z dumy – prychnął Mario. – Skoro nasz przyjaciel uważa, że jesteś niewinna, to znaczy, że jesteś i kropka. Ja też tak uważam. Jeśli się mylę i z sobie tylko znanych względów mordujesz niewinnych ludzi, wykorzystam to w praktyce i dam ci zlecenie na Iwkę.

– Może jednak wróćmy do śledztwa – zaproponował Darski. – Kto jeszcze nie ma alibi poza tymi, których wymieniłaś?

– Niestety również Ignacy. – Miśka niepewnie zerknęła na Eugenię, ale ta obojętnie wzruszyła ramionami. – Ani pani córka.

– Maria opuszczała salę balową? – zdziwiła się Krasucka. – Wydawało mi się, że przez cały czas podpierała ścianę pod tym portretem pawiana...

– Jakiego znowu pawiana? – zdziwił się Mario.

– Jakiegoś tam generała. Wygląda jak gerezanka. Ogon ma jak ta lala. Gdy pierwszy raz zobaczyłam ten portret, to odruchowo zaczęłam na nim szukać gałęzi, na której się buja... Dziwię się, że żona nie wzięła nocą brzytwy i nie pozbawiła go tej wątpliwej ozdoby. Ale może miała skłonności do zoofilii... Mam

koleżankę, której mąż wyglądał jak leniwiec, a ona uważała, że jest ładniejszy od Brada Pitta...

– Owszem, wychodziła. – Miśka przerwała jej dywagacje o urodzie sportretowanego wojskowego i dziwacznym guście jego potencjalnej ślubnej. – Nie było jej nawet dość długo. Co najmniej kilkanaście minut...

– To nie mogło trwać aż tyle – zaoponowała Eugenia. – Przecież bym zauważyła...

– No może kilka... – ustąpiła Szustek bez przekonania. – Wszyscy tam się kręcili, wychodzili i wchodzili, więc głowy nie dam.

– Czy mamy zamkniętą już listę osób bez alibi? – zapytał Mario.

– Tak mi się wydaje... – zawahał się Darski. – Ile ich jest?

– Ze mną trzynaście – policzyła Miśka.

– Czyli dwanaście – rzekł stanowczo komisarz. – No, to teraz zobaczymy, kto miał jakie motywy...

– Najbardziej podejrzany wydaje mi się Kłos – ocenił Mario. – I zauważcie, że miał najwięcej czasu. Niby siedział w swoim pokoju, ale przecież zawsze mógł z niego wyjść. Nawet przez okno. Gzymy tutaj są takie, że nie wymagałoby to specjalnej sprawności fizycznej. Zresztą on wygląda na wysportowanego. Dziwne, bo pisarzom z reguły daleko do atletów...

– Serio? – Miśka spojrzała na niego z przekąsem. – A Adrian Bednarek? Albo Krzysztof Domaradzki? Z tego, co wiem, biegali w maratonach. O Łukaszu Orbitowskim już nawet nie wspominając. Poza tym fakt, że ty przebiegłeś ćwierćmaraton, nie daje ci jeszcze prawa osądzać innych...

– Istnieje coś takiego jak ćwierćmaraton? – zdziwił się Darski.

– Nie wiem. Mario po prostu przebiegł pół półmaratonu – wyjaśniła Miśka. – I doszedł do wniosku, że odniósł już tak wielki sukces, że zrezygnował z dalszego ciągu...

– Dostałem kolki! – zaprotestował Kosek z oburzeniem. – A ty mi kazałaś z nią biec dalej! Chciałaś mnie podstępem wykończyć i przejąć firmę!

– Możecie pokłócić się kiedy indziej? – przywołał ich do porządku Darski. – Co do Kłosa, zgoda. Jest podejrzany, zwłaszcza że nie chciał pokazać historii swojej wyszukiwarki.

– Też bym nie chciał... – mruknął półgębkiem Mario.

– Bo co trzy sekundy oglądasz tam co raz to inne porno – westchnęła zde gustowana Miśka.

– Nic z tych rzeczy. – Mario zgromił ją wzrokiem. – Ale i tak bym nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, na jakie strony wchodzę.

– No dobrze, Manuel może i nie ma alibi, ale czemu miałyby zabijać Sandrę? – zastanowiła się Eugenia. – Nawet nie wiem, czy oni się w ogóle poznali...

Manuel przyjechał tu na zaproszenie mojego wnuka. Znają się jeszcze z liceum, ale ostatnimi czasy jakoś ich kontakty osłabły.

– To prawda, ja też na razie nie widzę, by miał jakiś motyw – przyznał Darski.

– Za to jasna byłaby motywacja Wellmanów i Jarosławowicz. Jeśli chcieli zapobiec skandalowi, uciszenie Sandry było dobrym sposobem.

– Mogli się z nią przecież dogadać... – zasugerowała Miśka.

– Zdaje się, że Klejnocką niełatwo było do czegokolwiek przekonać – wyjaśnił Darski. – Zwłaszcza w kwestiach związanych z uczciwością w związku i ze zradami...

– Taaaak... – westchnęła Eugenia. – Na punkcie tego miała prawdziwego szmergla. Pamiętam, jak kiedyś przy stole powiedziała, że każdemu facetowi, który skacze na boki, z miejsca ucięłaby jaja.

– Gdyby zostało publicznie ujawnione, że sielanka Wellmanów to iluzja, ich reputacja rozsypałaby się w proch, co załamałoby ich interesy, a Jakub musiałby się pewnie w tempie przyspieszonym pożegnać ze stanowiskiem, jeśli nie w ogóle z polityką. A przecież wiadomo, że on ma chrapkę na dużo więcej...

– On czy jego żona? – zapytała ironicznie Eugenia. – Bo wydaje mi się, że jego ambicje nie sięgają dalej niż do wygodnego fotela, w którym mógłby spokojnie obejrzeć kolejny mecz z piwem w ręku...

– To w sumie obojętne – skwitował Darski. – Ona zawsze robi to, czego ona chce. Jeśli wydałaby wyrok na Sandrę, jej mąż po prostu by go wykonał bez słowa sprzeciwu.

– O ile starczyłoby mu odwagi – mruknęła z powątpiewaniem Eugenia. – Kiedy próbuję sobie wyobrazić scenę morderstwa w ich wykonaniu, jego widzę tylko na czatach. Za to ją spokojnie ze sztyletem... Czy czymkolwiek innym, czym można podciąć człowiekowi gardło.

– Nie wiem, jak można to sobie w ogóle wyobrażać. – Miśka wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Jarosławowicz też wygląda na zdolną do popełnienia zbrodni – zauważył w zamyśleniu Mario. – Kiedy ogląda się jej program, ma się wrażenie, że chwilami z trudem się powstrzymuje, żeby komuś nie przegryźć tętnicy.

– Interes w śmierci Sandry mieli też Prusik i Zamirski – kontynuował główny wątek Darski.

– Ale z tego, co mówiłeś, to również Gąssowska – dodała Miśka.

– Nie umiem za to wymyślić żadnej przyczyny, dla której morderczynią mogłaby być Karpowicz – rozważał dalej w zamyśleniu Darski. – W ogóle odnoszę wrażenie, że ona znalazła się tu przez przypadek. Przecież listę gości ułożyła nieboszczka wespół z pani wnukiem, prawda?

– Tak, i wreszcie jest dla mnie jasne, co miało na nią wpływ – przyznała Eugenia. – Po prostu Sandra chciała zgromadzić tu osoby, które mogła szantażować... Czy raczej, według jej pokręconej moralizatorsko logiki, sprowadzić na dobrą drogę. Bardzo niebezpieczna zabawa, muszę przyznać, i coraz mniej mnie dziwi, że zakończyła się tragedią. Ale akurat Anna to był mój pomysł, ja osobiście poprosiłam Ignacego, by ją zaprosił, bo bardzo chciałam ją poznać. Ot, taka fanaberia starszej pani, która chce dotknąć ulubionej aktorki...

– Uff, to wypisuję Annę z listy osób mających motyw. – Miśka popatrzyła na ekran telefonu. – Został nam Ignacy i pani Maria.

– Ignacy, owszem, miał powód – zdradziła z wyraźną niechęcią Eugenia. – Dziedziczy po Sandrze majątek...

– Jak to?! – zdumiał się Darski. – Przecież nie zdążyli wziąć ślubu!

– To prawda, ale Sandra już zmieniła testament i uczyniła go głównym spadkobiercą. Co więcej, on o tym wiedział. Więc – i mówię to z głęboką niechęcią – trudno o lepszy motyw. Wiadomo, że pobudki finansowe zawsze są najsilniejsze, a tu mówimy o milionach...

– Faktycznie... – Komisarz pożałował trochę, że wraz z prokuratorem zostawili sobie przesłuchanie Bursztynowicza na później, Ignacy bowiem, w świetle słów jego babci, stawał się obecnie jednym z najbardziej podejrzanych. – Zostaje nam jeszcze pani Maria...

– Moja córka muchy by nie skrzywdziła – parsknęła wzgardliwie Eugenia. – Nie żeby nie chciała, ale z pewnością nie wiedziałyby, jak się do tego zabrać. Poza tym to łagodna ciapa...

– Ale jakoś z wymierzeniem pani wczoraj policzka nie miała problemu – zauważył Darski, nie spuszczać z niej oka.

– Owszem, zdarzyło jej się. – Eugenia nie wyglądała na zaskoczoną wiedzą komisarza. – Ale trzeba przyznać, że sobie na to solidnie zapracowałam. Moja córka irytowała mnie przez całe życie tak bardzo, że nigdy nie umiałam się przy niej opanować.

– O co wam poszło tym razem?

– Jakiś idiotyzm... Wypominałam jej, że za bardzo chce kontrolować życie Ignacego. Zaczęła mówić, że zawsze lepiej dbać o swoje dzieci i przejmować się nimi nawet za bardzo, niż udawać, że się ich nie ma, tak jak robiłam to ja. Odparłam jej na to, że miała wiele przyszywanych cioć, a jak mnie było stać, to też przez pewien czas i niańkę, więc żeby nie przesadzała. Na co ona zaczęła mi wypominać jakieś idiotyzmy z dzieciństwa. Że nigdy nie miała choinki i takie tam pierdoły. Znowu mnie zirytowała. Chciałam, żeby się już przymknęła, bo od jej jazgotu zaczynała mnie boleć głowa, i powiedziałam, że i tak ma duże szczęście,

że jej nie wyskrobałam, bo na pewno miałabym teraz lepszy słuch. Wtedy mnie spoliczkowała. Przyznaję, że może trochę mnie poniosło...

– Trochę? – wydusił z siebie Mario, który mimo całej sympatii do Eugonii nie umiał znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla jej zachowania.

– Ja naprawdę nienawidzę tego jej biadolenia i robienia z siebie wiecznej cierpiętnicy. – Eugonia sięgnęła do kieszeni swetra. – Muszę zapalić. Trudno. Jak komuś to przeszkadza, możemy otworzyć okno...

– ...i zamarznąć – dokończył złośliwie Mario. – Trudno, pal. Od jednego papierosa jeszcze nikt nie umarł.

– No więc co do mojej córki, to nie wiem, jaki mogłaby mieć motyw – wróciła do tematu Krasucka, zaciągając się papierosem i patrząc na Darskiego. – Ale wierzę, że pan to sprawdzi...

– Kto nam został? – Miśka ponownie rzuciła okiem na ekran telefonu. – Garliński i Machnik. Mogli mieć jakiś interes w śmierci Sandry?

– Garliński coś kręci w sprawie pałacu – odparł Darski. – Mam wrażenie, że trzeba tu pogrzebać głębiej. Był masonem, i to w jednej loży z Jaromirem Majchrem. Starał się kupić ten pałac, potem zrezygnował, ale przy pierwszej nadarzącej się okazji tu przyjechał. Na kilometr pachnie mi to jakimś przekretem. Co do Machnik, trzeba ją będzie jeszcze raz przesłuchać, kiedy już dojdzie do siebie, bo dzisiaj nie dawało się do niej nijak dotrzeć.

– To mam ich wpisać na listę czy nie? – zapytała zniecierpliwiona Miśka.

– Może ich pogrupujemy? – zaproponował Mario. – Na tych, których motywy znamy, na tych, co ich nie mieli, i na tych, którzy mogli jakiś mieć, ale na razie nic o tym nie wiemy.

Szustek spełniła jego życzenie.

– Wynika z tego, że mamy w tej chwili siedem osób, które posiadały motyw i brak im alibi – zaraportowała.

Chciała coś jeszcze dodać, ale Mario wpadł jej w słowo.

– Zaraz, zaraz... – rzekł, marszcząc brwi. – A co z tym Jaromirem?

– No właśnie – ocknęła się też i Miśka. – Kompletnie o nim zapomnieliśmy... Na balu go nie było... Wyjechał wczoraj? Chyba nie...

– Pozwoliłam mu zostać w małym pokoju, który kiedyś musiał być pomieszczeniem dla pokojówki – wyjaśniła Eugonia. – Z rana jeszcze tam pochrapywał, ale potem faktycznie go już nie widziałam... Sprawdziliście?

– Jeszcze nie do końca, bo do oglądania nagrań z wszystkich kamer prokurator oddelegował jednego funkcjonariusza, w dodatku mocno niewyspanego... I on się skupiał raczej na tym, kto wjeżdżał do pałacu, a nie kto z niego wyjeżdżał. Tym niemniej rano to wyjaśnimy...

Mario ziewnął.

– I co nam dały te wszystkie rozważania? – zapytał, nie kryjąc lekkiego rozczarowania. – Bo jak dla mnie niewiele...

– A ja myślę, że więcej niż mogłoby się wydawać... – komentował tajemniczo Darski, który od dłuższego czasu skrolował coś na komórce.

– Jak cię znam, już masz jakąś teorię. – Miśka popatrzyła na niego uważnie.

– Możliwe...

– I nie puścisz pary z ust – dopowiedział Mario.

Komisarz pokręcił głową.

– Wszystko w swoim czasie – rzekł, wstając z łóżka. – À propos czasu, to chyba pora, abyśmy się choć przez chwilę zdrzemnęli... Od rana zapowiada się bardzo interesujący dzień.

Rozdział XI

Zapowiedź Darskiego spełniła się o wiele bardziej spektakularnie, niż można się było tego spodziewać. W pokoju Klejnockiej, ku rozpaczy prokuratora, który teraz pluł sobie w brodę, że nie postawił tam kogoś przed drzwiami, znaleziono zdjęty ze ściany obraz ze złamaną ramą, co uniemożliwiło jego ponowne zawieszenie, oraz poprzednio zasłonięty nim starodawny, opróżniony sejf z wyłamanymi drzwiczkami.

Kolejną niespodzianką był pusty pokój Wellmanów. Obejrzenie monitoringu pozwoliło odkryć, że minister wraz z żoną wyjechali kilka minut po siódmej rano. Bartnicki próbował się do nich dodzwonić, ale żadne nie odbierało. Po kilku minutach z prokuratorem połączył się za to jego własny przełożony i tonem nieznoszącym sprzeciwu zawiadomił go, że jeśli nadal będzie nagabywał ministra albo członków jego rodziny, zostaną w stosunku do niego wyciągnięte konsekwencje służbowe. Czyli mówiąc wprost, w trybie przyspieszonym zostanie delegowany na najbliższe sześć miesięcy nie bliżej niż do prokuratur w Kłodzku, a o awansie do okręgu może przestać już śnić. Nic się nie zdały zapewnienia Bartnickiego, że dzwoni do Wellmana w sprawie śledztwa. Szef przypomniał mu dosadnie, czym jest droga służbowa i jakie są konsekwencje jej nieprzestrzegania.

Jakby tego było mało, funkcjonariusz oglądający od rana już w nieco lepszym stanie umysłu monitoringi doniósł, że na żadnym z nich nie widać, aby Jaromir Majcher opuszczał pałac, a to oznaczało, że prawdopodobnie nadal w nim przebywa. Ponieważ liczba pomieszczeń w budynku, choć imponująca, była jednak ograniczona i w żadnym z nich nie znaleziono architekta, jego zniknięcie stało się kolejną zagadką.

– Mamy też pierwsze wieści od patologa – rzekł Bartnicki, który nie tylko ubłagał lokalnego lekarza sądowego o wykonanie sekcji w przyspieszonym tempie, ale jeszcze musiał obiecać butelkę whisky koledze z pokoju, by za niego na nią poszedł. – Podobno Sandra została zamordowana długim narzędziem o chropowatym ostrzu. Czymś w rodzaju sztyletu. W dodatku starym, bo w ranie miała ślady rdzy. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale w gablocie...

– ...na parterze leży kilka sztyletów – dokończył komisarz. – Owszem, widziałem. Odnotowałem też i to, że ta gablota jest otwarta i każdy mógł sobie wziąć jeden z nich.

– Dokładnie. Szkoda gadać... – przyznał zrezygnowany nieco Bartnicki, po czym chciał wezwać na przesłuchanie Ignacego, ale do pokoju, w którym siedzieli, wparował Manuel.

– To nie może czekać! – oznajmił, widząc, że prokurator zamierza go wyprosić.
– Proszę popatrzeć, co znalazłem! – Podsunął Bartnickiemu i Darskiemu swoją komórkę przed oczy.

Funkcjonariusze zgodnie wgapili się w ekran. Darski poczuł, że nic nie rozumie. Na smartfonie Manuela wyświetlone był coś, co skojarzyło mu się z jajkiem Fabergé.

– No i co z tym? – Głos prokuratora wyrażał identyczny brak zrozumienia.

Kłós niecierpliwie przejechał palcem po ekranie i wyświetlił kolejne zdjęcie, na którym to samo jajko miało otwarty środek, a wewnątrz znajdowała się złota statuetka przedstawiająca węża oplecionego na drzewie.

– Nadal nie wiem, co... – zaczął Bartnicki.

– To jest symbol założycielski Zakonu Węża – oznajmił uroczystym tonem Manuel. – Według tego, do czego udało mi się dogrzebać, wykonano ich trzy. Jeden otrzymał mistrz francuski, drugi jego kolega z Anglii, a trzeci ich polski odpowiednik. Wszystkie mają w tej chwili kolosalną wartość.

– Jaką? – spróbował uściślić Bartnicki.

– Trudno powiedzieć. – Kłós rozłożył ręce. – Ale wydaje mi się, że mówimy tu o milionach euro...

– Aż tak?!

– Co najmniej.

– Co się z nimi stało?

– W czasie drugiej wojny światowej jedno jajko trafiło do Niemiec i przez pewien czas znajdowało się w którymś z muzeów na wyspie w Berlinie. Potem zakon zdołał je wykraść. Drugie nigdy nie opuściło Zjednoczonego Królestwa, natomiast losy trzeciego nie są znane. Hitlerowcy go nie przechwycili, Sowieci też nie, bo po wojnie jeszcze pojawiają się o nim wzmianki. Najnowsza z nich wskazuje na to, że zostało ukryte w którejś z polskich posiadłości zakonu. Ich adresy są oczywiście tajne. Po sieci krążą tylko plotki. Jedna z nich pojawiła się mniej więcej wtedy, kiedy masoneria zaczęła się starać o kupno tego pałacu, i zgadnijcie, z jaką miejscowością łączy ją to jajko...

– Z Klepaczowicami – odpowiedział Darski.

– Bingo! Loża nie odkupiła pałacu, bo nie zgodziły się na to lokalne władze. Sprzedano go za to Jaromirowi, nawet nie sprawdzając, że też jest masonem...

– O to akurat nikt nikogo nie pyta – zaczął tłumaczyć urzędników Bartnicki, jakby był osobiście odpowiedzialny za przedmiotową transakcję. – Nie było tu żadnego niedopatrzenia...

– Być może. – Kłos przeszedł nad tą kwestią zupełnie obojętnie. – Moim zdaniem Jaromir nie robił tu żadnego wielkiego remontu, bo widać, jak tu wszystko wygląda, tylko po prostu szukał jajka. To jest pałac masonski, ma od groma i ciut-ciut skrytek, tajnych korytarzy, pomieszczeń, które nie są pokazane na planach. Żeby je znaleźć, najłatwiej byłoby wrzucić kilka granatów i liczyć na to, że jajko przetrwa wybuchy i będzie je można wygrzebać z popiołu. Do tego Majcher miał mało czasu na poszukiwania, bo nagle jakimś cudem objawił się prawowity właściciel i kazano mu iść stąd w diabły. Francuz nie szukał niczego, a po tym, jak spadł ze schodów, postanowił pozbyć się swojego spadku.

– No, powiedzmy, że swojego... – mruknął prokurator pod nosem.

– Słucham? – nie zrozumiał Manuel.

– Nic, nic, proszę kontynuować. Przynajmniej parę rzeczy się rozjaśnia...

– Takim sposobem pałac dostał się w ręce Bursztynowicza – dokończył Manuel. – I jego bliskich. W tym świętej pamięci Sandry... – zawiesił głos.

– Do czego pan dąży? – zapytał podejrzliwie Bartnicki.

– Jak panowie wiecie, nie było mnie wczoraj na balu – wyjaśnił pisarz. – Ale tuż przed nim spotkałem Sandrę na schodach i zwróciłem uwagę na to, co miała wpięte w suknię, tuż przy ramięczku... Nie uwierzycie mi zapewne, ale wiem, że dziennikarka „Koktajlu” robiła zdjęcia, bo przez cały obiad unikałem ich, jak tylko mogłem. Zawołajcie ją i poproście, żeby pokazała wam zdjęcia Sandry.

– Nie musimy – domyślił się Darski. – Sandra miała wpiętego w suknię węża, którego pokazał nam pan przed chwilą na zdjęciu, tak?

– Yhm. – Manuel pokiwał głową z triumfalną miną.

– Ale... – Bartnicki poszperał w pamięci. – Przy jej zwłokach niczego takiego nie było...

– Co oznacza, że Sandra jakimś cudem odkryła lokalizację jajka, a potem ktoś, kto miał na nie chrapkę, zamordował ją i je zabrał... Obstawiam Majchra.

– Który zaginął... – dopowiedział Darski.

– Zbudował pan niezłą dramaturgię – skomentował z przekąsem Bartnicki, mierząc Kłosa niechętnym spojrzeniem. – No ale wiadomo, pisarz...

– Parę osób wspomniało, że Klejnocka kręciła się po pałacu i usiłowała odkryć jego tajemnice – przypomniał Darski. – Pora przesłuchać ponownie kilka z nich... Bardzo panu dziękujemy.

– Zawsze do usług. – Manuel skłonił głowę i zostawił ich samych.

– Wczoraj chyba naprawdę byliśmy śpiący – skomentował Bartnicki z przekąsem. – Mamy klips, ten, który na miejscu zbrodni znalazła Golden Girl, i nikogo o niego nie zapytaliśmy. Mało tego, nie zwróciliśmy uwagi, czy którejś z pań go nie brakuje...

– Proszę mówić za siebie – zaprotestował Darski.

– A co? – zdziwił się prokurator. – Pan zwrócił na to uwagę?

– Oczywiście! Prawie wszystkie panie, które tej nocy przed nami siedziały, miały nie klipsy, ale kolczyki. Z dwoma wyjątkami. Ale nawet tym dwóm niczego na uszach nie brakowało.

– Przyznaję, że jednak dorasta pan do swojej reputacji. – Bartnicki nie krył podziwu. – Moglibyśmy zarządzić przeszukanie kobiecych bagaży, ale i tak jestem pewny, że drugi klips dawno już spłynął z kanalizacją...

– Myślę, że nawet nie ma po co tego sprawdzać – zgodził się Darski. – A co do tej broszki i w ogóle jajka, to myślę, że wprowadzają niepotrzebny chaos.

Bartnicki przyjrzał mu się uważnie.

– Czy dobrze zgaduję, że ma pan już jakąś hipotezę? – zapytał.

– Od wczoraj coś mi się powoli krystalizuje – przyznał Darski. – Ale zanim do tego przejdziemy, najpierw chciałbym, żebyśmy się jeszcze raz rozmówili z Garlińskim.

Wezwany do pokoju Tomasz stanowczo wyparł się jakiegokolwiek wiedzy o cennym jajku, a następnie odmówił dodatkowych zeznań.

– No, dobrze. – Darski świdrował go przenikliwym spojrzeniem. – To ja panu powiem, co myślę. Za chwilę oficjalnie pana zatrzymamy na czterdzieści osiem godzin, a przez ten czas, jak pan będzie pozbawiony możliwości działania, sprawdzimy, czy po pierwsze, nie jest pan właścicielem broszki, którą miała na sobie nieboszczka, a po drugie, czy nie należy pan do organizacji zwanej Zakonem Węża.

Oczy Garlińskiego błysnęły z zaskoczenia. Przez sekundę, ale komisarz zdołał to wyłapać i kolejny raz pogratulować sobie w duchu niezawodnej intuicji.

– Moim zdaniem i do masonerii, i potem do zakonu wstąpił pan tylko po to, aby się dorobić – kontynuował, kując żelazo, póki gorące. – Kiedy poznał pan opowieść o jajku, postanowił pan sprawdzić, ile kryje się w niej prawdy. Coś musiało pana przekonać, że sporo, skoro usiłował pan namówić lożę, aby zakupiła ten pałac. Kiedy się to nie udało, skontaktował się pan z Majchrem i Zakonem Węża, który po cichu sfinansował mu kupno tego obiektu. Zastanawiało mnie, jakim cudem zwykłego architekta stać było na pałac. Z rana wysłałem swoich warszawskich kolegów z wizytą do skarbówki, która potwierdziła, że na miesiąc przed zakupem pałacu Majcher otrzymał darowiznę od pewnej tajemniczej organizacji. Zapłacił od niej podatek, więc skarbówka się nie czepiała. Pałac był wasz, ale oto znienacka pojawił się ktoś, kto rościł sobie do niego prawa. Kłops, prawda? A wasza organizacja nie znosi partactw, prawda? Żeby zachować twarz, a może nawet życie, musieliście znaleźć jajko. Żeby to zrobić, trzeba było wrócić do pałacu, bo... Tu właściwie do końca nie wiem, ale liczę, że pan mi odpowie. Skąd pewność, że jajko jest tutaj?

– Z papierów Tourneura, które zobaczył Majcher – odpowiedział z rezygnacją Tomasz. – Znajduje się w spisie, który zostawił po sobie ostatni właściciel, a który to spis dołączono do dokumentów spadkowych. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co to faktycznie jest i jaką ma wartość, więc nikomu nie wpadło to w oko.

– A skąd pan Majcher miał dostęp do tych papierów? – zaciekawiał się prokurator.

Garliński wzruszył ramionami.

– Przeszukiwał pałac, gdy Francuz wylądował w szpitalu. Zresztą przez niego.

– I nadal bezskutecznie? – Darski nie mógł zrozumieć, jak Sandra tak szybko znalazła jajo, którego masoni szukali tyle czasu.

– Widać był wyjątkowo nieudolny. – Tomasz nie krył pogardy dla architekta.

– I teraz... Z pewnością przeżył pan szok, widząc część owego tak długo poszukiwanego skarbu wpiętą w suknię Sandry Klejnockiej...

Tomasz milczał.

– Pokusa zdobycia broszki była wielka, prawda? Dlatego...

– Ja jej nie zabiłem! – krzyknął Garliński, tracąc nad sobą panowanie. – Kiedy wyszła z sali balowej, poszedłem za nią, przyznaję. Chciałem z nią tylko porozmawiać, zorientować się, czy zna wartość tego, co znalazła. Jednak po drodze zaczepił mnie jeden z kelnerów, powiedział, że w kuchni wydarzyła się jakaś katastrofa. Zajęło mi to kilka minut. Gdy skończyłem z kucharzami, wróciłem jej poszukać. Przechodziłem przez korytarz i nagle za oknem zobaczyłem... ją w altanie. Myślałem, że mam przewidzenia. Narzuciłem pierwszy lepszy płaszcz z wiszących na wieszaku przy wejściu i pobiegłem. Nie żyła. Ta broszka... No cóż... Nie oparłem się pokusie. Zabrałem ją. Przyznaję. Ale nie zabiłem jej! Przysięgam!

– Gdzie znajduje się w tej chwili broszka? – zapytał Bartnicki.

– W moim pokoju, w schowku pod jedną z desek.

– A jajo?

– Nie mam pojęcia. – Na twarzy Garlińskiego odmalowała się taka żałość, że obaj mężczyźni z miejsca mu uwierzyli.

– Niech pan odda broszkę funkcjonariuszowi. – Bartnicki skinął na stojącego przy drzwiach policjanta, ale zanim obaj opuścili pokój, Darski zapytał jeszcze:

– Czy zmieniał pan pozycję zwłok?

– Sandry?

– A kogo by innego?

– Nie.

– Mamy mordercę? – zapytał cicho prokurator, gdy już ponownie wezwał na miejsce technika.

– Nie sędzę.

– Czemu? – zdumiał się Bartnicki.

– Myślę, że Garliński chciałby mieć cały skarb, a nie tylko jego mniej wartościową część – wyjaśnił Darski. – Raczej przyczałby się i czekał, aż Klejnocka doprowadzi go do reszty, ewentualnie starał się ją jakoś przycisnąć i wydobyć lokalizację jajka. Uważam, że mówi prawdę. Kiedy wypatrzył Sandrę, ta już nie żyła. Zresztą to sugeruje pozycja jej ciała. Gdyby to on ją zabił, nigdy by jej tak nie ułożył.

Prokurator popatrzył na niego bez zrozumienia.

– Nie zwrócił pan uwagi, że jej ciało na tle altanki tworzyło dwa trójkąty? – Darski nie mógł się powstrzymać, by się nie popisać przed przedstawicielem mimo wszystko niezbyt przez niego lubianego i szanowanego urzędu, dlatego szybko zagłuszył własne wyrzuty sumienia, że i on sam bez Eugenii niczego by nie dostrzegł. – Wydaje mi się, że zabójca zrobił to specjalnie, by nas wepchnąć w ten tok myślenia, o masońskiej kłątwie, a tym samym odsunąć podejrzenia od niego.

– W takim razie kto ją zabił? – zirytował się prokurator. – Duch? Biała dama?!

– To właśnie zamierzam wyjaśnić w tej chwili... Poproś do nas – skinął na mundurowego czekającego od dłuższej chwili w otwartych drzwiach na ich polecenia – Ignacego i Marię Bursztynowiczów. I Eugenię Krasucką.

– Wszystkich naraz? – zdziwił się Bartnicki. – Nie powinniśmy ich przesłuchiwać po kolei, i to pojedynczo? Zwłaszcza Ignacego.

– Nie zamierzam z nimi rozmawiać – wyjaśnił Darski. – Tylko ich ze sobą skonfrontować.

– Nic nie rozumiem – przyznał prokurator.

– Za chwilę wszystko stanie się jasne – obiecał komisarz.

W pokoju najpierw pojawił się Ignacy. Spokojny, wyluzowany, przywitał stróżów prawa uśmiechem. Po nim do środka weszła nadal złęknioma i rozkojarzona Maria. Jako ostatnia próg przekroczyła Eugenia. Wchodząc, popatrzyła uważnie na Darskiego, po czym ciężko westchnęła.

– Szanowni państwo – zaczął poważnie Darski. – Zebrałem was tutaj, aby poinformować, że mam pewność co do tego, kto jest zabójcą Sandry Klejnockiej.

Jego słowa nie spotkały się z żadną reakcją.

– W wielu sprawach, które prowadziłem, zabójcą okazywał się ktoś, kto najwięcej zyskiwał na czyjejś śmierci – kontynuował niezrażony komisarz. – Zadajmy sobie więc pytanie, kto najbardziej zyskał w tym przypadku. Odpowiedź jest prosta. Państwo.

– Sugeruje pan, że zabiliśmy Sandrę, działając w zмовie? – zapytał z ironią Ignacy. – Przecież to absurd!

– Moment! Chcę przedstawić państwu mój tok myślenia. Oczywiście jest, że na śmierci Sandry najwięcej zyska jej spadkobierca. Wydawało mi się, że to uniewinnia pana Ignacego, bo jako dopiero przyszły mąż nie dostałby po śmierci panny Klejnockiej ani gorsza. Wczoraj jednak dowiedziałem się, że nie jest to prawdą, bo Sandra zdążyła już zmienić testament i...

Prokurator chrząknął znacząco.

– Mogę poprosić pana, komisarzu, na chwilę? – zapytał, po czym wziął Darskiego pod pachę, zaprowadził w kąt pokoju i przekazał mu coś szeptem.

– Serio? – zdziwił się policjant. – W takim razie... – Wrócił na swoje poprzednie miejsce. – Właśnie dowiedziałem się, że jednak pan Bursztynowicz nie jest spadkobiercą...

– Słucham?! – Ignacy zrobił wielkie oczy.

– Sandra faktycznie spisała nowy testament, ale go nie datowała i nie złożyła na nim podpisu...

– Przecież mówiła... – zaczął Bursztynowicz, po czym najwyraźniej ugryzł się w język.

– Bez tych formalności ten dokument możemy traktować jedynie jako projekt, który ewidentnie miał stać się ciałem dopiero po ślubie, bo w tekście jest mowa o mężu – dokończył spokojnie Darski. – A w takim przypadku ważność zachowuje jej poprzedni testament, zgodnie z którym cały majątek trafia do... – Darski przeniósł wzrok na osobę siedzącą obok Ignacego – ...pani Marii Bursztynowicz.

– Co więcej – dopowiedział Bartnicki – Sandra w tym pierwszym dokumencie wyraźnie zaznaczyła, że czyni taki zapis zgodnie z wolą ojca. Zresztą już ostatnia wola pana Klejnockiego zawierała taką dyspozycję, choć pod warunkiem że Sandra nie dożyłaby jego śmierci.

– Jak to?! – wyszeptała Maria ze zdumieniem.

– Mogłaby nam pani wyjaśnić zadziwiającą szczodrość pana Klejnockiego w stosunku do pani, którą w dodatku jego córka gotowa był uszanować w przypadku własnego zgonu w stanie panińskim? – poprosił Darski, kątem oka obserwując równie zszokowaną Eugenię. – Musiało was dużo łączyć...

– Nas? – wydukała Maria. – No znaliśmy się... Trochę... Lata temu...

– Trochę? – Darski popatrzył na nią uważnie. – Wydaje mi się, że jednak bardziej, skoro mieliście wspólne dziecko.

– Słucham?! – parsknęła Eugenia. – Marysiu?!

– Skąd pan to wie? – zapytała cicho Bursztynowicz.

– Nie wiem – przyznał Darski. – Strzeliłem w ciemno. Odkąd tu przyjechałem, wszyscy mówili mi, że jest pani największą przeciwniczką tego małżeństwa. Zapytałem samego siebie dlaczego. Przecież ożenek pani syna z Sandrą zapewnił dostatek całej waszej rodzinie, zagrożonej plajtą. W dodatku Klejnocka była

inteligentna, przedsiębiorcza, doskonale radziła sobie w życiu. Może nie była najpiękniejszą kobietą świata, ale też trudno ją było uznać za brzydactwo. W nocy zacząłem z ciekawości przeglądać w necie wiadomości o niej i w którymś z artykułów zobaczyłem jej zdjęcie z ojcem z czasów, kiedy była jeszcze dzieckiem. I aż przetarłem oczy, bo oto miałem przed sobą na fotografii... Ignacego. Podobieństwo nie mogło być przypadkowe. Nie aż takie! I wtedy pojąłem, dlaczego nie chciała pani dopuścić do ślubu. Gdyby do niego doszło, a młodzi wylądowaliby w łóżku, byłby to związek kazirodczy.

– Mamo... Co on mówi? – jęknął Ignacy. – Powiedz, że to nieprawda.

Maria patrzyła tępo w przestrzeń między komisarzem a prokuratorem.

– Resztę mimowolnie zdradziła mi pani Eugenia – kontynuował Darski. – Kiedy rozmawialiśmy o tym, że zbrodnię mogli popełnić Wellmanowie, powiedziała pani, że potrafi sobie wyobrazić Patrycję, jak stoi nad zwłokami ze sztyletem w dłoni. Skąd wiedziała pani, jakie było narzędzie zbrodni, skoro nawet nasz patolog jeszcze tego nie ustalił? Mogła pani to usłyszeć tylko od osoby, która tę zbrodnię popełniła. Poza tym potwierdziła pani, że to panią córka spoliczkowała poprzedniego wieczoru pod oknem pani Karpowicz. Tymczasem osoba, która wtedy rozmawiała z panią Marią, miała na sobie czarną pelerynę. A pani, jak dobrze zapamiętałem, nie znosi czarnego i nie posiada ani jednej rzeczy w tym kolorze.

– Przeszarżowałam – przyznała smętnie Eugenia. – Powinnam pamiętać powiedzenie głoszące, że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu.

– Tamtego wieczoru dała pani po twarzy Sandrze, prawda? – Darski znów zwrócił się do Marii. – Jak rozumiem, usiłowała ją pani przekonać do tego, żeby nie wychodziła za pani syna, i doszło między wami do awantury. Następnego dnia była pani już zdesperowana. Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego posunęła się pani aż tak daleko, zamiast po prostu wyznać jej prawdę.

– Wyznałam! – krzyknęła Maria. – Nie uwierzyła mi! Pierwszego dnia zarzuciła mi kłamstwo. Potem powiedziała, że nie przypuszczała, że jestem taką puszczalską zdzirą. Wtedy ją spoliczkowałam. A w czasie balu... Spotkałam ją w toalecie, jak już wszyscy oficjele wyjechali. Ponownie usiłowałam ją przekonać, ale stwierdziła, że kocha Ignacego do szaleństwa. Powiedziałam jej, że to grzech. Zaśmiała się i odparła, że po wspólnym ojcu to nie aż taki duży i że odkupi go, zmuszając do pokuty kilku innych grzeszników. Nie wiem, co miała na myśli. Wydawała mi się szalona. Tak się zachowywała. Potrzęsnałam nią. Zapytała, czy znowu będę ją biła. W desperacji zagroziłam, że wyznam prawdę Ignacemu, na co ona zaczęła się śmiać i powiedziała, że jeśli to zrobię, to ona uczyni wszystko, żebym wylądowała na ulicy, gdzie będę żebrała o dwa złote na chleb i spała w kartonie. Patrzyła na mnie z takim urągliwym uśmiechem. Po

chwili stwierdziła: „No widzisz, nic nie zrobisz, stara wariatko. Ignacy jest i będzie mój. Możesz się tylko modlić, żeby kiedyś mi się znudził, bo inaczej go nie oddam. Słyszysz? Nie oddam go nigdy!”. Zostawiła mnie samą w łazience. Byłam strasznie roztrzęsiona, więc trochę potrwało, zanim się ogarnęłam. Gdy wyszłam na zewnątrz, ujrzałam, że tańczy sama w ogrodzie na śniegu. Poszłam za nią przez to boczne wyjście przy gablocie, skąd odruchowo wyjęłam jeden sztylet. Zanim do niej doszłam, siedziała już w altance. I śmiała się, głośno się śmiała. Nie wiem, co było dalej. Nie pamiętam. Chciałam tylko, żeby przestała się śmiać. A potem... stałam nad nią ze sztyletem. Wszędzie była krew. Ciekła po niej, po sztylcie. Spanikowałam. Rozejrzałam się. W oknie na piętrze zobaczyłam Manuela. Patrzył na mnie. Wiedziałam, że muszę go błagać o łaskę. Wróciłam do pokoju przez tajny korytarz. Tutaj jest ich wiele. Ciągną się po całym pałacu. Po drodze schowałam w podziemiach sztylet. Umyłam ręce, ogarnęłam się i zobaczyłam, że zgubiłam gdzieś klipsa. Założyłam więc nowe. I tak prawie nie było ich widać pod włosami. Potem poszłam do Manuela, ale nie było go w pokoju, wróciłam więc na salę balową. A potem... Moja mama...

– Po czym się pani domyśliła? – Darski spojrzał pytająco na Eugenię.

– Wpadłam na to, gdy zobaczyłam ją, kiedy wróciła na bal. Może i byłam wyrodną matką, ale znam moją córkę. Umiem z niej czytać jak z otwartej księgi. Nie wiedziałam, że Ignacy był synem Stanisława, ale byłam pewna, że Maria zrobi wszystko, aby nie doszło do tego ślubu. Poza tym te klipsy... Podeszłam do niej i obiecałam, że będę ją chronić. Chronić naszą rodzinę. Zawiodłam. To moja największa życiowa porażka. No cóż... Będę musiała z tym żyć...

Darski pomyślał tylko, że to będzie mimo wszystko łatwe życie, bo na wolności, w przeciwieństwie do Marii, która z za krat już raczej nie wyjdzie, i Manuela, którego czekała odsiadka za mataczenie. A swoją drogą, tylko odlecianny na punkcie masonów autor mógł w imię licealnej przyjaźni nie wzdrygnąć się przed dotknięciem zakrwawionego trupa. To jedynie potwierdzało odwieczne przekonanie komisarza, że pisarze to szurnięta populacja, a jego Nemezis, Róża Krull, nie jest wyjątkiem, tylko banalnym tego przykładem.

Epilog

Pół roku później

– Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego wgapiasz się w ekran, zamiast przygotowywać kreację na jutrzejszą sesję Klaudii? – zapytał Mario, patrząc z rozpaczą na to dziwadło, które sam zatrudnił na stanowisko asystentki. Przy czym określenie „dziwadło” należało potraktować pieszczotliwie, zważywszy, że Iwka miała na sobie perukę afro à la wczesny Michael Jackson, różowy gorset w stylu „Moulin Rouge”, drelichowe spodnie w kolorze bordo, niebieskie szpilki wykończone pomponem oraz narzucone na to wszystko coś, co wyglądało jak stary bury koc.

– Wszystkie jej kreacje są już zapakowane – oznajmiła Iwka, nie odrywając wzroku od ekranu. – Właściwie to tylko jedna, bo ona teraz idzie w minimalizm. Matka Gaja kazała jej nie marnować zasobów planety i w związku z tym będzie ubrana tylko w worek po ziemniakach.

– Słucham? – Mario poczuł, że robi mu się ciemno przed oczami. – Jaki worek?!

– Szary – poinformowała go beznamiętnie Iwka.

– Chcesz mi powiedzieć, że na wspólną sesję z Krzysztofem Zalewskim dla magazynu „Vogue” pod tytułem „Estradowe haute couture” przygotowałaś dla Hutniak worek po kartoflach?!

– Sama sobie przygotowała – poprawiła z całkowitą obojętnością Iwka. – To znaczy podmieniła. Stwierdziła bowiem, że mój jest z niepewnego źródła, a ona musi mieć taki po ziemniakach eko, bo one teraz są trendy i ważne dla Matki Gai.

– Ja się naprawdę kiedyś zabiję! – załamał ręce Mario. – Poinformowałaś o tym „Vogue’a”?

– Tak.

– I co oni na to?

– Zareagowali z pełnym zrozumieniem – odparła. – Pani, która odebrała mój telefon, powiedziała: „Znakomicie. A Zalewskiego ubierzemy w kartony po bananach”, po czym się roześmiała i rozłączyła. To całkiem niezły pomysł, prawda?

– Wiesz, co to jest ironia?! – zapytał Mario z rozpaczą.

– Csiii... Właśnie ogłaszają wygraną w kategorii najlepsze SPA. Muszę wiedzieć, dokąd mam jechać.

– Co ty oglądasz? – zaciekał się Mario.

– Gałę portalu Wizjaż – odpowiedziała Iwka, po czym przycisnęła klawisz zwiększający głośność.

– To były nominacje – rozległo się z głośników. – A nagrodę w kategorii „SPA Roku” wręczy nasza ulubiona para, królowie stylu i elegancji, od lat szczęśliwie w sobie zakochani, minister sportu Jakub Wellman i jego żona Patrycja.

Mario stanął za Iwką i spojrzał na ekran, na którym Wellmanowie raczyli widownię uśmiechami. Kamera prześlizgnęła się po pierwszym rządzie publiczności, wśród której Kosek zauważył uśmiechniętą Małgorzatę Jarosławowicz, Marcina Prusika ściskającego dłoń Kariny Mrozowskiej oraz siedzącego obok nich Juliana Zamirskiego, a także Golden Girl. Skrzywił się na wspomnienie tego, jak tydzień wcześniej zorganizował jej w ogrodach wilanowskich obiecany dawno rytuał Artemidy na oczach przypadkowo wpuszczonej do tego miejsca grupki japońskich turystów, którzy uwiecznili owo wydarzenie na tryliardzie zdjęć w swoich smartfonach i natychmiast puścili w internet, zwiększając jej niebotycznie azjatyckie zasięgi, za co influencerka miała go ochotę ożłocić, a z braku złota zatrudniła na stałe jako swojego agenta. Niby pracował dla show-biznesu od dawna, ale po raz pierwszy aż tak bardzo dotarła do niego hipokryzja tego świata.

– O, jest też i ten architekt! – ucieszyła się Iwka, kiedy kamera najechała na uśmiechniętego Jaromira Majchra. – Ten, co to leżał w jakimś lochu bez jedzenia przez prawie tydzień, zanim go policja znalazła. Podobno schudł w tym czasie dziesięć kilo. Bardzo radykalna dieta, nie sądzisz? Muszę znaleźć jakiś loch, bo mojemu kochaniu zaczął się ostatnio robić brzuszek...

– Koniecznie – mruknął Mario, wpatrując się nadal w ekran zapełniony celebrytami.

W sumie do pełni szczęścia brakowało w tym towarzystwie wzajemnej adoracji jedynie Bursztynowicza i jego babci. Oboje jednak byli poszukiwani czerwoną notą Interpolu za kradzież zabytkowego jaja Fabergé, które w noc balu Ignacy zwinął z sypialni swojej niedoszłej narzeczonej, słusznie, jak widać, wychodząc z założenia, że lepsze jajo w garści niż posag czy spadek na dachu. Biorąc pod uwagę wartość ukradzionego skarbu, Mario podejrzewał, że nie tylko nigdy nie dadzą się złapać, ale wręcz spędzą resztę życia na jakiejś rajskiej wyspie.

– Bardzo nam miło – rzekł Jakub. – Zanim ogłosimy, kto wygrał, chcielibyśmy pozwolić sobie z Patrycją na małą prywatę. Już od jutra zapraszamy was wszystkich na nasz podcast. Pierwszym jego gościem będzie nieoceniona

największa gwiazda rodzimej telewizji, Małgorzata Jarosławowicz. – Przeczekał oklaski, a potem rozdarł trzymaną w rękach kopertę i oddał ją żonie. – Kochanie, czyń swoją powinność...

– Nagroda wędruje do właścicielki sieci SPA, w tym nowo otwartego ośrodka w pałacu w Klepaczowicach – przeczytała ze sztucznym uśmiechem Patrycja – Lucyny Gąssowskiej. Wielkie brawa!

– Klepaczowice... – Iwka zmarszczyła brwi. – Czy to nie to miejsce, gdzie kogoś z Miśką zamordowaliście, a potem zrzuciliście winę na kogoś innego?

– Ha, ha, bardzo zabawne – mruknął Mario, któremu na widok Gąssowskiej przypomniała się uwaga Darskiego o tym, że w toku śledztwa odkryto, że dzwoniła ona do jednego z bardziej znanych bandziorów, zdaniem komisarza po to, aby zlecić mu uciszenie Sandry, choć nie dało się tego, rzecz jasna, nijak udowodnić, bo ów płatny zabójca się spóźnił i ofiara razem z zapłatą zostały mu sprzątnięte sprzed nosa. – Lepiej, mądralo, zadzwoń do Hutniak i powiedz jej, że jak nie wystąpi na sesji dla „Vogue’a” w kreacjach od Diora i McQueen, to nie dostaniemy od nich dotacji na jej fundację wspierającą hodowlę palm w Świętokrzyskiem. Niezależnie od tego, że nie mam pojęcia, po co mieszkańcom Kielc palmy. Ja idę się napić...

– Napić? – zdumiała się Iwka. – O trzynastej pięć?

– Tak – potwierdził stanowczo Mario. – Po prostu tego świata nie da się już znieść na trzeźwo. Nawet o trzynastej pięć!

KONIEC

Podziękowania

Co by to była za książka bez kilku miłych słów na koniec?

Dziękuję więc:

- Renacie Sokół – za jej Wielkie Serce i gościnność, która zawsze mnie wzrusza i porusza,
- Grzegorzowi Frączakowi – za to, że zawsze mogę do niego zadzwonić po poradę (nie tylko medyczną),
- Ani Matusiak-Rzeźniowieckiej – za zaufanie i lojalność,
- Edycie Pietrzak-Waś – za azyl przed światem,
- Aleksowi Gontarskiemu – za berlińską wyprawę i za „Dark Matter”,
- wszystkim Bibliotekarkom i Bibliotekarzom, którzy podejmują mnie po królewsku w progach swoich placówek
- i oczywiście Wam, Kochane Czytelniczki i Kochani Czytelnicy, za to, że jesteście sensem mojego żywota. Stałym i najważniejszym!

Pozdrawiam ciepło

Alek